

Daniłowski Gustaw

**NEGO**

NOWELE:

~Nego~

**Chudy Pan**

**Bajka arabska**

**Na spacerze**

**Pociąg**

**Wigilia**

**Wesoły pasażer**

NEGO

Nad Inowrocławiem wisiała księżycowa noc sierpniowa, jedna z tych nocy, co, chociaż jasne, mają tyle smutku i melancholii, że psy spać nie chcą—i wyją przeciągle. Ludzie tak nie czynią, może jedynie dlatego, że pies, gdy mu się wyc chce, siada sobie na środku gościńca i, podniósłszy pysk ku tarczy księżycy, jęczy całą siłą nieskrępowanego obrozą gardła, nie dbając o to, co o nim sąsiad Kurta pomyśli. Człowiek w takich razach ostrożniejszy: gdy płacze, to i wtenczas nie omieszka patrzeć przez łzy, jakie to sprawia "na innych wrażenie i czy mu z tem do twarzy?

A że w miastach główną część mieszkańców stanowią ludzie,- mniej zaś liczne i szanujące się psy miejskie są znacznie lepiej wytresowane od swych, kudłatych, wiejskich współbraci: nic więc nie mąciło spokoju nocy, która, zbryzgana gwiaz-

dami, zamyśliła się nad czemś głęboko.

Z szeregu domów, patrzących w ulice ciemne-

mi oknami, wyróżniał się jeden tem, że był niższy od innych i że w trzech oknach miał światło.

Za te trzy okna, małą kuchenkę i pokój, przedzielony drewnianem przepierzeniem, pani Marya płaciła piętnaście rubli miesięcznie, co stanowiło prawie trzecią część całego zarobku, «wybębnionego z fortepianu», jak się wyrażała złośliwie jej ciotka.

Złośliwość ta pochodziła ze zbytku życzliwości, która nie pozwalała ciotce darować siostrzenicy tego, iż przed trzynastu laty, wbrew jej radom, utalentowana Marynia zrobiła kapitalne głupstwo, a nawet dwa,— mianowicie: dała odkosza wcale jeszcze czerstwemu właścicielowi kamieniczki i sklepu w pysznym punkcie, kochającemu ją do tego stopnia, że mimo silnego wstrętu do wszelkiego rodzaju wydatków, zdobył się na kupienie adamaszkowych mebli i wytapetował już wszystkie pokoje na przyjęcie swej przyszłej...

Przyszła jednak nie przyszła; natomiast oddała swą drobną rączkę świeżo patentowanemu prawnikowi, który był goły jak bizun: ślub brał w tużurku! Mówiono o nim, co prawda, że bardzo zdolny i wydał już książkę, która mu rokuje świetną przyszłość.

Ciotka twierdziła, że to faramuszeki. I, jak przepowiedziała, tak się stało.

W trzy lata niespełna Jan Skalski pokazał co umiał: zachorował i umarł. Świetną przyszłość dyabli wzięli; odwieziono ją wraz ze zdolnościami, wieńcem i drewnianą trumną na cmentarz, a pani Marya została, nie sama, oczywiście: z małym Jasiem i z nędzą.

Na tem jeszcze nie koniec. Kiedy w pół roku później ciotka przybyła do niej w delikatnej misyi, że jej dawny wielbiciel gotów jest nawet teraz... chociaż już nowych mebli nie sprawi, ale

te dawniejsze są jeszcze wcale świeże... pani Marya mówić dalej ciotce nie dała, stanowczo, z pewnym rozdrażnieniem, poprosiła, by jej dać spokój. Ona niczego nie chce; ma lekcje muzyki: to na jej życie i dziecka zupełnie wystarcza; a marzy tylko, aby na grobie męża krzyż, choć drewniany, postawić mogła... Tu rozplakała się na dobre. Tego już było nadto; oburzona tą niewdzięcznością, ciotka zerwała wszelkie stosunki z upartą siostrzenicą.

Kiedy potem, w parę miesięcy, spotkały się w dzień zaduszny na cmentarzu, może-by tutaj przyszło do zgody, gdyby nie to, że pani Marya nie dostrzegła swej życzliwej opiekunki, bo właśnie w tej chwili obcierała swe wielkie oczy, pełne łez, i coś szeptała Jasiowi, wskazując mu przykrytą darnią i kwiatami mogiłę i prosty, smutny nad nią krzyż.

— Głupia jest i będzie! — zawyrokowała po raz setny ciotka i poszła dalej oglądać inne groby.

Nietylko ten fakt świadczył o naiwności, czy też dziwactwie, pani Maryi, lecz i wiele innych. Życie jej, naprzykład, było w gruncie rzeczy dość ciężkie: schody — godzina bębnienia... schody — godzina bębnienia... czy mróz, czy śłota, wiecznie to samo — od rana do zmroku: a mimo to pani Marya była prawie zawsze wesołą, i gdy figlowała wieczorem z Jasiem, to śmiała się nie mniej serdecznie od syna.

Nie dowodzi to jednak, by nie odczuwała strapienia i trosk; była tylko pod pewnym względem egoistką: smutek i łzy chowała dla siebie; ludziom dawała dobroć i śmiech.

Miała jej to za złe, już nietylko ciotka, ale i reszta dalszych krewnych i bliższych znajomych, którzy ją tłumnie jęli odwiedzać po śmierci męża, sądząc, że przecież mają chyba prawo popatrzeć jak płacze. Kiedy zaś wdowa przyj-

mowała ich życzliwie, z twarzą, co prawda, smutną, ale suchemi oczyma, kiedy się przytem przekonano, że płacze jednak ukradkiem, zrażono się tą nieszczerością i odsunięto się od niej powoli. Jedne tylko zaletę przyznawali jej niektórzy— praktyczność.

Pomimo szczupłych dochodów, pani Marya miała gustowne mebelki, do których raz w raz coś przybywało; w ciągu lat kilku zdobyła się na kupienie pianina, sama ubierała się ładnie, a już co Jasiowi to nie zbywało na niczem.

— Skąd ona bierze na to wszystko? — posta - wiono raz takie pytanie na jednej z tradycyjnych czwartkowych herbatek u cioci.

Pytanie to nie otrzymało na razie stanowczej odpowiedzi; wywołało natomiast ożywione debaty, w trakcie których podstarzała dewotka, spuszczać skromnie oczy, wtrącała:

— W tem coś jest...

Na co okazała aptekarzowa z przeciwka dała do zrozumienia, że gdyby nie to, iż nienawidzi plotek, mogłaby wiele powiedzieć, przyczem zwróciła się do swej córki ze słodkimi słowami:

— Wyjdź, Zosiu, obejrzyj album.

Skoro Zosia wyszła, przyczem za nią w wysunął się chyłkiem student, wcale nie platoniczny amator jej masywnych kształtów, okazało się, że właściwie z punktu widzenia dziewiczej skromności nie miała po co wychodzić, gdyż poszlaki pani aptekarzowej, jakkolwiek dawały dużo do myślenia, były jeszcze jednak zbyt kruche. Postanowiono więc rzecz zbadać dokładniej.

W ten sposób nad panią Marya utworzono rodzaj tajnego nadzoru. Nadzór ten nie był bezowocnym. Nie znaleziono wprawdzie tego, czego szukano, i Zosia nie potrzebowała już oglądać albumu, gdy rozmawiano o pani Maryi; dowiedziano się za to wielu innych drobnych szcze-

głów cichego jej życia: mianowicie, że Jasia przygotowała do gimnazjum sama matka i teraz mu również pomaga; uczy się nawet w tym celu łaciny; przytem nie robi tego jedynie przez oszczędność, ale widzi w tem rozkosz ogromną, że może synowi swemu pomagać i wraz z nim pracować; prócz tego, cały jej system wychowawczy jest niezwykle dziwaczny: czuje się w obowiązku tłumaczyć przed smarkaczem w każdym wypadku, gdy tego zażąda, a nawet wtenczas, gdy go łaje... jeżeli tylko można nazwać łajaniem takie zdania: «źleś zrobił, mój synu», lub «ojciec twój zmartwiłby się twoim postępkiem, drogie dziecko».

Pani Marya, dzięki swej szczupłości, wydawała się nad wiek młodą i nieraz, kiedy wracała wieczorem ze swych lekcji, zaróżowiona od szybkiego biegu, ludzie się oglądali, szepcząc: «Jakaż to ładna panienka!», chociaż, w gruncie rzeczy, pani Marya nie była wcale piękną, była tylko uroczą. Gdyby jej twarz zastygła odrobić w gipsie, maska taka wydałaby się raczej brzydką, gdyż drobne, nieregularne rysy pani Maryi nie były bynajmniej podstawą jej urody. Były one raczej delikatną kanwą, na której uczucia tkwały deseń wyrazu,—tłem duszy, która wprost przeświecała przez jej płęć matową, jak promień świtu przez mgły. To też twarz pani Maryi odznaczała się tak ruchliwą zmiennością, że niepodobna było zrazu określić tych stałych pierwiastków, które-by pozwalały ją od innych odróżniać i zapamiętać na zawsze. Były niemi najprawdopodobniej bujne blond włosy, złoto-popielate na skrętach, wielkie głębokie aksamitne oczy i ten subtelny ton dziwnej melancholii i zmęczenia, który towarzyszył tej twarzy stale i nie mógł się roztopić do szczętu w najserdeczniejszym uśmiechu jej ust różowych. Niekiedy,

jak, na przykład, w tę ' noc sierpniową, wyraz ten występuje tak silnie, że patrząc na jej głowę wspartą na drobnych dłoniach, ciśnie się na usta określenie: «kwiat cmentarny».

Co dziwniejsza, że coś podobnego daje się zauważyć w dziecinnej twarzy Jasia, który, kiwając się na krześle, powtarza z przymkniętymi oczyma: alauda — skowronek, ancilla — służąca, aquila—orzeł, ars—sztuka... choć, biorąc naogół, nie przypomina on niczem matki, jest zato jak dwie krople wody podobny do wiszącego nad biurkiem kredkowego portretu.

Są ludzie, którzy twierdzą, że człowiek robi co chce; a jednak, gdyby przed wiekami gęsi nie zagegały były tak nie w porę i nie ocaliły Rzymu, dziś Jaś może-by nie kuł, pomimo spóźnionej godziny, mowy Cezarów, a pani Maryi nie dręczyłoby pytanie: czy jej syn zda jutro? Takie refleksje prawdopodobnie cisnęły się do głowy, choć pełno w niej było smutku i niepokoju, a chaotyczne myśli błąkały się bez celu, jak rozbite stado młodych nurków, gdy je na środku jeziora strzał myśliwego rozproszy.

Ponieważ w jutrze malowała się niepewność i lęk o losy syna—dusza pani Maryi odwracała się do przeszłości i tonęła we wspomnieniach. Więc majaczyło przed nią to życie krótkie we dwoje, ubogie, ciche, lecz słodkie, pełne szczęścia i myśli szerokich, które mąż rozsnuwał przed nią, a ona chłoneła chciwie, pojmując je nie tyle przez rozum, ile przez miłość i intuicję bogatej swej duszy.

A potem się zrywał nieukojonny żal, że to minęło bezpowrotnie. Gwałtowny paroksyzm pałacej tęsknoty zmienił się w końcu w pogńębienie, przecucie słabości i osamotnienia. Kiedy zaś budził ją z odrętwienia mniej monotonicznie wymówiony wyraz uczącego się Jasia, to znów

serce jej się ścisnęło, na myśl o tem, iż ten słabowity chłopiec jeszcze nie śpi, ślęcząc nad długim szeregiem trudnych słów; jednocześnie w jej piersi wszczynana się walka rozumu z uczuciem, która rodziła w niej szaloną chęć zapędzić syna do spania, a nienawistną gramatykę, co kradnie im spokój i sen, wyrzucić za okno... Nie pierwszą taką walkę stacza z sobą pani Marya i nie ostatnią, a ciężkie to prawdziwie boje, bo z jednej strony, ta matka ma wiele życiowego rozsądku, a z drugiej, kocha jedynaka bez granic — kocha go za jego śmiech szczery, za ból, w którym go urodziła, za wesele i troski, których jej przyczynia, — za wszystko, a najwięcej prawdopodobnie za to, że jest jej synem.

Tym razem walka kończy się w ten sposób, iż pani Marya podchodzi do Jasia, wysuwa mu z pod ręki książkę i mówi:

— No, dosyć tego, mój chłopcze: idź spać, abyś miał jutro świeżą głowę.

— W tej chwili, mamó — odpowiada chłopak. — Ja przejrzę tłumaczenie, a mama niech znajdzie to słówko, co to mama wie...

Co rzekłszy, zaczyna szukać kajetu, a pani Marya wyjmując grubą książkę i grzebie w niej cienkimi palcami. Skoro słówko zostało odnalezione, po krótkiej sprzeczce o to, które znaczenie z licznych synonimów wybrać, chłopak zaczyna się w milczeniu szybko rozbierać i przy zdejmowaniu skarpetek zwraca się nagle do matki i pyta figlarnie:

— A umie już mama te przyimki wierszami?

Jest to słaba strona pani Maryi, i Jaś lubi kompromitować w ten sposób znajomość klasycyzmu swej matki.

Pani Marya uśmiecha się dobrotliwie i recytuje:

— Ante, apud, ad, adversus, circum, circa,

citra, cis, contra, infra...— Tu się zacina.

— Extra, mamusiu! — podchwytuje uradowany chłopak — wszak to tak łatwo zapamiętać: tak się przecie gra w piłkę nazywa!

Tu Jaś, zwinąwszy skarpetkę w kłębek, zaczyna wtajemniczać matkę we wszystkie arcana tej gry cudownej.

W innych razach podobne rozmowy z dziedziny życia szkolnego wywoływały śmiechy i gorące sprzeczki stron obu, gdyż pani Marya interesowała się żywo wszelkimi objawami życia uczniowskiego; znała ich żargon i wszystkie techniczne wyrażenia, a nawet w szerszych kołach malców zdobyła sobie uznanie za doskonale szycie tak zwanych «piłek robionych». Dziś jednak, wobec widma egzaminu, chłopak nie miał swej zwykłej werwy, a matka tem bardziej.

To też wkrótce Jaś umilkł i, uściskawszy ostatni raz matkę, wsunął się pod kołdrę, a pani Marya, po zgaszeniu lampy, z westchnieniem przeszła za przepierzenie do swego pokoju i, położywszy się w ubraniu na szeslongu, myślała o rozmaitych rzeczach do późna w noc.

Nazajutrz z rana, z książkami pod pachą i wypchaną śniadaniem kieszenią, Jaś pędził szybciej niż zwykle do szkoły. Na rogu, niedaleko gimnazyum, połączył się z dwoma towarzyszami niedoli: Stasiem Krzyckim i Antkiem Sikorą. Tu Antek, posiadacz cennego talentu odgadywania postawionego stopnia z ruchu ręki profesora, pokazał im świeżo wygotowaną w mleku lanekę, zrobioną ze starego kalosza, jedyną do palanta. Przyczem wygłosił niepozbawione prawdy zdanie, że lepiej się obciąć odrazu, niż mieć poprawkę, która zatruwa całe wakacje.

— Tak, — mówił — przynajmniej raz sprawią ci łaźnię, i masz już święty spokój, a z tą przeklektą «dryndą», to ci co chwila nietylko rodzice,



ale każda siostra i ciotka brzęczy nad uchem: ucz się, a ucz się! Dokazuj, dokazuj! zerznieś się za to jak baran!

— Kto wie, czy to proroctwo się nie spełni? — wtrąca flegmatycznie Staś, pieszczoch bogatych rodziców, choć w gruncie rzeczy zgadza się w tym względzie z kolegą, dla innych tylko powodów: z natury jest wrogiem wszelkich niewyraźnych sytuacji.

Jeden Jaś milczy; jest on drugorocznym, dla niego poprawka staje się Hamletowskim pytaniem: być albo nie być w gimnazyum? Co prawda, niezupełnie dokładnie zdaje on sobie sprawę z konieczności figurowania na liście rzeczywistych członków trzeciej klasy, a jednak pragnie zdać koniecznie. To też w miarę zbliżania się do gmachu szkolnego, ogarnia go niezwykle rozdrażnienie, niecierpliwość i lęk. Pragnienie to nietylko jest skutkiem jego miłości synowskiej

i chęci oszczędzenia matce zmartwień i łez: gra tu również wielką rolę wrodzona, odziedziczona po ojcu zaciętość w zwalczaniu przeszkód, zaciętość podsycana dziecinnym mniemaniem, iż powodzenie jego będzie źródłem przykrości dla profesora łaciny, który mu za egzaminacyjne extemporale postawił dwójkę i w którym widzi swego prześladowcę.

Jaś nienawidzi Orła (tak przezywano profesora łaciny) całą potęgą swej dziecinnej, nadmiernie wrażliwej duszy. On go zostawił na drugi rok w klasie, pomimo to, iż z reszty przedmiotów miał dobre stopnie. W następnym roku usilną pracą swoją i matki zdobywał przez cały rok zaledwie trójki, choć umiał gramatykę na wyrywki, a wszystkie wyjątki — jak pacierz. On również obciął go na egzaminie i dał mu poprawkę, choć mógł go i tak puścić.

— On mnie nie lubi, mamó — skarżył się Jaś nieraz pani Maryi po każdej otrzymanej trójce, a jednocześnie w młodej piersi chłopca przewracała się głucha wściekłość i usta kurczyły się zacięcie.

— On cię nie lubi —powtarzali mu nieraz koledzy.

To też, kiedy byli na schodach, Antek wzdycha głośno:

— Ach, żeby tylko Orła nie było!

Jaś szepcze w duchu:

— Boże, niech będzie!—gdyż czuje, że umie dobrze, spodziewa się, że mu zaimponuje, że go pogiębi swą erudycją, że dzień dzisiejszy będzie dniem jego odwetu.

Na schodach i korytarzach gmachu dnia tego rojno niezwykle: nie tylko pełno malców, ale

i starszych mężczyzn i kobiet: to rodzice prowadzą nowozaciężnych rycerzy. Dawniejsi uczniowie z pewnem lekceważeniem spoglądają na swych nieumundurowanych towarzyszy, jak stara gwardya — na świeżych rekrutów.

Wewnątrz gmachu zmian nie widać żadnych: te same szare ściany z ciemnym lampasem u dołu, ten sam zegar, a pod zegarem stary stróż stoi w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiono na początku lata. Podłogi tylko bielsze, a twarze malców ciemniejsze, zapalone słońcem i wsią. Antek swą groźną miną i sójkami wstępniaków teroryzuje, torując w ten sposób towarzyszom drogę do klasy. W klasie spotykają się z resztą kolegów, niższych i wyższych, którzy dnia tego również mają poprawki. Dziś nie tak tu gwaro jak zwykle. Nad salą unosi się widmo egzaminu, a wielki, pokryty zielonem suknem stół wygląda dziwnie złowrogo i odejmuje do reszty humory; ta ostentacya nie wróży nic dobrego.

Jeden Antek nie traci otuchy i zaczyna wy-  
prowadzać rodowód sukna wprost od spódnicy  
dyrektorowej; zaledwie kilka bladych uśmiechów  
odpowiada na ten dowcip, bo oto słysząc na ko-  
rytarzu ciężkie, dobrze znane kroki: malcy więc  
pierzchają i przysiadują na ławkach, jak stado  
wylękłych kuropatw, gdy zoczy jastrzębia. Drzwi  
otwierają się i ukazuje się w poplamionym fra-  
ku filolog—Orzeł.

Przezwise malców bywają niezwykle trafne.  
Ten Orzeł jednak—parafraza nazwiska—nie udał  
im się stanowczo. Ten człowiek nie ma bowiem  
nic orlego wogóle, nic nawet z ptaka, którego  
specyficzną cechą jest lotność. Przeciwnie, robi  
on wrażenie źle ociosanego, na podobieństwo  
człowieka, pnia, owiniętego w luźne płachty su-  
kna. Z długich rąk, o dłoniach wielkich jak pa-  
telnie, z niezwyklej grubości kolan, podobny jest  
do chodzącego na dwóch łapach niedźwiedzia.  
Niegrabnością ruchowi obwisłą odzieżą, przy-  
pomina hipopotama, lub wogóle którego z gru-  
boskórych; jedne tylko, maleńkie, latające oczy sta-  
nowią pewną dysharmonie z całą tą ociążałą po-  
stacią, która, jak również szeroka, płaska twarz,  
jest wiernem odbiciem jego duszy—w której nie-  
ma żadnej lotności, żadnych głębin, a której szero-  
kość wyraża się w niezwyklej rozciągłości psy-  
chicznej, pozwalają Orłowi godzić w siebie wszyst-  
ko: zachwycać się republiką grecką, chwalić try-  
bunów i czić oligarchów; uchodzić u siebie w do-  
mu za demokratę, liberała,—a dusić w uczniach  
wszelką samodzielność.

Malcy go nie cierpią, gdyż, pomijając srogość,  
jest on nieznośnym dla nich typem nauczyciela-  
ojca, który na tej zasadzie uważa za stosowne  
i konieczne rewidować wnętrza tornistrów i du-  
szy swoich pupilów.

Orzeł wywdzięcza się pięknem za nadobne: nie

lubi malców szczerze, choć prawdopodobnie, również jak oni, nie umiałyby umotywować dokładnie tego uczucia. Uczniowie go, wprost, rażą; rażą go uduchowioną, nerwową twarzą, przejawami swej żywotności; rażą starannym ubiorem, białymi gorsami, kołnierzykami—wszystkiem. Dla te-

go zapewne Orzeł nie cierpi Jasia, gdyż jest on najbardziej charakterystycznym typem z całej klasy. Biała, delikatna cera, drobne, niebieskie żyłki na skroniach, nieokreślona, melancholijna duma, rozlana w rysach, wielkie, jakby zmęczone oczy, wy-

kwintne ubranie, jasne loki, — wszystko to, co czyni tego malca żywym rysunkiem Grottgera, — to właśnie nie podoba się gruboskórej naturze profesora i budzi w nim żywiołową niechęć.

Przytem obie strony doskonale wiedzą o swych antypatyach: nic więc dziwnego, że najsprawiedliwsza nawet dwójka wywołuje w uczniach poczucie krzywdy, a z drugiej strony, każde najzwyklejsze zajście, najprostsze, naiwne zapytanie lub odpowiedź przedstawia się podejrziwemu profesorowi jako objaw złościwości lub oporu. Stąd między klasą a nauczycielem trwa cicha, lecz nieustanna, walka. Po jego stronie jest władza, wyrażająca się w postaci dwójek i kozy; bronią zaś dzieci są pogardliwe miny, drwiące uśmiechy, ciche szepty, wymowne spojrzenia i tysiące tym podobnych drobnych oznak lekceważenia i nienawiści, których niepodobna ukrócić paragrafem przepisów szkolnych, bo są nieuchwytnie, ale za to tern dotkliwiej drażniące.

Dzisiejszy humor pana profesora trudno nazwać złotym. Po długich wakacjach znów jest zmuszony stanąć przed klasą, od której odwykł, więc go tem silniej razi. Chmurny, w milczeniu siada na katedrze i rzuca krótki rozkaz:

— Modlitwa!

Jeden z cienkich głosów zaczyna szybko recytować słowa pacierza, a Antek tymczasem szepcze do Jasia:

— Zły, bestya!

Zaledwie przebrzmiało «amen», rozlega się znowu komenda:

— Na środek!

Pierwszy wychodzi Staś Krzycki; wygląda dość spokojnie i tylko w lekkim drzeniu trzymanej w ręku książki objawia się tajone wzruszenie.

— Jedenaście!

— Undecim — odpowiada, jak echo uczeń.

— Dalej!

— Duodccim, tredecim, quatuordecim!... — liczy jak nakręcona maszynka Staś.

— Dwudziesty szósty paragraf tłómaczyć!

Zaczyna się tłómaczenie, które idzie bardzo kulawo, choć Staś właściwie rozumie znaczenie zdań, nie może tylko znaleźć odpowiednich słów dla wyrażenia swych myśli.

Sytuacja zaczyna się szybko wyjaśniać. Plusquam perfectum od słowa «sto», dobija Stacha. Rozlega się sakramentalne słowo Orła:

— Dosyć!

Uczeń zwolna odchodzi na miejsce, profesor

bierze pióro, którego ruchy badawczo śledzi Antek.

Po chwili pokazuje on Stachowi dwa powalane atramentem palce.

— Czy tak? — szepcze zgnębionym głosem Stach.

— -

— Na pewniaka! — odpowiada z silnym prze-

konaniem Antek — dwóją jak drut!

Początek egzaminu sprawia fatalne wrażenie; strwożeni uczniowie oglądają się jeden na drugiego, i środek klasy, pomimo dwukrotnie powtórzonej komendy, pozostaje pustym.

— No, któryż tam?! — po raz trzeci odzywa się rozdrażniony filolog.

Wtenczas - to wysuwa się Antek i, jakkolwiek jest nadzwyczaj słabo przygotowany, idzie śmiało i pewnie. To jego zwykły system, zdobyty nietyle rozumowaniem, ile długoletnią praktyką. I rzeczywiście, ten sprytny chłopak wie dobrze co robi, gdyż na dziesięciu profesorów dziewięciu po postawionej dwójce chętniej szafuje trójkami.

Wielu jest nawet takich, którzy w stawianiu swych stopni rządzą się głównie pewną symetrią cyfr na papierze, którąby można nazwać przeplataną. Prócz tego wystąpienie Antka w tak krytycznej chwili każe przypuszczać niezwykłą pewność siebie, opartą na dokładnej znajomości przedmiotu. Cała dalsza taktyka jego jest również konsekwentną i niezwykle dowcipną. Czyta szybko i głośno, prawie krzyczy. Odpowiada za to powoli, patrząc badawczo w oczy Orła i przy najmniejszej oznace niezadowolenia gotów jest poprawić się; to też co chwila powtarza: «to jest — nie tak, omyliłem się», robiąc przytem uśmiechnioną minę, jakby się dziwił swemu roztargnieniu. —

W ten sposób odpowiedzi ciągną się długo i profesorowi zdaje się, że zadał masę pytań, chociaż w istocie było ich bardzo niewiele. Prócz tego, Antek swem zachowaniem się, wycieraniem nosa, prośbami o powtórzenie zapytania, krzykiem, męczy wprost Orła, choć sam również okrywa się kroplami potu.

W rezultacie cała ta manipulacja wywołuje w świadomości profesora olbrzymi chaos, wsku-

tek czego nie jest on w stanie zdać sobie dokładnie sprawy ze stopnia umiejętności ucznia; że jednak jest zmęczony, odsyła go na miejsce i stawia mu trójkę.

Kuty zaś Antek do ostatniej chwili gra znakomicie komedię i jeszcze na odchodnym robi niezadowoloną minę, jakby się lepszego stopnia spodziewał, choć drży z radości. Dopiero usiadłszy na miejscu, szepcze sąsiadom, wyczerpany walką, lecz dumny ze zwycięstwa:

— Wykpiłem się!

Egzamin ciągnie się dalej i, podczas gdy jedni zdają, reszta zachowuje się bardzo rozmaicie. Jedni gorączkowo przerzucają książki i kajety, powtarzając gramatykę i słówka; inni się kręcą niespokojnie na swych miejscach, jakgdyby klucy szpilkami; inni znów nieruchomie patrzą w przestrzeń jak senni; na twarzach wszystkich znać niezwykle natężenie nerwów.

Jaś należy do rzędu niespokojnych i niezdecydowanych; kilka razy postanawiał już wyjść, - — ale napróżno. W końcu zdobywa się na bohaterski wysiłek i staje przed katedrą. Twarz jego na chwilę robi się bladą jak papier, a oczy przybierają charakterystyczny wyraz przerażenia, jaki się zdarza spostrzegać u ludzi rzuconych nagle w zimną kąpiel. Jest to znana uczniom chwila, kiedy myśli nagle gdzieś pierzchają i ma się wrażenie, że się nic a nic nie umie i nic nie pamięta.

Po chwili jednak Jaś przychodzi do siebie i zaczyna odpowiadać zrazu stłumionym głosem, który wkrótce nabiera silniejszego dźwięku, a cera — żywszych kolorów.

Odpowiada naogół dobrze; przebrnął już szczęśliwie przez supina i gerundia, nie dał się złapać na futurum od czasownika eo; zabiera się w końcu do tłumaczenia. Tu jednak pierwsze

zdanie zaczyna się od słowa nego. Jaś zamyśla się na chwilę i gorączkowo grzebie w pamięci, napróżno jednak. Antek na jego miejscu już-by dziesięć znaczeń przypisał temu słowu i jakoś-by się wykręcił. Jaś prawdopodobnie chciałby toż samo uczynić, ale, wychowany w szczerzej atmosferze domowej, wprost nie umie kręcić i kłamać świadomie: milczy więc chwilę, a w końcu na natarczywe naleganie Orła:

— No, jakże?!

Odpowiada:

— Nie wiem.

W tonie tej odpowiedzi przebija lekkie rozdrażnienie, wywołane ogólnym podnieconym stanem chłopaka. Rzecz ta jednak w innym świetle przedstawia się profesorowa: to «nie wiem» wydaje mu się objawem pewnego lekceważenia ze strony Jasia: porusza się więc niecierpliwie na krześle; po małych oczkach przelatuje mu płowy blask; wnet się jednak hamuje, a siląc się na spokój, pyta:

— Jakaż to część mowy?!

Jaś mógłby zrobić zupełnie słuszny zarzut, iż, nie znając znaczenia, trudno jest odpowiedzieć

na takie pytanie; nie jest jednak o tyle filozofem. Natomiast w dzieciennym mózgu odbywa się mniej więcej następująca, pracowita i dość złożona, kombinacja: ego znaczy «ja»; nego zapewne jest czemś podobnym, jakby «nie-ja». W rezultacie zalicza on ten czasownik do rzędu zaimeków, nie podejrzewając zgoła, iż z jego przyczyny Cyncero wraz z Liwiuszem jękneli w głębiach swoich sarkofagów.

— Ha, to odmieniaj! — drwi dalej profesor.



Jaś jest konsekwentny, więc z najlepszą mi-  
ną zaczyna recytować:

— Nego, nei, nihi, ne i ne/...

Tu już, mało wrażliwy, ale klasyczny, duch  
filologa zaczyna kipieć świętem oburzeniem:

— Teraz dość! — rzuca przez zęby.

Jaś cofa się na miejsce, a Orzeł, schwyciwszy  
pióro, wykonywa niem szybki i krótki ruch.

— Ile? — pyta Jaś Antka.

Ten ostatni jednak jest zbity z tropu. Kole-  
ga, jego zdaniem, odpowiadał bardzo dobrze,  
trudno więc przypuścić, aby dostał pałkę: cóż  
więc innego mógł dostać?

— Chyba cztery! — szepcze.

Niezdecydowana odpowiedź Antka, dziwne  
zachowanie się profesora, — wszystko budzi nie-  
pewność i obawę w drobnej piersi Jasia. Ponie-  
waż jednak stopnie gimnazjalne są otaczane do  
czasu wielką tajemniczością (dlaczego? to rów-  
nież tajemnica pedagogiki), Jaś musi do końca,  
egzaminu pozostawać w wysoce rozdrażniającym  
stanie oczekiwania.

Około czwartej egzamin się kończy, malcy  
wychodzą, a profesor pozostaje w klasie, by  
stopnie przepisać na czysto i ostatecznie na coś  
się zdecydować.

Na korytarzach pusto i cicho; mała gromad-  
ka oczekujących chłopców nie zdoła już oży-  
wić szarych murów; nadto są oni zmęczeni  
Gorączkowy stan podniecenia minął; natomiast  
zaczyna się odzywać głód i znużenie. Jedni wy-  
dobywają z kieszeni śniadanie; inni jeść jeszcze  
nie mogą, więc siadają na tornistrach, aby w ten  
sposób odpocząć. Wszyscy odczuwają lekki ból  
w skroniach i kłucie w oczach.

Nagle, wyglądający przez dziurkę od klucza,  
Autek woła:  
— Idzie!

Cała gromadka zrywa się na nogi i skupia  
około drzwi. Wychodzi Orzeł:

— Stopnie! stopnie! — wołają malcy chórem.

Orzeł wydobywa kartkę i wśród ciszy gro-  
bowej czyta kolejno nazwiska, wymieniając przy  
każdym odpowiedni stopień.

Jaś jest na ostatku. W miarę czytania jedne  
twarze rozwidniają się uśmiechem, inne przecią-  
gają się smutnie.

- Sikora trzy, Skalski pałka — kończy pro-  
fesor.

Ostatni stopień sprawia niezwykle wrażenie;  
robi się pewien ruch wśród uczniów, potem  
znów cisza i nagle rozlega się okrzyk, w któ-  
rym brzmi skarga, rozpacz i protest.

— Za co?

Jęk taki wydobywa się z bladych ust Jasia.

Uszy profesora, nader wrażliwe na protest,  
rozdzielają tylko ten ton w okrzyku chłopca.  
Twarz Orła przybiera wyraz dziwnie drapieżny;  
płowy błysk zapala się w jego oku, a z waż-  
kich ust lecą chrapliwe wyrazy:

— Jeszcze pytasz za co? — Jak śmiesz!... Ja  
ci- Tu urywa i zatapia swe świdrowate oczy  
w bladą twarz Jasia.

Nastaje chwila ogromnej ciszy, tak, że sły-  
chać przyśpieszone oddechy drobnych piersi, na-  
tężone tętna pulsujących skroni i ciężkie sapanie  
Orła, którego wzrok spotyka się z rozpalonemi  
oczyma nie tylko Jasia, ale i reszty malców, obu-  
rzonych do głębi tym stopniem.

Po krótkiej chwili tej walki spojrzeń filolog

opuszcza oczy i cedzi zdanie pełne zgryźliwości i jadu:

— Prawda! tyś drugoroczny: nie jesteś więc już uczniem...

To rzekłszy, odwraca się i oddala powoli, stukając w podłogę obcasami.

— Bydlę! — leci w ślad za nim kilka stłumionych szeptów, poczem gromadka zabiera się w milczeniu do odejścia.

Pierwszy, chwytając się poręczy, spuszcza się po schodach Jaś, a koledzy odprowadzają go spojrzeniami, pełnemi współczucia i szacunku, jak żołnierze — towarzysza, który w zaciętym boju otrzymał śmiertelny postrzał.

Jaś rzeczywiście czyni wrażenie rannego: idzie, ślaniając się, blady jak trup, a w piersi czuje ołowiany, nie dziecięcy, ciężar splątanych uczuć, wśród których góruje palące poczucie krzywdy, tem żywsze i silniejsze, że zrodzone w świeżej duszy dziecka, którego życie jeszcze nie zdążyło - przyzwyczaić do tego, by być krzywdzonym i krzywdzić innych.

Pani Marya, powróciwszy ze swych lekcji, od godziny oczekiwała z niecierpliwością syna, biegając od okna do okna. Z małej kuchenki wraz z parą i odorem potraw dolatywało gderanie starej Janowej:

— Ach! ten panicz się spóźnia! Wszystko wystygnie, a pieczeń wyschnie na skórę!

— Rzeczywiście! Co to jest, że go jeszcze niema? - szepcze pani Marya i dla zabicia czasu zaczyna wybierać na fortepianie jakąś trudną melodyę.

Po chwili rzuca tę pracę, biegnie ku oknu i patrzy pilnie w ulicę, czy nie dojrzy granato-

wej czapki: napróżno! Wraca z westchnieniem napowrót, przewraca odwieczne album, to znów porządkuje graciki na biurku.

Wtem rozlega się cichy brzęk dzwonka. Pani Marya zrywa się z krzesła i z piskiem radosnym «Jaś!», otwierając drzwi, rzuca pytanie:

— No, cóż tam, chłopcze?

Błada twarz Jasia, wcięte usta i podsiniałe oczy są aż nadto wymowną odpowiedzią.

Pani Marya staje się niemniej bladą od syna, cofa się kilka kroków w głąb pokoju, stoi przez chwilę, jak posąg zastygły, potem podnosi swe drżące ręce ku skroniom, i z głuchym jękiem: «Boże! ach, Boże!» usuwa się na krzesło.

Jaś staje w kącie i spogląda z podelba na matkę, z twarzą zaciętą i suchemi oczyma. Tymczasem wchodzi Janowa, niosąc nakrycie i dymiącą wazę rosółu, spostrzega całą tę scenę: zostawia więc w milczeniu wszystko na stole i mruczy, wychodząc:

— Jest! znowu pasztet!

— Ileż dostałeś? — pyta w końcu pani Marya

złamanym głosem, w którym drżą tłumione łzy.

— Pałkę — odpowiada sucho Jaś.

— Za co? bój się Boga! — woła pani Marya tonem wyrzutu i żalu.

— Niech się mama ich spyta! — brzmi ostra odpowiedź.

Pani Marya, jakby ukłuta, wstaje nagle z krzesła i, mrugając z przerażenia oczyma, patrzy długo w twarz chłopca, a potem szepcze zgnębiona:

- Co to jest, Jasiu! Jak ty mówisz do mnie?

Jaś spuszcza oczy i milczy.

- Tymczasem matka zaczyna chodzić szybko po pokoju, z twarzą bezradną dziecka, łamiąc swe szczupłe ręce. Żal do syna zmienia się w boleść głęboką, w rozpacz prawie. Pani Marya domyśla się teraz, że Jasia skrzywdzono, i widzi, że syn staje się z kolei krzywdzicielem jej serca. Pani Marya jednak jest matką Jasia: więc jej gorycz i głębokie rozżalenie nie zwracają się ku niemu, ale ku źródłu, z którego, w jej mniemaniu, płynie to wszystko. Boleść jej zmienia się wkrótce w uczucie graniczące z wściekłością. —Pójdę, pójdę! — szepcze nerwowo pani Marya, nakładając kapelusz. — Powiem, powiem im wszystko! wszystko!— dodaje już głośno i szybko wybiega z pokoju.

Jest już dość późno, prawdopodobnie około szóstej. Słońce stoczyło się za mury miejskie.

Na ulicach wraz z chłodem zwiększa się turkot i ruch. Różnobarwna fala ludzi wylewa się na miasto i płynie ulicami w rozmaite strony, jak gwarliwe odnogi górskiego potoku. Głośne rozmowy i śmiechy mieszają się z wykrzyknikami przekupniów, sprzedających drobne przedmioty, z nosowemi jękami żebraków: «Choć grosik, litościwa osobo!, z gwałtownem dzwonieniem tramwajowych dzwonek. Nad wszystkim góruje dudnienie i turkot toczących się pojazdów.

Turkot ten nie jest bynajmniej bezmyślnym. Dziś, na przykład, czyni on wrażenie szyderczego chychotu olbrzyma. Z czego się śmieją te bite kopytami bruki? Trudno odgadnąć! A może z tego, że pani Marya, taka malutka i drobna, tak szybko biegnie do szarego gmachu, którego cokół jest znacznie wyższy od niej, klamka przy drzwiach tak gruba, że jej objąć jedną dłońią

nie zdoła, a dziurka od klucza trzy razy większa od wielkiej, staczającej się po jej policzkach, łzy.

Niestety! Pani Marya nie słyszy tego drwiącego śmiechu; mija ulicę za ulicą i wpada w końcu na schody bez tchu, zdyszana jak zmęczony ptak.

— Czego pani sobie życzy? — zatrzymuje ją stary stróż.

— Czy jest profesor łaciny? — pyta pani Marya, chwytając spalonemi ustami powietrze.

— Który?

— Orzeł.

— A jakże, są wszystkie, tylko co poszli na sesję. O! proszę pani, tędy.

Pani Marya idzie za stróżem i wkrótce się znajduje w wielkim, mrocznym korytarzu.

— Oho! już się zaczęło; musi pani poczekać — ciągnie stróż, zaglądając przez oszklone drzwi do wnętrza sali, z której dolatują stłumione głosy i mdły potok światła.

Po chwili stróż siada pod ścianą na stołku, a pani Marya zaczyna chodzić wzdłuż drzwi, tam i napowrót, jak niez mordowane wahadło zegaru.

— Może pani spocznie — mówi po długiej pauzie stróż, podsuwając jej krzesło.

Pani Marya przyjmuje tę przysługę z wdzięcznością. Jest, oczywiście, ogromnie zmęczona; nogi drżą pod nią; przytem to wszystko, co miała powiedzieć, co przedstawiało się jej w domu tak jasno, znikło teraz gdzieś bez śladu, tak, iż z trudnością zbiera myśli, by złożyć najprostsze zapytanie. Czuje jednak, że musi coś przedsięwziąć w obronie syna: czeka więc cierpliwie.

Z sali od czasu do czasu dolatuje jakieś urwane zdanie, słychać czasem śmiechy, raz nawet wszczyna się tak głośny hałas, że pani Marya zrywa się z krzesła, a stróż się prostuje, my-

śląc, że rada już skończona.

Alarm jednak okazuje się fałszywym. Sala znów cichnie do tego stopnia, że słyhać wyraźnie «tik, tak» wiszącego nad drzwiami zegaru i niewprawne brzdąkanie jakiegoś odległego fortepianu.

Sesja przeciąga się niezwykle długo. Pani Marya tymczasem przypomina sobie, że nie wie nawet jak wygląda Orzeł: zadaje więc stosowne pytanie stróżowi.

— Ja pani mrugnę — odpowiada stróż, — Oho! już, zdaje się, idą — dodaje, zbliżając się ku drzwiom.

Rzeczywiście, słyhać szmer odsuwanych krzesel i stapanie kroków. Drzwi się otwierają i mroczny korytarz rozwidnia się falą światła i blaskiem kilku łysin. Łysi panowie, ubierając się, przypatrują się dość obojętnie pani Maryi, która, przylepiona do ściany, z wypiekami na twarzy, mocno wzruszona, patrzy wymownie na stróża. \*Nakoniec stróż mruga znacząco. Wysuwa się Orzeł, a za nim jakiś niewielkiego wzrostu, szpakowaty mężczyzna w binoklach, o łagodnym, szlachetnym profilu i zmęczonych szarych oczach.

Pani Marya zastąpiła obydwom drogę.

— Panie! — zwraca się do Orła.

Szpakowaty mężczyzna cofa się kilka kroków, opiera się o futrynę drzwi i słucha.

— Panie! — bąka pani Marya nieśmiało, usiłując przypomnieć sobie z trudem przygotowane zdanie — mój syn...

— Co syn?! kto? nazwisko?... — pyta niecierpliwie Orzeł.

— Skalski — szepcze pani Marya.

- —

— A ten!— no, cóż? powinna być nam pani

wdzięczną, że mu pozwalamy dobrowolnie usunąć się z gimnazjum! Nieuk i hardy przytem. Pani samaś temu winna — zapala się Orzeł — źle go pani chowasz, jak zresztą wy wszystkie!...

Szpakowaty mężczyzna porusza się niecierpliwie, jakby chciał coś powiedzieć; po szarych jego oczach prześlizguje się błyskawica, ale szybko gaśnie. Człowiek ten uśmiecha się tylko dziwnie smutno i zostaje w poprzedniej pozycji.

— Ależ, panie!... on się uczył... — jąka się pani Marya.

— Niech się nie uczy, a umie! Widać niezdolny!... Uczył się... hu! hu! hu! Nego odmienia jak ego... Cała Rada z tego się śmiała. Podobnego baka palnąć może idyota... — grzmi dalej Orzeł, poczem, rzuciwszy krótkie: — Zresztą, nie mam czasu! — zabiera się do odejścia.

Po ostatnim epitecie, wygłoszonym pod adresem Jasia, pani Marya drgnęła całym ciałem, usiłując coś powiedzieć... co jednak? niewiadomo, bo głos jej zamarł w gardle. Stała chwilę, a potem, odwróciwszy się, odeszła cicho, niosąc w piersiach ostry ból, a w głowie chaos niezwykły.

— To fałsz! to fałsz! -- szeptała cicho pani Marya, starając się w ten sposób odpędzić ten krótki wyraz, który się jej wpija do mózgu,

a którego zrozumieć nie może. — Jej Jaś idyota?!... to niepodobna! Niezdolny?... w to nawet uwierzyć nie może, nietylko dlatego, że Jaś jest jej

synem, ale, że ma spełnić jeszcze jedno zadanie, o którym pani Marya marzyła nieraz w ciche wieczory... I oto teraz, gdy tak idzie znękana i przybita, przypomina jej się ta bolesna chwila, kiedy mąż, zanosząc się od kaszlu, wyszeptał cicho:

— Nietylko was mi żal, ale i tego niedo-



kończonego dzieła — wychudłą ręką wskazując leżący na biurku rękopis.

A pani Marya wtenczas, tłumiąc łzy, nadludzkim wysiłkiem przywołała na usta uśmiech udany i rzekła prawie wesoło:

— Sam tego dokończysz, a gdybyś nie mógł, Jaś cię wyręczy — dodała z wiarą...

I oto dzisiaj wierzyć jej każą że to nigdy się nie ziści... Cała rada się śmiała... Jeżeli słusznie?...

— Nie, nie — powtarza pani Marya, chwytając się latarni...

— Co pani jest? — odzywa się nagle głos.

Pani Marya, rzuciwszy z przerażeniem wzrok przed siebie, spostrzega stojącego przed nią szpakowatego mężczyznę.

— Nic, nic! — odpowiada z trudnością, usiłując iść dalej.

— Czy pani mnie nie poznaje? — ciągnie właściciel binokli. — Jestem Kącki, inaczej stary mantyka - matematyk, który miał honor uczyć i męża pani i syna.

Tu pani Marya przypomina sobie, że tę twarz gdzieś widziała, ale gdzie — nie pamięta.

— Nic dziwnego, dawne czasy — mówił dalej jegomość. — Zmieniłem się nietylko ja, ale i świat... Czego pani płacze? — dodaje łagodnie. — Słyszałem, co ten osioł pani powiedział. Jest. czego się martwić?!.. Ja prędzej miałbym prawo do łez, że tracę zdolnego ucznia... Szkoda mi go: rozumiał arytmetykę... Niech mi pan wierzy, że mi żal go serdecznie; to chłopak myślący, ten pani Jaś, wdał się widać w ojca. On jeden spytał mnie: jakim sposobem dziewięć w peryodzie, ułamek, może się równać jedności? A zresztą,

prawda, pani tego może nie rozumie; nudzę panią niepotrzebnie; już to mój zwyczaj!..

— Ależ nie! — protestuje żywo pani Marya. I rzeczywiście, ten człowiek, co chwali i broni przed nią Jasia, wydaje się jej aniołem niebieskim, a ciche jego słowa płyną jak balsam w zmęczone jej serce...

— Tak, tak! — ciągnie dalej matematyk — niejeden starszy nad tem się nie zastanowił. Postawiłem mu za to pytanie piątkę: jedyny sposób, w jaki mu mogłem mą wdzięczność okazać... Szkoda mi go! Gdyby nie to, że mnie tu nie lubią i wiszę jak na włosku, to - bym go dziś może na radzie próbował bronić... Choć zresztą... kto wie czy nie lepiej, że się pożegnał ze szkołą...

— Jakto? — pyta pani Marya tonem szczerzego zdziwienia.

- Widzi pani — odpowiada jegomość, poprawiając binokle — w szkołach dzisiejszych... ogólny strychulec, powyżej którego wychylić głowę niebezpiecznie, panuje wszędzie. Rzecz bardzo zrozumiała. Spryt handlarski i pracowitość popłacają w sklepie i fabryce, popłacają więc na świecie, który się zmienia w olbrzymią targowicę i monstrualną fabrykę. Nic też dziwnego, że szkoła te dwie tylko marne zdolnostki uznaje, a innemi gardzi... Teraz już niema przybytków nauki, bo niema kapłanów, a w dawnych świątyniach rozparli się geszefciarze myśli i pracowite mole...

— O, tak — dodaje po chwili jakby do siebie — i ja niegdyś myślałem o czwartym wymiarze, a dziś tych trzech zrozumieć dobrze nie mogę... Ja idę na lewo, a pani? — przerywa nagle.

— Ja również — odpowiada pani Marya. — A więc idziemy razem — mówi dalej, uśmiechając się dziwnie. — Zresztą myślę, że nie

o czwarty wymiar pani chodzi, lecz raczej o wydatki. Otóż, zaraz możemy to obliczyć. Jeżeli pani płacić będzie dobremu korepetytorowi dwadzieścia rubli miesięcznie (cena wygórowana!) za godzinę dziennie zajęcia, co zupełnie wystarczy, bo malec, rękę, przez tę godzinę więcej zrobi, niż przez pięć w klasie, wyda pani, przypuśćmy, na jego naukę o sto pięćdziesiąt rubli rocznie więcej; liczę za dużo, ale niech i tak będzie! Pomnożyw-

szy przez sześć, otrzymamy dziewięćset rubli: to spora różnica! Ale za te pieniądze któryś z naszych młodzieńców znajdzie możliwość utrzymania się, a pani Jaś nie będzie zmuszonym przez pięć godzin dziennie oddychać zatechłym powietrzem klasy, truć się dwójkami, oszukiwać profesorów, wykręcać się, kłamać, psuć sobie płuca, serce i mózg. To chyba niezbyt drogo. Niech pani przytem zwróci uwagę na to, że za jakie trzy lata Jaś mógłby się uczyć sam, korzystając tylko ze wskazówek życzliwych ludzi, których koniec końców znajdzie wszędzie. W ten sposób on zyska, bo się przyzwyczai do samodzielnej pracy umysłowej, a różnica wydatków zmniejszy się o połowę. Dalej, od pozostałych czterechset pięćdziesięciu rubli niech pani odejmie koszt umundurowania, niezliczonej liczby zupełnie zbytecznych książek i doktora, który z pewnością będzie rzadziej do państwa zaglądał — otrzymamy maximum trzysta. Jeżeli jednak i tych brakuje, to odpraw pani sługę, a Jaś, który o połowę mniej czasu będzie tracił na naukę, może śmiało czyścić sobie i matce obuwie i ubranie, zamiatać pokój, nastawiać samowar i doglądać obiadu. Ne takim połączeniu pracy fizycznej z umysłową nie straci on z pewnością, prócz tego nauczy

się praktyczności i gotowania — rzeczy nie do pogardzenia — a znaczna różnica spadnie do zera. W ten sposób zdoła chłopak przygotować się do egzaminu dojrzałości i ominie jeden z najgorszych etapów. Tak, ten papier jest potrzebny, zarówno jak i drugi papier, zwany dyplomem. Choć kto wie, czy warta gra świecy? Zapewne bardzo być może, że nieopatentowany Jaś będzie miał trochę szczuplejsze dochody, ale rozwinięty, nieskrzywiony, — szczęśliwiec! — będzie żył całą pierśią swojej istoty i nie pozwoli zmarnować i zdusić ani jednego pierwiastku swej duszy; Jasia zaś spaczzonego, zahukanego, spreparowanego wedle recepty, będzie życie ja-dło i żarło... To nawet za silne! Życie nie jest tak okrutne: ono go zetrze, tylko powoli, tak, jak ścierają się nawzajem dwa młyńskie kamienie.

— Więc pan go radzi nie posyłać do szkoły? — wtrąciła pani Marya.

— Ja nic nie radzę — przerwał jegomość — tylko obliczam; przytem zastrzegam się, że nie jestem pedagogiem, choć może - by być nim wypadało. Nie kusiłem się jednak nigdy o to i zdaje mi się, że mam pod tym względem rację. Bo czyż może być mowa o jakimś wychowaniu z naszej strony, jeżeli me mam żadnej ręką, że moje zasady, że mój system wychowawczy, którego się będę trzymał w ciągu mojej godziny, nie zostanie zniszczonym, a może oplwanym, przez tego, który po pięciominutowej pauzie zajmie miejsce moje na katedrze? A gdyby nawet panowała zupełna jednomyślność w gronie nas, profesorów, byłby to również próżny wysiłek,

gdyż klasa składa się z najrozmaitszych typów

i organizacji psychicznych; system zaś i przepisy musiałyby być jedne i jednakowo wszystkich obowiązujące. Ja więc nie bawię się w wychowawcę i nie prawię morałów, z których malcy notabene za plecami się śmieją; staram się być tylko dobrym nauczycielem, bo tu mam prawo i pewną możność objaśniać jedne i tę samą rzecz na różne sposoby, stosownie do umysłu każdego z mych uczniów. Wychować my nie możemy; możemy co najwyżej, popsuć. Wychowuje dom, a raczej wy, panie matki, a oprócz was jeszcze — koledzy... Czy pani idzie prosto?

— Tak — zmyśla pani Marya.

— A więc idziemy jeszcze razem. Koledzy, pani, jest to element w wychowaniu niezwykle ważny, szczególnie u starszych chłopców; na szczęście, potężny ich wpływ jest prawie zawsze dodatnim. Przez dziesięć lat bez binokli, a obecnie drugi dziesiątek lat przez binokle, patrzę na życie, i nigdy jeszcze nie spotkałem się z faktem, by rej wśród klasy wodził chłopak zepsuty i podły. Rzecz również zrozumiała, skoro nawet w świecie dorosłych złe mimowolnie się korzy przed tem, co szczytne i wzniosłe, brzydota czuje się w obowiązku tłumaczyć przed pięknem, egoizm nie ma odwagi wystąpić otwarcie, i dlatego kryje się pod najrozmaitsze maski. Tem bardziej toż samo dźać się musi w światku dziecięcym, który z natury swojej ma więcej od nas szlachetności. - -

Tu matematyk potrząsnął smutnie głową i jeszcze raz powtórzył:

-Tak! więcej szlachetności. — I umilkł.

W ten sposób przeszli kilkanaście kroków, aż w końcu, na zbiegu ulicy, szpakowaty jegomość, zatrzymawszy się, spytał:

— No, teraz pani którądy?

— Na lewo — odparła pani Marya.

— A ja na prawo. Więc żegnam tymczasem

i ośmielę się dać tylko jedną radę: niech pani nie odgradza swego jedynaka od innych dzieci; niech biega z niemi, gra w piłkę, niech drze ubranie i skórę: im więcej guzów zarobi, tern lepiej, a jak będzie miał ochotę, niech, smyk, wpadnie do mnie. Mieszkam tu, pod piątym. Pogadamy sobie o ułamkach.

Co rzekłszy, złożył niezgrabny ukłon, a pani Marya, uściskawszy go serdecznie za obie ręce, pełna otuchy, choć trochę niespokojna, dreptała szybko do domu.

Na progu przywitała ją chmurna Janowa.

— Co też pani temu chłopcu zrobiła? — rzekła z wyrzutem. — Obiadu nie jadł, siedzi biedactwo jak borsuk w kacie. E, bo też pani to zmiłowania nie ma nad tym chuchrakiem!

W oczach pani Maryi błysnęły znowu łzy; wpadła do pokoju, wyciągnęła z kąta Jasia i jęła go obsypywać gradem pocałunków, przyczem chłopak zaczął się trząść jak liść i nagle zaniósł się od łkania i płaczu.

— No, cicho, cicho! — szeptała pani Marya, tuląc jasną jego główkę do piersi. — Nie płacz! nie płacz! — powtarzała dalej, szlochając wraz z synem.

I nie wiadomo jak długo płakaliby oboje, gdyby nie interwencya praktycznej Janowej, która, obcierając fartuchem swoje pocziwe oczy, rzekła stanowczo:

— Ja pieczeń przygrzeję, a państwo zjedzą, i już!

Pomysł ten zyskał ogólne uznanie. Syn i matka byli wygłodzeni porządnie: więc objętość pieczeni, łykanej z resztką łez, jęła się zmniejszać dość szybko, ku wielkiej radości Janowej, dbałej

o dobrą sławę kucharki.

Podczas jedzenia pani Marya złożyła Jasiowi krótkie sprawozdanie ze swej wyprawy.

— Tak, tak, mój Jasiu! — skończyła — tydzień odpoczniesz, a potem będziesz miał nauczyciela... a ja godzinę więcej grania — szepnęła w duchu.

Jaś z rozszerzonymi oczyma przysłuchiwał się, zdziwiony, słowom matki, a w jego twarzy błyszczała radość, zmieszana z ciekawością.

— No, teraz chodźmy spać; należy się, to nam obojgu — dodała pani Marya, całując kilkakrotnie syna.

Jaś zaczął się rozbierać; zaledwie jednak wsunął się pod kołdrę, twarz jego spochmurniała, i spytał matki:

— Ale za co on mi postawił pałkę?

— Ach, prawda! — odparła pani Marya. — Mówił coś o tem, czekaj, przypomnę sobie... zdaje mi się — nego.

— Tak, nego, nego! mamusiu — pochwycił Jaś, zerwał się w koszuli z łóżka i, chwyciwszy słownik, jął gorączkowo przewracać kartki.

— Nego, negavi, negatum, negare — czasownik — wymówił zwolna, z zawstydzoną miną — znaczy: przeczę; zaprzeczam; mówię, że nie; protestuję.

- No, chyba to słowo będziemy dobrze pamiętali oboje? — przerwała pani Marya, odchodząc do swego pokoju.

— O, będziemy, mamusiu! — wyrzekł z mocą Jaś — i kładąc się szeptał zawzięcie: — nego, negavi, negatum, negare.

Tymczasem miasto uspakajało się powoli; noc płynęła na niebo, wiodąc za sobą miliony gwiazd,

ciszę i sen. Ogromny księżyc wyjrzał z za dachów wyniosłych domów i rzucił ważki snop smutnego światła w okna cichego mieszkania.

- Czy mama już śpi?... bo ja nie mogę... — szepnął półgłosem Jaś.

Pani Marya również nie spała... Oboje znajdowali się w tym dziwnym stanie wyczerpania i jednocześnie rozstroju, wywołanego nawałem wrażeń, kiedy - to oczy się kleją, a jednak usnąć nie można, bo tysiące myśli porwanych i majaczących obrazów ciśnie się do głowy; wszystko

to się płacze, to skupia, to znów rozprasza, jak stada spłoszonych gołębi.

— Nie, nie śpię — westchnęła pani Marya i postanowiła chwycić się środka, którym koła zwykle swój niepokój i którym usypiała nieraz rozkapryszonego Jasia.

Podniosła się z łóżka, naciągnęła na drobne, boscie nóżki filcowe pantofle, narzuciła jasny szlafroczek i, owinięta kaskadą bujnych włosów, zbliżyła się ku klawiaturze pianina.

Popłynęły ciche, stłumione dźwięki... Co pani Marya grała, trudno było określić: było to jakieś splecione potpourri mniej i więcej znanych motywów, łączonych przejściami własnego pomysłu, dziwnie wymownymi i smutnymi. Gra jej nie odznaczała się biegłością techniki, ale wzruszała ogromem uczucia. Była to jakaś cicha pieśń, wytchnięta z głębi piersi, w której łkał bezradny płacz zabłąkanego wśród lasu dziecka, trwożne kwilenie ptaków, zbudzonych łuną pożarów w noc ciemną, tęsknota krzyżów spróchniałych na rozstajnych drogach, podczas zawie-

ruchy zimowej stojących smutnie, Chwilami się



zdawało, że to nie pianino dźwięczy, ale drżące tony lecą wprost z drobnych palców, z przymglonych oczu pani Maryi, leją się z jej jasnych włosów, spływają z gwiazd, nad oknem tłumnie stłoczonych...

A księżyc wznosi się wyżej i wyżej i coraz większym blaskiem napełnia szczupłe mieszkanie. Niebo wyiskrzyło się całym bogactwem swoich brylantów, droga mleczna rozwiała srebrne welony szerokim szlakiem...

Noc stawała się jasną, lecz dziwnie smutną zarazem, a jej smutkowi jęły wtórować pełne akordy Szopenowskiego nokturnu...

Tu już melodia tak zespoliła się z nocą, że trudno było odróżnić: gdzie pani Marya, a gdzie noc grała? gdzie łkania strun, a gdzie łzy gwiazd?

I właśnie, kiedy wielki, błękitny meteor oderwał się od stropu i, lecąc cicho, zgasł nad ziemią, jęknął ostatni klawisz...

Pani Marya wstała powoli, przeszła, jak sena, przez drzwi, zbliżyła się do łóżka syna i klękła przy nim tak, iż długie jej włosy zmieszły się z wiązką, leżących na podłodze, złotych promieni księżyca.

Jaś spał spokojnie, odwrócony nawznak; jedną obnażoną rękę założył pod głowę, druga mu zwisała bezładnie z poduszki. Usta miał wpółotwarte, przymknięte oczy i cień od długich rzęs pod niemi, co nadawało twarzy piętno zmęczenia i smutku. Nagle drobna zmarszczka przecięła mu matowe czoło, usta skurczyły się zacięcie— i Jaś, oddzielając wyraz od wyrazu, wymówił przez sen, dobitnie, głosem urywanym, bezdźwięcznym i głuchym:

— Nego, negavi, negatum, negare — zaprzeczam, protestuję...

- -

Pani Marya drgnęła, jakby jakimś niewytłumaczonym lękiem przejęta, potem, z oczyma łez pełnemi, pochyliła się nad głową syna i zakryła mu usta gorącym pocałunkiem, w którym roztopił się mars chłopca, a twarz przybrała poprzedni wyraz spokoju i melancholii...

I długo jeszcze pani Marya wpatrywała się badawczo w umiłowane oczy, w których widziała przeszłość minioną, z wyrazem takiej zadumy, jakby z nich przyszłość chciała odgadnąć.

Przyczem, w oprawie nocy, tworzyli oboje tak piękną, smutną i harmonijną grupę, że wszystkie gwiazdy, do których właśnie dopiero teraz dobiegły dźwięki granej melodyi, pytały siebie: czy nie są oni czasem zaklętym kształtem ostatnich akordów tylko co przebrzmiałego nokturnu? CHUDY PAN

Czasem, dyabli wiedzą skąd, chwyta człowieka tęsknota i smutek serca się czepia. Dusza się rozmarza, a mózg wzburzony, jak rozfalowane morze — muszle, najrozmaitsze myśli wyrzuca, dziwaczne nieraz, jak te muszle: jedne puste, w innych tkwi perła:

Otóż byłem w tak dziwnem usposobieniu; dlaczego? nie wiem. Może dlatego, że byłem sam i tak daleko...

Lecz często bywałem samotny. Wszystkiemu chyba winien był wiatr, co się szamotał i wył, i ta rzeka, co, szlochając, pędziła gdzieś w dal swe szare fale, i pieśń burlaków tęskna, monotonna — jak życie, jak praca ich ciężka.

Właśnie wieczór napełnił pokój mój mrokiem, gdy przyszło mi na myśl, że przykro człowiekowi wejść, naprzykład, na pierwsze piętro, zadzwonić, spytać się: czy państwo w domu? — i usłyszeć gniewną odpowiedź: «To nie tu; to o dwa piętra wyżej!...» Choć może przykrzej stokroć

przyjść przez pomyłkę na ten świat i w nim- -  
utknąć, choćby dlatego, że schodów na wyż-  
sze gwiazdy niema...

A potem znowu ni stąd ni z owad myślałem,  
że śmierć to chytry majster. Ledwie się zjawi,  
chcesz jej się lepiej przypatrzeć, by poznać co  
to za ptaszek... a tu fiut!., i już cię nawet nie-  
ma... Nie widzisz majstra, dla tej prostej przy-  
czyny, że oczy ci szkłem już zaszły, i ani się  
ruszysz, ani drgniesz, choćby ci nawet najuko-  
chańsza istota na szyi zawisała...

—Dziękuję panu!— zabrzmiał głos.— Z pierw-  
szego widzę, żeśmy krewni... a druga myśl, choć  
nic wielkiego... ale na bezrybiu i rak ryba, a te-  
raz taka tandeta, wierz mi pan! Nikt chyba tego  
lepiej ode mnie wiedzieć nie może.

Tu gość mój przysunął sobie stołek i dalej  
ciągnął, siadając:

— Daruje pan, że przychodzę tak późno, ae  
w innej porze stale siedzę, a raczej leżę, w do-  
mu: nie przedstawiam się — to zbyteczne; zresz-  
tą mam czasu tak niewiele... możesz mnie pan  
nazywać jak zechcesz, choćby — Chudy Pan...

Gość był rzeczywiście, przerażająco chudy;  
twarzy dokładnie w zmroku dostrzedz nie mo-  
głem, ale zauważyłem, że frak wisiał na nim jak  
na haku, a lśniące buty o bardzo cienkich po-  
deszwach wyraźnie były za duże i marszczyły  
się niemożliwie.

— Nazwałem pana krewnym, — mówił dziw-  
nie głębokim i sympatycznym głosem, — bo ja  
również przez jakąś pomyłkę dostałem się na  
ziemię.

Niańka moja sformułowała to w inny spo-  
sób: «Ten rak nie pasuje do kołyski» — rzekła.

Czy byłem za duży, czy za mały? — tego dowiedzieć się nie mogłem. Wiem tylko, że mi później ciągle przeszkadzał ów brak «pasunku.» Wyraz ten nie jest moim wynalazkiem: stworzył go pewien znajomy mój, stary ślusarz-mechanik, który zwykł był mawiać: «Pasunek, panie tego, to grunt w każdej robocie; bez tego, panie, wszystko na nic! Najlepsza maszyna stanie, ani rusz! jakby w nią piorun trząśł, panie tego!»

Był to jedyny człowiek, który pomimo «panie tego» miewał genialne pomysły.

Z dzieciństwa mego niewiele pamiętam. Mieszkaliśmy na wsi. Ojca nie znałem, tylko matkę, która, widocznie, zanadto silnie dopasowała swe serce do reszty mego rodzeństwa. Dla mnie zabrakło «pasunku»: byłem więc traktowany trochę inaczej niż inni. Widziałem to doskonale, ale nie widziałem wtenczas tego, że jestem inny, że mam ogromne wady: gwałtowny łobuz, z przerażającą szybkością darłem po drzewach i dachach ubranie — co prawda, i skórę także; raz próbowałem uciekać do Ameryki, by odszukać «Ducha puszczy»; a już najgorszą to była chorobliwa prawie nadczułość duszy i serca. To, co innych mogło ukłuć za ledwie, mnie przenikało do głębi. Ta nierównomierność między razem zadaniem a echem jego w mem sercu była źródłem wszystkiego złego, jak dla mnie tak i dla mego otoczenia.

Dodaj pan jeszcze do tego jakiś wieczny rozdźwięk między mą duszą i rzeczywistością: a nie wyda ci się todziwnem, że często nie rozumiałem sam siebie, a prawie nigdy mnie — blizcy.

Takie nieporozumienia męczące są i smutne.

Stąd działa mi się rzeczywiście krzywda, choć rzeczywiście skrzywdzić mnie nie chciano. Tak mówię dziś; wtenczas jednak nie umiałem sprawiedliwie całej sytuacji ocenić. Cóż dziwnego?

Trudno dorosłemu trzeźwo patrzeć, gdy go głowa boli lub serce; trudniej jeszcze dziecku, szczególnie, gdy to dziecko ma nieprzepartą skłonność do zapatrywania się w mglistą dal.

Myślałem wszakże i ja czasem, najczęściej nocą, gdy wszyscy spali, a na niebie paliły się rzewne gwiazdy i śnił księżyc, ale myślałem o głupstwach.

Roilem, naprzykład, o tem, czyby nie można z tych jasnych promieni, co jak złote pasma spływały od księżyca, ukreć sznurka, dźwignąć się po nim tam, het, w górę i siać na tym krążku uwięzonym jak na talerzu; wnet jednak przypominałem sobie, że znów-bym podarł ubranie; mama-by się gniewała, a przytem talerzyk musi być gorący: jakże więc na nim usiedzieć?

Zastanawiało mnie także: co też ten księżyc musiał przeskrobać, że mu kazano błądzić tak wiecznie samemu i nigdy słońca nie widzieć? I żał mi było smutnego księżyca, co patrzył na mnie, jak żywy, bladą swą twarzą w te ciche noce bezsenne. Ogarniała mnie wtenczas dziwna jakaś tęsknota; wsuwałem się cichutko do łóżka i jeszcze ciszej płakałem... Czasem płacz w łkanie przechodził... W takich razach, bojąc się, by kto się nie zbudził, pakowałem w usta koniec koszuli lub róg poduszki.

Nie zbudził się nigdy nikt; zasypiałem łzami zmęczony. Śniły mi się wtenczas najdziwaczniejsze rzeczy, a czasem nawet i to, że matka moja przychodzi do mnie, schyla się cicho i tak mnie całuje, jak całowała Marylkę, Józia i małego Kazika.

Lubiłem bardzo ten sen: więc mi się wkrótce śnić przestał.

W dwunastym roku mego życia wszyscy przenieśliśmy się do miasta. Z początku było to dla mnie coś okropnego. Ciasne mury, brak powietrza, swobody — dokuczały mi strasznie. Człowiek jednak potrafi znieść co najgorszego być może: tem się różni przedewszystkiem od zwierząt. Na dobitkę złego zacząłem chodzić do szkoły. Odrazu w pierwszym tygodniu dowiedziałem się o czymś, co miało odegrać dość ważną rolę w mem życiu. Pamiętam, stało się to mniej więcej tak: Nauczyciel gwałtownie zaczął mnie wy-pytywać: kto cały piec na pauzie wyczernił atramentem? Z początku milczałem uparcie; w końcu ośmieliłem się zauważyć, że przecież nie można zdradzać kolegów... Trzy godziny kozy były odpowiedzią na moje zuchwałe twierdzenie. Zbeczałem się, jak słota; wróciłem do domu, gdzie mnie nie wyłajano, co prawda, ale zrobiono uwagę, że się takich rzeczy nie mówi. Wten-czas-to po raz pierwszy dowiedziałem się o istnieniu «takich rzeczy...» Tego wieczoru, a często jeszcze później, myślałem o nich uparcie — i nic wymyślić nie mogłem; tymczasem brózdziły mi one ciągle.

Zaraz na pierwszym kursie uniwersytetu po-

wiedziałem pewną «taką rzecz» jednemu z profesorów, który popełnił był jakąś niesprawiedliwość... Zato zaproponowano mi opuszczenie na pewien czas przybytku nauki. Dzięki staraniom i dobrej znajomości chemii dostałem tymczasowo dość korzystne zajęcie w jednym z podmiejskich zakładów przemysłowych.

Główny administrator, mój pryncypał, był nawet zadowolony ze mnie, wyrzucał mi tylko, że się za mało interesuję wykrywaniem nieporządków w fabryce.

Postanowiłem się poprawić.

Jakaś fatalność kazała mi zauważyć, iż zegar fabryczny bardzo źle chodzi: zrana się śpieszy, a wieczorem późni. Trudno o większy nieporządek. Pełen radości udałem się do administratora, I

- —

by mu ten fakt zakomunikować. Po drodze opowiadałem o mem odkryciu wszystkim. Nie mogę panu opisać mego zdziwienia i goryczy, gdym usłyszał gniewną i drwiącą odpowiedź: «Musimy się rozstać, mój naiwny panie: takich rzeczy się nie odkrywa i nie opowiada całemu światu!»

Wyjechałem. Ów stary ślusarz - mechanik zapatrzył mnie na drogę obszernym kazaniem o ważności pasunku...

Był trochę pijany dnia tego i, jak zwykle w takich razach, dziwnie wymowny. «Dam panu radę — mówił — wyszlifuj se pan do miary czoło i sumienie: inaczej cię rdza ogarnie i zje.»

—A gdzież pilniki i miara, stary? — spytałem.

—Hm — pilnik? — odparł — życie, paniczku; miara — ludziska!

Żegnał mnie poczciwiec ze łzami; przywiązałem się do niego serdecznie: więc wkrótce umarł.

Zgryzłem się całą tą historią i znowu zacząłem uporczywie myśleć o tem, jak tu odróżnić «takie rzeczy» od innych. Wszak główną cechą słów moich była dotychczas prawda, a trudno chyba przypuścić, by ona właśnie była «taką rzeczą,» której unikać należy. Cały świat zachwyca się prawdą; słowo to cieszy się jaknajlepszą opinią. Prawdziwa nauka, prawdziwa sztuka, prawdziwy pilzner, prawdziwy ser szwajcarski... jednym słowem — wszędzie wyraz ten jest synonimem czegoś najlepszego.

Miałem wtenczas lat dziewiętnaście; nie miałem jeszcze opinii waryata: nic więc dziwnego, że tak niezmordowane myślenie nad jedną kwestią doprowadziło mnie do pewnych wyników.

Po pierwsze, przekonałem się, że rzeczywiście nie bardzo pasuję do świata i że przez jakąś pomyłkę tu się dostałem — ot, miałem żyć gdzieś indziej, a tu kur zapiał w złą godzinę, i znalazłem się na ziemi. Skoro jednak już tak się stało, to trudno: trzeba się dopasować, i basta! Ale jak?!

«Takie rzeczy» wzbudziły we mnie podejrzenie, że ludzie kłamią i tak do kłamstwa przywykli, iż wierzą czasem w szczerść słów swoich, a co gorsza, lubią ładnie brzmiące wyrazy: szlachetność, poświęcenie, prawda i t. p. i dlatego tak je często wymawiają.

Słowa więc utrudniają zrozumienie świata i dają bałamutne pojęcie o ludziach, których dokładne poznanie, ze względu na pasunek, było nadto ważną rzeczą dla mnie, bym się tej myśli tak łatwo wyrzekł.

Zacząłem się więc zastanawiać nad tem: czyby nie można sięgnąć do głębi istoty ludzkiej bardziej bezpośrednio — nie przez usta i słowa, ale, naprzykład, przez czaszkę, przez myśl?

Wkrótce stałem się właścicielem tego smutnego wynalazku.

Jeżeli widziałeś pan kiedy armatni strzał z odległości, to zauważyłeś pewnie, że z błysku, kierunku dymu i huku można mniej więcej określić jaką drogą szybuje pocisk, a nawet jakiej był wielkości, chociaż ogień, dym i huk są zupełnie czemś innem, niż granat.

Otóż i myślom, jakkolwiek są czemś zgoła odmiennem od materyi, stale jednak towarzyszą



pewne określone zmiany i drgania w miazdze mózgu naszego.

Jeśli tak jest, to słusznie mogłem przypuścić, że zmianom tym materyalnym, jak wogóle wszystkim zjawiskom, muszą towarzyszyć pewne wahania temperatury, a może i stanów elektryzacji. Umieć je mierzyć dokładnie, zastosować odpowiednią skalę: a kwestya odczytywania myśli będzie rozstrzygnięta.

Przypuszczenia moje sprawdziły się w zupełności.

Wynalazłem substancję nadzwyczaj czułą i zmieniającą objętość pod wpływem specyficznych termo - elektrycznych wahań myślącego

mózgu, a za tem i czaszki.

Najdłużej ślęczałem nad wypracowaniem skali, której urządzenie jest tak zawile i trudne, że wolę przemilczeć o niej, gdyż nie mógłbym panu w ciągu całej naszej rozmowy dać nawet przybliżonego wyobrażenia o jej konstrukcyi.

W półtora roku przyrząd mój był gotów, ale był zanadto wielki i ciężki, prawie jak ten - pański kałamarz. Postanowiłem go zmniejszyć do minimum, bo chodziło mi o to, bym go mógł kłaść na głowach ludzkich w sposób niedostrzeżalny dla nich, gdybym bowiem nie mógł, kto wie czyby się umyślnie nie starali nieszczerze myśleć...

Byłem pewny, że dopnę swego, gdyż niema takiej technicznej trudności, którejby przezwy- ciężać lub ominąć nie było można.

Pewnego dnia o świcie założyłem ostatni sztyft, i głowy ludzkie stanęły przede mną otworem...

—Jakiś waryat — szepnąłem w duchu.

—Mylisz się pan — odrzekł gość—nie ucie- I  
kłem z domu obłąkanych.

Mrowie mnie przeszło: Chudy Pan wiedział  
wyraźnie co myślę...

I, uśmiechając się zagadkowo, wyjął z kie-  
szeni od kamizelki dziwnego kształtu różowy  
przedmiocik, niewiele większy od tureckiego  
orzecha:

—Oto mój przyrząd — rzekł — jest on ko-  
loru ciała, bo przeznaczony dla łysych; taki sam,  
tylko cokolwiek większy i ciemny, masz pan we  
włosach.

Podniosłem rękę w górę.

—Daj pan pokój!— wstrzymał mnie gość: —  
to nam znakomicie ułatwi rozmowę.

— -

Opuściłem dłoń. Chudy pan ciągnął dalej:

— Gdyby jaki uczony zrobił ten wynalazek,  
nazwałby go, co najmniej, elektro - termo - mikro-  
nous-tachy-metrem; ja go nazwałem wprost  
«sztuczka.» Takie dwie sztuczki, jedną różową,  
a drugą ciemną, miałem zawsze przy sobie; długi,  
cienki, przezroczysty drut z mojego metalu,  
wpuszczony w lampas od spodni, pozwalał mi  
nawet ze znacznej odległości umieszczać sztuczkę  
na głowach badanych osobników.

Wszystko udało się znakomicie; tylko...

— Tylko co? — spytałem szybko, zelektry-  
zowany do najwyższego stopnia.

—Tylko i tu, jak zwykle, doznałem rozcza-  
rowania i zawodu.

— Jak to?..

— Bardzo prosto: ludzie prawie wcale nie  
myślą. Procent prawdziwie myślących głów wy-  
raża się zaledwie ułamkiem, i to wśród tak zwa-  
nej inteligencji.

Bo powiedz pan sam: czy można nazwać myślą — wiązanie za pomocą spójników zdań, frazesów, zaczerpniętych, nie z siebie, zapożyczo-

nych skądinąd? Taki proces ma się do prawdziwego myślenia tak, jak złe fotografie do oryginału, jak dźwięki odtworzone przez zepsuty fonograf do żywego głosu. Odbywa się on prawie machinalnie, odruchowo, często nawet pomimo woli i wiedzy tak myślącego osobnika. Głowy takie — a takimi się okazały czaszki wielu uczonych — są podobne do worków, przepelnionych najrozmaitszą tandetą i starzyzną, z których kiedy - niekiedy wypadnie jakiś przedmiot: to stara cerowana skarpetka Kanta, to znów przydeptany pantofel Hegla, lub popękany monokl Sokratesa.

Jakąż mogły mieć wartość dla mnie takie myśli, co znacznie mniej świadczą o istocie tej głowy, w której na oślep błędzą, niż głosy przysięgłej krytyki o istotnej wartości dzieła, lub dźwięki katarynki o duchu odtwarzanej melodyi?

A takim «tembrem» kataryniarskim brzmiały wszystkie głowy prawie całej inteligencji: mózg wyglądał jak niedołącznie ułożony katalog, cała zaś praca umysłowa redukowała się do wprawy szybkiego odszukania potrzebnej cytaty.

Słownik myślowy tych ludzi był przerażająco ubogi; ledwie garść pojęć: po czemu? ile?.. kiedy obiad?... dwa piwa! — pas! bész atu!.., oto prawie wszystko.

Przytem chodziło mi nadzwyczaj o wykrycie tego stosunku, jaki zachodzi między myślą a słowem...

Cóż się jednak okazało? Oto żaden stały stosunek nie istnieje.

Czasem myśl jest wprost ze słowem sprzeczną; czasem nawet mówi się to, co się myśli...

lecz najczęściej myśl biegnie swoją drogą, a słowa lecą swoją.

Pamiętam moje zdziwienie, gdym po raz pierwszy włożył mą różową sztuczkę na łysinę wielce poważanego radcy.

Skazówka stała, choć radca właśnie miał nader piękną mowę o szlachetnych zadaniach tej instytucji, której był prezesem.

Myślałem, że przyrząd zepsuty; wkrótce jednak, ku większemu jeszcze zdumieniu, zarysowała się myśl wyraźnie: «Co zjeść na kolację — raki, czy kurczęta?» — właśnie w tej samej chwili, kiedy szlachetnym uniesieniem drżące usta mówiły: «Dzieliliśmy się sprawiedliwie swym skromnym chlebem powszednim z naszymi młodszymi braćmi...»

Chodziło o wyznaczenie gratyfikacji nowo-rocznych.

Myśli żywej, drgającej uczuciem i siłą, twórczej, długo zobaczyć nie mogłem. Później spotkałem się z nią, a powiem panu, że dość często widywałem ją tam, gdzie się tego najmniej spodziewałem.

Czasem wykwitła ona z drobnego czoła rozmarzonego dziecka, spłynęła z bujnych włosów zapatrzonej gdzieś w dal dziewczyny, lub za-błysła nad szerniałą od pracy głową robotnika. A piękny to widok prawdziwie!.. Wskazówka drży jakgdyby jakimś strachem zjęta, przebiega niespokojna rozpaloną skale. — widzisz coś nowego, nieznanego.

Często też myśl taka nie jest zupełnie jeszcze jasną, przebija się za ledwie, jak pierwszy złoty promień poranku przez mgły, splątana, nieokreślona, przypomina wybieranie na skrzypcach

nowej melodyi. Zmacone to jeszcze dźwięki, niepowiązane w akordy; czujesz jednak, że wkrótce popłyną szeroką falą — czyste, śpiewne i piękne.

W takich chwilach ze drzeniem myślałem o tern: co się stanie z moim przyrządem, gdy się zetknie z olśniewającą, wielką, płomienną myślą geniuszu? Pryśnie w drzazgi, roztopi się, ulotni cały! Dla myśli takiej musiałbym, zamiast sztyftów ze stali — słupy brylantowe osadzić, niuty tak wielkie jak słońca, a kryształowej skali za wymiar dać — nieskończoność.

Próżna to była obawa: sztuczka ma nigdy nawet nie pękać; a ileż zato musiałem się nachodzić, ilu głupstw i zleżalej starzyzny się natrzeć, by taką ładną i świeżą myśl chociaż zobaczyć!

Tymczasem coraz trudniej było mi o nią. Wyobraź pai sobie, że od trzech lat dziś po raz pierwszy spotkałem u pana coś lepszego; katalogów zato, worków coraz więcej, coraz przytem one ciaśniejsze, uboższe — tak, iż mimowoli nastrecza się - pytanie: czy z czasem cała praca mózgowa nie rozdrobi się i nie zmechanizuje do

tego stopnia, iż będzie ją można zastąpić do-  
wcipnie obmyśloną machiną?

Już wtedy nieraz ogarniało mnie takie zniechęcenie, iż oddałbym swój wynalazek za byle co; za promyk szczęścia, za kawałek kochającego serca — dałbym go zawsze!..»

Chudy Pan umilkł; wsparł czoło na rękę, tak, że widziałem jego długie palce, cienkie, prawie przezrocyste, błyszczące jakimś fosforycznym blaskiem.

Mną zaś owładnęła gwałtowna chęć zdoby-

bycia na własność jego przyrządu.

— Łaskawy panie! — prosiłem — daruj mi taką jednę sztuczkę! — a widząc, że milczy, dodałem szybko: — Odprzedaj chociaż! — i gorączkowo zacząłem przetrząsać kieszenie.

Wydobyłem jednak zaledwo dwie marki na obiad i zmiętego rubla.

Po raz pierwszy zrobiło mi się przykro, że posiadam tak mało.

— To nie mało, — odrzekł Chudy Pan, uśmiechając się dziwnie; — swoją drogą nie sprzedam panu mej sztuczki; odstąpiłbym ją może komu innemu, ale tylko za cenę kosztu...

— Za ile? — przerwałem.

— Za jedne boleść...

Tu Ghudy Pan. wyciągnął swą patykowatą rękę w kierunku mej- głowy,' zdjął sztuczkę i wsunął ją w kieszeń...

Myśląc, że chce odejść, ponowiłem gorąco swą prośbę.

— Zanadto dobrze panu życzę — rzekł, a później dodał ciszej: — Zawsze ta sama historia: nie wiemy nigdy dokąd idziemy i co znajdziemy w upragnionym napoju: a jednak gdy się pan dowiesz, jakiego mi wypłatało figla to, o co tak błagasz, sądzę, że chęć twa przygaśnie.

..! Znowu umilkł.

Było zupełnie już ciemno i cicho; słyszałem tylko jak wiatr Wył i, jęcząc, cisnął się w okno zdyszana piersią.

— Choć, kto wie? — zaczął znowu; — bywamy tacy zacięci w szukaniu guzów... Guza ci się! zachciewa, mój banie: ja ci to mówię, nie lepszy w tym względzie od ciebie, — ale i nie gorszy;

.ja, co od pierwszych chwil mojej pamięci lecia-  
łem bez tchu, by spotkać — ból zawiedzionego  
serca, a potem, niepomny wszystkiego, znowu  
wołałem: Chodź, ty czarowna, zawrotna!., nie!— jak  
gorączka trawiąca, łakoma krwi serdecznej i łez  
niesyta, — ty — Miłości!..

— A!-a! - wydarł mi się z piersi okrzyk  
zdziwienia i protestu...

— Niegdyś i ja - bym tak krzyknął, — drwił  
Chudy Pan, — a może nawet stokroć gło-  
śniej...- -

— Gdy się ma jednak wzajemność" —» wtrą-  
ciłem.

Zauważyłem, że gość mój wstrząsnął się cały.

— Skąd pan wiesz o tem? — wybuchnął,  
a potem dodał złośliwie: — Coś mówiąc tak, nie  
jesteś czasem podobny do tego chłopca, ????

zachwalał nadzwyczaj bułkę z masłem, a zapy-  
tany: czy ją jadł? — odparł spokojnie: «Nie, ale  
mój brat widział, jak ją jadł lokaj ze dworu?..

Ja zaś wiem dobrze, w co się ten specyał za-  
mienia, gdy masło się naraz ulotni... a sucha"  
bułka uwięźnie w gardle, i dusi, i dławi. Mnie  
chwyciła ta dławica -za gardło właśnie w tym  
czasie, gdym był bardzo zniechęcony i smutny  
całym ogromem smutku tych niepoprawnych,  
którym myśl przenikliwa wszystkie marzenia po-  
tłukła, a oni wiedzą, że znów ruiny te dźwigną,  
i znowu w gruzy gmach legnie, i będzie wiecz-  
nie to samo... ciągle to samo.

Byłem tak bardzo zmęczony, że uległem  
wciąż ponawiającym się namowom rodziny, by  
wyjechać i ukończyć studia...

Ogólna radość zapanowała w domu. Wszyscy  
byli pewni, że wchodzę na koniec na dobrą dro-  
gę życia, że nabrałm rozumu.

Nie protestowałem przeciwko tym złudze-  
niom; zobojętniałem na wszystko do takiego - -

stopnia, żem zaczął nawet składać wizyty i brać udział w życiu towarzyskim.

Na krótko przed wyjazdemspotkaliśmy się.

Odrazu zwróciła moją uwagę. Nie była piękna — ładna tylko, miała jakiś zagadkowy wyraz fijołkowych oczu i usta nadzwyczaj wymowne; zdawało się, że ciągle szepczą jeden wyraz:

«Chodź!»

Spostrzegłem odrazu niebezpieczeństwo, tembardziej, że sprawiała wrażenie typu bardzo odmiennego ode mnie. A unisono w miłości — panie — jest na nic!

Postanowiłem jej unikać, bałem się instynktowo zakochania. Wzajemność przytem wydawała mi się niemożliwą; takem się już przyzwyczaił do tego, że mnie najczęściej raniła ta dłoń, którą chciałem uścisnąć.

Tymczasem spostrzegłem coś, co mi się zrazu w głowie pomieścić nie mogło: jej dłoń wyraźnie wyciągnęła się ku mnie, jej oczy spotkały się ciągle z moimi, a usta jeszcze wymowniej szeptały ten wyraz zaklęty.

Przez pierwszych kilka dni zdawało mi się, że zmysły tracę, że cały świat stanął na głowie: gwiazdy leżą na ziemi, na bruku rosną kwiaty, ludzie kochają się jak bracia., złoto straciło potęgę... ja pasuję do świata, świat do mnie, a życie jest najpiękniejszą operą bez żadnych nudnych antraktów. Zgłupiałem do reszty.

- -

Bywałem tam tylko, gdzie ją zobaczyć mogłem. Wyrazów wymieniliśmy niewiele, ale spojrzeń za to i uśmiechów—tysiące. W wigilię wyjazdu, jak przynajmniej myśleli wszyscy, choć ja nie miałem już wcale zamiaru wyjeżdżać,—urządzono wspólną składkową majówkę.



Po południu całe towarzystwo znalazło się za miastem.

Oczywiście, każdy z mieszczuchowi skoro raz wydał pieniądze, czuł się już w obowiązku zachwycać się najmniejszą trawką, najlichszym drzewem, głośno wygłaszać hymny na cześć natury, a w duchu tęsknić do stolika knajpianego, wygodnego krzesła i kufla piwa.

Dawniej było to dla mnie nieznośne. Dnia tego byłbym uściskał każdego z tych pocziwców. Było mi jasno i ciepło na duszy.

Dzień był rzeczywiście piękny.

Pyszne słońce paliło się łagodnie na błękitnym niebie, lało się złote przez świeże liście drzew na malachity trawy. Wiatr niewielki szumiał po lesie i niósł zapachy łąk i kwiatów, i omdlewał chwilami, jakby sam upojony czarami wiosny.

A przytem do mnie śmiała się ta druga wiosna, śmiała się ona—różowa cała, z białą wstążką na złotych włosach... miała fijołki w oku; perły i róże w ustach.

Tymczasem dzień uciekał szybko. Słońce pobladło, las ucichł, spowazniał cały. Zrobiło się tak pięknie, cicho, że najbardziej brukowa dusza zaczęła odczuwać jakieś tajemnicze drgnienia. Rozmowy i śmiechy umilkły naraz. Towarzystwo jęło się rozбивać na małe grupki i, głównie parami, zaczęło błądzić po lesie.

Znaleźliśmy się we dwoje.

Jakieś tajemnicze, prawie smutne przeczucie majaczyło mi w duszy. W milczeniu szliśmy wazką ścieżyną. Po bokach młode krzewy drżały cichutko, tuląc się do siebie jakby wylękłe, a w chwiejbie tej ich tkwił dziwny niepokój.

-Dokąd ta droga prowadzi? — spytała w końcu.

—Do rzeki — odparłem, równając się z nią

właśnie w tern miejscu, gdzie dróżka rozwidlała się nagle i las się kończył.

Przed nami błysnęła żółta ława piasku, smutna swą pustką.

W dali marszczyła się wielka szara wstęga.

—Oto jest — rzekłem.

Nie odpowiedziała nic, tylko posunęła się dalej w kierunku wielkiego kamienia, który, zdawało się, sam dźwignął się z piasku, by wyrzeć ku gasnącemu słońcu.

Drobne jej stopy zanurzały się w wilgotnym mule.

—Ojoj! — krzyknęła figlarnie i, unosząc zlekka różowe muśliny, frunęła jak barwny motyl przez płowe płaszczyzny; upadła prawie na stary głaz, co się ożywił nagle i rozjaśnił splo-

- -

tem jej rąk białych. Twarz miała zaróżowioną od biegu i zorzy, a w piersi szybkie fale.

— Spocznijmy! — rzekła.

Usiadłem niżej, prawie u jej nóg. Tuż pod nami toczyła rzeka swe mętne< u wierzchu lśnią-ce jak bronz, fale.

Słońce staczało się coraz niżej i kryło za górą — w końcu prawie znikło. Tymczasem przeciwnie białe obłoki powlokły się krwawym rumieńcem.

—Jutro pan jedzie? — szepnęła pierwsza.

— Tak mówią, — odparłem i spojrzałem na nią.

Wyminęła mój wzrok a swoje oczy utkwiała w przestrzeń. Stawała się jakąś ociężałą i senną. Usta miała nawpół rozwarte, i cała postać zdawała się szeptać: «Chodź! weź mnie i zapomnij o wszystkim!»

W głowie mi się mącić zaczęło.

Szczeńciem, wstał z oczeretów wiatr i przemknął nad falą, niosąc chłód. Oderwałem od niej oczy i pobiegłem za jej spojrzeniem. Daleko, na drugim brzegu majaczyły jakieś poszczerbione mury; dalej czerniał las, a od lasu stapała cicha noc. Niebo coraz bardziej bladło. Kilka migotliwych gwiazd zakreśliło się na niem, jak w oku łyzy... Ogromnie było cicho — tylko fale szumiały ciągle i wzdychał wiatr.

Raptem z pod nóg jej oderwała się jakaś większa grudka i plusnęła do rzeki. Spłoszone

dwa szare kulony porwały się nagle od brzegu i świszcząc tęsknie, leciały tuż nad wodą i biły o fale skrzydłami.

— Co to? — szepnęła, chwytając mnie za rękę, a przy tern pochyliła się tak blisko do mnie, że mi wzrok zgasł.

—Ty moja!.. — odparłem.

—Mój! — westchnęła.

Dotknąłem ustami jej ust... Następnej chwili nie pamiętam dokładnie... wiem tylko, że gdym przyszedł do' siebie, staliśmy oboje... trzymałem ją za ręce, a w piersi miałem pełno krwi, łez, szczęścia i szału.

Wołano nas. Wracaliśmy w milczeniu. Była już noc zupełna. Na niebie stał pełny księżyc i drżały roje gwiazd.- -

Tu gość umilkł, oparł znów czoło na dłoniach, a cienkie jego palce błyszczały tak mocno, że mogłem widzieć przeraźliwą szczupłość jego smutnej twarzy i wyraz wielkich oczu — zacięty, obłąkany prawie. Wkrótce jednak podniósł głowę, opuścił ręce na kolana i rzekł sucho:

— Na drugi dzień musiałem wyjechać. To, żeśmy po słowie, miało być tajemnicą, póki nie skończę uniwersytetu. Tak przynajmniej wypadło z narady mej matki z jej opiekunką, ciotką. Mie=

liśmy sobie zastępować się listami. Zgodziłem się na to i na wyjazd. Wszystko tostało się tak

- -

niespodziewanie, spadło na mnie tak nagle, jak grom, i przewyższało najskrytsze i najzuchwalsze majaczenia moje.

W drodze ochłonałem cokolwiek i zacząłem już trzeźwiej myśleć o przyszłym naszym życiu. Z rozkoszą wyobrażałem sobie jak się jej oczy ze zdziwieniem rozszerzą, gdy jej pokażę swój wynalazek, bo przed nią nie chciałem [mieć żadnych tajemnic; przeciwnie, najgorętszym życzeniem mojem było, by myśli nasze i tętna serc zlały się w jedno. Nie pragnąłem przytem bynajmniej przytłoczyć jej duszy -swoją: przeniknąć się tylko wzajemnie, objąć swoim jej serce, swoją myślą jej myśl, i tak się samemu rozrósć i rozszerzyć, — w tern widziałem szczęście.

Pragnienie to jaknajmniej było wynikiem mych postępowych poglądów; było naturalną potrzebą istoty, która się długo tułała samotna, a teraz rwała się cała ku innej.

Na trzeci dzień po przyjeździe zapukał do mego pokoju ktoś, co mi się wydał gołębicą Noego. Gołębica ta miała na sobie mundur z żółtymi wypustkami, olbrzymią torbę skórzaną i czerwony nos, a w ręku list — pierwszy list od niej — panie! — dobry, kochany list...

Za tydzień przyszedł drugi, już nie taki; trzeci szedł jeszcze dłużej, był krótki, szary, bezbarwny; czwarty już tylko aby zbyć; piątego do czekać się nie mogłem; szósty nakoniec... nie przyszedł wcale. A ja pisałem ciągle i kładłem w słowa coraz więcej mózgu i serca, chociaż widziałem jasno,- że coś się psuje i rwie.

Zrozumie pan, że niezbyt przyjemnie jest, le-

cać w przepaść, chwycić się jakiejś gałązki i wisząc nad otchłanią, widzieć, jak wąż ta nitka zbawienia trzeszczy i pęka.

Gorzej też może znaleźć się samemu w pustyni z szalonym pragnieniem w piersi i mieć dokoła tylko martwy, szklisty i bezlitosny piasek gorący, a nad głową rozpalone i wściekłym żarem ziejące słońce.

Ale to było stokroć gorsze!

Przepaści można wygrażać pięścią, pustyni złorzeczyć, słońcu kłąć, piasek deptać. Ofiara za mękę swoje odpłaca nienawiścią, przekleństwem, pogardą. A tu skarga na usta wypełznąć nie śmie, bo kochasz bardzo i musisz w jednym sercu dusić mękę i miłość, rozpacz i nadzieję.

A jeśli zdołasz się zdobyć na chwilę myśli spokojnej, myśl bezlitosna ci powie: «Czyż możesz żądać, by ona stworzyła uczucie, które znikło, skoro ty sam nie masz władzy nakazać sercu milczenia?»

Wolno tylko zrobić jedynie uprawniony wyrzut: «Może za nadto lekkomyślnie rozdmuchywałeś iskrę w mej piersi!» — nic więcej. Teraz to widzę jasno i rad jestem, że uniknął tej niesprawiedliwości, którą wówczas chciałem wy-, rządzić.

Na Boże Narodzenie, pełen złych przeczuć, jechałem do domu; miałem ją znowu zobaczyć, by się przekonać naocznie o tym, co mi mówiły, a raczej czego mi już nie mówiły, jej listy, bo dawno ich nie miałem.

Spotkaliśmy się raz, drugi, trzeci.

Coraz fałszywszy ton brzmiał między nami, uchodziliśmy jednak za narzeczonych. Nie zadałem jej żadnego stanowczego pytania, choć cią-

gle o tem myślałem. Nie zastosowałem do niego wynalazku: bałem się poprostu. W sercu mojem, gdzieś na dnie tała się głupia, niczem nieusprawiedliwiona nadzieja, zrywała się chwilami i rozjaśniała świat. Myślałem sobie: — Do końca studyów rok jeszcze... kto wie, co przez ten czas się stanie?.. może się wszystko na lepsze obróci...

Stawałem się podobnym do bankruta, co dziesięć razy sprawdzał niepożądany rezultat swego rachunku, i znów go sprawdzać myśli; podejrzewa ciągle omyłkę, boi się prawdy — nie chce ogłosić bankructwa.

Pewnego wieczoru wyszedłem od niej bardzo zgnębiony, prawie bez złudzeń. Wlokłem się jak senny; którądy i jak długo? — nie wiem. Kiedyś się ocknął, zobaczyłem przed sobą lśniące białe pole, po którym wicher tańczył i w słupy tumany śnieżne skręcał. Wysoko nade mną stał zamglony chmurami księżyc... Wokoło była przeźrażliwa, biała pustka. W górze tymczasem ma-- - owe niebo brało barwy ołowiu i owijało się w kir. Słup śnieżny opadł nagle i wicher przyczaił się na chwilę, lecz wnet się porwał jeszcze bardziej wściekły i rzucił mi w twarz zimną garść lodu.

Poznałem, że zamieć idzie. Wracałem szybko ku miastu. Już dobrze było po północy, kiedyś się dobił do domu. Tu dopiero zauważyłem, że palce mam sztywne, jak z drewna; ledwom się zdołał rozebrać; zimna jednak nie czułem: przeciwnie, miałem taki żar w piersi, że m koldrę zrzucił i długo usnąć nie mogłem.

Kiedy otwarłem oczy, powiedziano mi, że jestem bardzo chory i trzy dni byłem nieprzytomny; dowiedziałem się i o tem, że wczoraj przysłano od nich dowiadywać się: jak się miewam? Gdym to usłyszał, zrobiło mi się nagle słabo,

mgła łez przykryła mi oczy. Nadzieja wracała. Postanowiłem w tej chwili wyzdrowieć koniecznie i byłem pewny, że tego dokażę. Wkrótce zjawili się dwaj lekarze.

Byłem w świetnym humorze. Przy badaniu, jednemu z nich włożyłem mą sztuczkę: «Dyabli wiedzą co mu jest,» — myślał. W tej samej chwili drugi rzekł poważnie: «W zupełności zgadzam się z waszą dyagnozą.» — Dobryś!.. zaśmiałem się wesoło.

Wieczorem znów przyszła od nich służąca. Wprowadzono ją do mnie, by się naocznie przekonała, że żyję.

- -

— Cóż tam... panienka? — spytałem.

— A nic; chciała nawet dziś tu przyjść, ale se poszła na spacer, bo pani powiedziała, że to nie pasuje.

Dość mi było usłyszeć dźwięk tego fatalnego słowa, by stracić całą wesołość; poczułem odrzu, że mi się znowu gorzej robi. Myśli moje odleciały od niej, zmaciły się na chwilę, a później zwróciły się ku śmierci.

I nagle doznałem pewnego rodzaju ulgi: przypomniałem sobie, że jest coś, co się do każdego dopasuje samo. Przyjdzie to dziwadło nieznanne i przyniesie spokój niezmacony i ukojenie wieczne.

A im więcej myślałem o niej, tem więcej wydawała mi się lepszą, niesprawiedliwie sądzoną i ponętą. Do tego wszystkiego przyłączyła się niezmierna ciekawość. Przypomniałem sobie, że niegdyś czytałem jakąś dziwaczną książkę. Miejscami wesoła, częściej smutna — zajmowała mnie ona dosyć. Gniewało mnie tylko jedno: że długo nie mogłem pochwycić jej my-

śli zasadniczej; zdawało mi się, że niema sensu. Dopiero po przeczytaniu ostatniej kartki zrozumiałem wszystko.

Obecnie rodziło się we mnie przypuszczenie: czy taką ostatnią stronicą życia — nie jest czasem śmierć? I byłem prawie pewny, że się nie mylę; że mi ona powie coś bardzo ciekawego, coś nowego; że mi odsłoni wielką jakąś tajemnicę. Czarna jej postać rozpromieniła się cała; wyobrażałem sobie, że nic w niej niema z mroku, że jest to raczej ogromna błyskawica: zapala się na chwilę, rozjaśnia wszechświat, daje zrozumienie wszystkiego, a potem — ciemność, cisza i sen.

Prócz tego doszedłem do wniosku, że istotnym zadaniem śmierci nie jest bynajmniej milczenie, ale raczej zdarcie tej wielkiej zasłony, przed którą błądzimy ciągle, którą przeniknąć pragniemy tak gwałtownie, atak daremnie, gdy, jak słabe dzieci, silimy się uchylić jej rąbek tajemny. Lecz oto zjawia się wielki mistrz: śmierć. Zasłona nagle pęka. Blask wszystkich słońc i gwiazd, krążących w bezgranicznej przestrzeni, wszystka jasność świata od łuny pożaru do bladych światła gromnicy, do błysku świętojańskiego robaczka — zalewa oczy. Olbrzymi akord każdego śpiewu, każdego dźwięku, od szumów Oceanu, od wycia wichrów do cichych szelestów róży, gubiącej swe listki wśród nocy ciepłej, do pieśni zdławioną piersią Helotów wytchniętej — zgodną melodią płynie i dźwięczy. Dalej, unosi się fala zmieszanej woni wschodnich balsamów, którymi pozostali maścili ciała tych, co odeszli; wszystkich pachnideł, rozlanych na białe łona dziewic, oczekujących kochanków, co się zjawili — albo też wcale nie przyszli; zapachów kwiatów, które wykwitły w jasnych cieplarniach lub ze smutnej łąki, smaganej łzami chmur rozsłochanych.



— -  
A także w jednej tej chwili przenikną duszę  
wszystkie boleści nieba i ziemi i radości wszyst-  
kie: najcichsze smutki dusz zasklepionych, tę-  
sknoty spojrzeń płaczących oczu i takich oczu,  
które już płakać nie mogą; i rozżalenie całe  
serc zapomnianych i takich, którym żadnej nie  
dano pamięci; wszystkie westchnienia, wyjęte  
z piersi, które ktoś słyszał i których nikt nie  
liczył i słyszeć nie chciał, a których nawet nie  
można policzyć, bo tak ich dużo; wszystkie ta-  
jemne dreszcze każdej najmniejszej istoty; szal  
pocałunków, którymi się niegdyś spoiły usta,  
i łączą teraz, i łączyć będą, i złączyć się pragną,  
choć się to nigdy nie -stanie - cała pieśczo-  
ta, słodycz i gorycz wszelkiego kochania, co zgod-  
ny oddźwięk znalazło, lub też bez echa prze-  
brzmiało,' napęłni serce.

Mózg się rozwidni, a myśl się stopi, żarem  
przejęta i błyskawicą świadomości wszelkiej i zro-  
zumienia wszystkiego rażona. Chwila to straszna,  
a taka zarazem zawrotna i dzikiej, graniczącej  
niemal z boleścią, rozkoszy pełna, że upojona du-  
sza zatracą pamięć świadomości i bytu, pada  
w omdleniu, niby zgwałcona dziewczyna, w na-  
miętym uścisku zesłabła.

Tak! śmierć nadaje cały sens życiu. Nie po-  
to się cierpi na ziemi, aby się unicestwić, lecz,  
by się przygotować do zrozumienia i odczucia  
tej chwili, w której się odkryją głębie wszelkich  
tajemnic. Ten krótki moment dłuższy jest niż wiecz- -  
ność; w nim się z rozkoszy umiera — i słusznie:  
ta jedna chwila wyczerpuje wszystko. Dalsze ist-  
nienie byłoby bezcelową męczarnią nudy. Ten  
wieczny odpoczynek jest tylko jedyną, rozumną  
konsekwencyą śmierci i naturalną, pilną potrze-

bą duszy, przetrawionej tą jedną chwilą do cna i znużonej do ostatecznych granic.

Tyle spodziewając się od śmierci, z niecierpliwem drzeniem oczekiwałem jej przyjścia. «Chodź ty! — szeptałem namiętnie — kryształe życia... ty wierna i niezawodna!»

Nie przychodziła jednak; zato zjawiała się jeszcze większa gorączka, i znów straciłem przytomność.

Na jak długo? — nie wiem. Był mrok w pokoju, kiedy otworzyłem oczy. Tuż obok łóżka siedziała skulona staruszka; poznałem ją. Była to Antoniowa, specjalistka od konających... Trochę dalej urzałem zwróconą ku oknu twarz ex-kolegi prawnika. A o trzy kroki ode mnie znajdowała się ona: w jednej ręce trzymała ciemny kapelusz, drugą podparła swe białe czoło... I oczy moje i dusza znów poleciały ku niej. Chciałem się odezwać, ale nie mogłem głosu wydobyć: patrzałem więc tylko z pod dziwnie ciężących powiek na jej delikatny profil, oblany światłem lampy, trochę smutny i jakby zamyślony głęboko.

«O mnie myśli...» byłem tego pewny i zapra-  
gnąłem koniecznie tę myśl jej zobaczyć.

Słabnącą ręką wydobyłem z pod poduszki swą sztuczkę, przyczepiłem do przezroczystego drutu... lecz wnet się zawahałem.

Zjął mnie jakiś lęk niewytlómaczony.

Włożyłem więc ją naprzód na rozczochraną głowę Antoniowej.

—Nie wiem co zrobię, jeżeli ten chudziak dziś się nie kopnie... Mam jutro zamówienie na starego radcę.

Tak mniej więcej wyglądała myśl starej...

—Tej-bym jednak mógł niemałą wyrządzić

przysługę — myślałem, lokując przyrząd na głowie prawnika.

Myśli mego kolegi nie odrazu mogłem zrozumieć.

—Co to może być? — szeptałem, widząc jakieś porwane zdania: «W kwiecie wieku... pełen nadziei — nieodżałowany. — Stoimy nad mogiłą...»

Wkrótce jednak zrozumiałem wszystko; zrobiło mi się trochę dziwnie, prawie wesoło; bawiła mnie ta oryginalność sytuacji. Pokazało się, że asystuję przy układaniu mowy na mój własny pogrzeb.

Znudziło mnie to jednak w końcu; zanosilo się jeszcze i na to, iż mowa będzie niezmiernie

długa,

pełna kwiecistych, oklepanych frazesów.

Zdjąłem więc sztuczkę właśnie w tej chwili, kiedy mój przyjaciel wahał się: co mi przyznać? wyjątkowe, czy genialne zdolności? Wiedziałem zresztą, że mnie przeceni: ludzie dla zmarłych — stają się znacznie pobłażliwsi i serdeczniejsi niż byli dla żywych. Jest to może pewnego rodzaju wdzięczność za łaskawe wycofanie się z konkursu.

Spojrzałem na nią: siedziała ciągle w tej samej pozycji, tak samo smutna, piękna i zamyślona. Wzruszony, wyciągnąłem drżącą rękę ku niej, opuściłem sztuczkę na jasność złotych jej włosów i, dławiąc dech w piersi, patrzałem.

Skazówka stała w miejscu: o niczem nie myślała.

Trwało tak chwilę. Raptem wskazówka drgnęła... przesunęła się lekko po skali, i myśl zarysowała się wyraźnie:

— Przykra to rzecz żałoba w karnawale!..

Nie mogło być trafniejszej myśli: przyznaję to teraz; lecz wówczas doznałem od niej ta-

kiego wrażenia, jakgdyby mi ktoś serce wziął w kleszcze, a w usta nasypał chiny. Ostra jakaś mieszanina bóleści i gniewu napełniła mi piersi... Chciałem się zerwać, chciałem krzy- czeć i żyć! żyć na złość wszystkim. Szalonym wysiłkiem dźwignąłem się trochę na łóżku...

Wtem usłyszałem w drugim pokojucienki głosik małego Kazika.

—Mamuś! — czy jakby on umarł, to ja-by-m nie poszedł do szkoły?..

—Nie mów o tem! — brzmiała odpowiedź!..

—Dlaczego?..

- Widzisz... to są takie rzeczy...

— Ale zawsze ja miałbym święto - praw- da? — szczebiotał dalej malec, a w głosie jego brzmiała taka szczerą chęć święta i taka naiw- ność dziecięca, że złagodniałem odrazu.

Jakaś omdlałość rozlała się we mnie; oparłem się na poduszkach i widziałem, jak przez mgłę, jej piękną twarz i zamyślony błękit oczu.

Mgła jednak stawała się coraz gęstsza i zmie- niała się w olbrzymią wstęgę pereł; płynęła sze- rokim szlakiem, pełna dziwnego zapachu i ja- kiejś melodyi niepojętej. Łagodność i słodycz tej chwili była tak wielka, że gdybym mógł mówić jeszcze, to-by-m ostatnim tym tchem dał przeba- czenie wszystkiego i o przebaczenie wszystkiego sam zebrał.

Potem melodia cichła i szlachetniała, aż w końcu umarła razem ze mną.

Nazajutrz w wybornie pasującej trumnie le- żało me ciało; cztery gromnice po bokach pro- stowały swe obojętne płomienie. Malutki wianek wpół zwiędłych kwiatów tulił się nieśmiało do trumny. Kościół był pusty i zimny.

a zaś w tej chwili byłem bardzo daleko;  
stałem wśród stężyłych łez drogi mlecznej i czu-  
łem ból zropaczonej komety, co mijala właśnie  
ostatnią gwiazdę umiłowanej konstelacyi i pędziła  
dalej, obłąkana świadomością tego, że bieg jej  
jest niepowstrzymany i do zmienienia niemożli-  
wy... Ukochane rozmarzenie gwiazd coraz dalej —  
za nią — a przed nią tajemnicza, nieskończona  
głęb' zimna i niewiadomości.

Zerwałem się z krzesła...

Chudy pan zamilkł. Rzuciłem się ku drzwiom:  
były, jak zwykle, na haczyk zamknięte. Pobie-  
głem ku oknu. Ulica była pusta. Deszcz padał  
wielkimi kroplami, dzwoniąc monotennie po da-  
chach. Rzeka niezmordowanie łkała. Nad wszyst-  
kiem krążyła ciemna noc...

## BAJKA ARABSKA

Na samym środku Oceanu Spokojnego le-  
żała wysepka imieniem «Amo.» Wyraz ten tyl-  
ko to ma wspólnego z łacińskim słowem «ko-  
cham, » że znaczył w języku mieszkańców  
«szczęście», bo rzeczywiście dobrze było ludziom  
na tej wyspie zrodzonym, i, gdy wracali w dniu  
święta «Kolion» (co znaczy: czytanie przyszło-  
ści), twarze ich były tak jasne jak to słońce, co  
z fali nad rankiem wstawało, a wesołym ich  
pieśniami wtórowały zcicha tonie Oceanu.

Był to dzień wielkiej wagi dla mieszkańców  
wyspy, a właściwie — noc w wigilię «Kolionu.»  
W noc tę z fal morskich można było wyczytać  
dolę swoją na rok cały.

Każdy, kto żył, śpieszył wieczorem ku brze-  
gom morza, a morze kładło mu u nóg losy jego  
w postaci kwiatów białych i czarnych; białe  
znaczyły szczęście, czarne — smutek i łzy.

Z listków tych kwiatów można było nawet bliżej określić treść doli swojej; ale była to robota długa i żmudna, a słońce, wówczas jeszcze młode, biegało prędko po stropie niebieskim:— więc noce były krótkie i ranek szybko nadchodził; z pierwszym zaś blaskiem świtu, fale chwytaly kwiaty, i pogrążały je na dno swej głębi tajemnej...

To też niewiele listków można było odczytać, a reszta trosk i szczęścia nikła nieznana.

Mieszkańcy wracali jednak nad ranem weseli, bo roku tego białych kwiatów było więcej, niż zwykle; jak stado śnieżnych gołębi okryły one brzegi całe, a czarne prawie znikły w tej powodzi szczęścia, które wyrzuciło morze dobrotliwe.

Tylko Ston, młody śpiewak tej wyspy, pozostał nad brzegiem milczący i smutny, bo widział same czarne lilie u nóg swoich, a z jedynej białej zdołał wyczytać, że pozna «Wigę,» więc myślał: coby to znaczyć miało?

Tymczasem słońce zalało krwawą łuną szerokie piersi morza i zagrało tysiącem blasków na srebrnych strunach liry Stona, zrobionej z konchy różowej muszli morskiej.

Zmęczony myślą, Ston wstał, wziął konchę i, siadłszy w cieniu drzew, zaczął grać zcicha; a kiedy chwycił uchem ostatnie echa pieśni swojej, usłyszał słowo: «Dziękuję.»

Drgnął, spojrział, i lira wypadła mu z ręki: przed nim stała dziewczyna, skąpana w słońcu, jak słońce — sama.

— Kto jesteś? — spytał i oczy dłonią od jej blasku przysłonił.

- -

— Jam Wiga, — rzekła — wracam z «Kolio nu,» słyszałam piosenkę twoją: ładna, lecz smut-

na... czemu tak smutna?.. Morze tak dobre!., same, wiesz, białe mi kwiaty rzucało; a takie ładne, pachnące...

To rzekłszy, uśmiechnęła się jak ranek majowy i z krzykiem: - Motyl! ach motyl! — poczęła gonić wielkiego motyla...

A przed nią leciał śmiech i śpiew, i miłość i blask; a za nią kwiaty wyciągały swe lśniące kielichy, i każdy, jej stopą tracony, zyskiwał barwy i światła. Tak się przynajmniej zdawało Stonowi, który pozostał niemy i drżący, bo mu jakaś nowa struna w piersi zadrgała i szła szeroką falą od serca do gardła, i plątała mu myśli, i burzyła krew.

Dlaczego właśnie Wiga tę strunę szarpnęła?— Niech powie noc milcząca, co kocha głośnego słowika; niech powie ogień ciepły i jasny, co wesół się pali w zmrok ciemny i mroźny; niech powie śmiech, co ze łzą graniczy, i tysiące innych kontrastów, co z taką siłą i mocą niepojętą lgną wiecznie ku sobie.

Od tego dnia Ston chodził jak senny; w uszach mu ciągle drgał Wigi śmiech, a oczy mu przyćmił jej blask.

Widywał ją czasem zdaleka, lecz pierwszy do niej iść nie chciał... czemu? nikt nie wie. Może on był nadto hardy i dumny, a może ona była dla niego nadto świętą... Tak minął rok...

Znowu w wigilię «Kolionu» dążyły tłumy ku brzegom morskim — milczące i ciche, bo morze szumiało nutą złowrogą; noc była czarna, bez gwiazd: był to zły znak, jak mówili starzy. I rzeczywiście, już więcej niż przedtem ciemnych kwiatów wyniosły morskie odmęty. Ston stał przy swej fali i czekał.

Wypłynęła zrazu róża ciemna, potem pęk czarnych konwalii, wreszcie garść śnieżnych bławatów i kwiat bez barwy, zapachu i nazwy —

nic więcej.

Zrozumiał Ston ten znak. Kwiat bez nazwy i barwy — to była śmierć: więc oko mu się łąą przyćmiło i zamyslił się głęboko.

A gdy go zbudził silny wark morza, co świt blizki zwiastował, wziął kwiat z białych ostatni i zaczął go badać... «Zobaczysz Wigę» — wyczytał, więc przytulił go do ust i rzucił do fali.

A potem, gdy wziął resztę białych bławatów i liście zaczął przeglądać, usłyszał płacz.

Spojrzał, i ujrzał Wigę, co, w śnieżnych kwiatkach po kolana, niby w puchu łabędzim, błyszcziała w tę noc ciemną, jak gwiazda urocza.

W ręku trzymała garść czarnych kākoli, które jej morze zesłało.

— Patrz — rzekła — Stonie! białych mam dużo, ale i czarnych nie braknie... — i łzy po jasnej jej twarzy toczyły się perłą.

- -

Więc podszedł do niej Ston i, nim krzyknąć zdołała, wyrwał te czarne kākole i w łono fali swej rzucił, a u nóg jej rozsypał grad listków białych — całe swe szczęście, co mu je bóg morza przeznaczył.

Klasnęła Wiga w swe rączki małe.

— Coś zrobił, Stonie! ja nie chcę — wołała — byś ty swem szczęściem me łzy osuszał i łąą mą płakał!

Lecz Ston, spuszczać oczy, zaczął jej kłamać, że szczęściem samem się poił, chciałby więc smutku spróbować...

Uspokojona Wiga, myśląc, że prawdę powiedział, biegła radosna do domu, a Ston długo słyszał gamnę srebrnego jej śmiechu...

Tłumy wracały... Noc ciemna zaczęła jaśnieć powoli; z czarnej stała się szarą... Potem na ho-



ryzonce zamajaczyły blaski; sine fale morskie przybrały tony miedziane, złote, i migotały łuską z kolorów tęczy... Wschód jał się palić zrazu ogniem bladym ; wystrzelił snopem różowym, mienił się barwą, grubiał, potężniał, aż spłonął szkarłatem.

Nie omyliła się Wiga, wierząc Stonowi: był on szczęśliwy jej łzami, bo ile razy jej smutek na nim się spełniał, czuł radość wielką, gdyż kochał Wigę i Wigi szczęście więcej może, niż nawet swą lirę z konchy różowej i struny na niej błyszczące.- —

I gdy raz siedział w cieniu palm i gryzł swem sercem ostatni z tych smutków, które los dla Wigi przeznaczył, poczuł, że słabnie, i odgadł duszą wrażliwą, że zimna i tajemnicza śmierć idzie ku niemu; lecz, wiedząc o tem, że mu raz jeszcze to jedno szczęście zabłyśnie, co je w noc ostatnią «Kolionu» do łona fali swej rzucił, czekał jej przyjścia spokojnie.

Już mrok szary padał na ziemię, cichł las i ptaki już śniły, a fale wieczorne łamały się z głuchymjękiem o nadbrzeżnych skał zręby...

Wigi nie było.

Ston chciał wstać, lecz nie mógł. I gdy się ze śmiercią pasował, usłyszał śpiew i śmiech. Wiga szła drogą w gronie wesołych rybaków... Nie widząc go — minęła. Więc Ston, chcąc jeszcze raz ujrzeć jej oczy jasne, trącił słabnącą dłonią strunę na konsze różowej. Zabrzmiała cicho... Wiga szła dalej... I drugi raz Ston szarpnął strun kilka, lecz pękły bez dźwięku.

Więc chwycił w bólu swą lirę, by z" reszty strun melodyę wydobyć, i zastygł tak — z lirą w dłoni i rozpaczą nad czołem.

I leżał obrócony bladą swą twarzą ku niebu. Tymczasem noc szła... Niebiosy ociekły gwiazdami krwawymi, a ziemia pokryła się brylantem

rosy wieczornej.

Gwiazdka jedna, ujrawszy zimnego trupa Stona  
i taką w jego twarzy rozpacz zastygłą, załkała

- -

cicho, a łzy jej perłami błękitnych meteorów  
padały w morze.

Gdy spostrzegł to wiatr zachodni, co kochał  
tę gwiazdkę niebieską, westchnął — aż zadrżały  
trzciny nadbrzeżne, a potem tak się rozsłochał,  
że palmy gięły czoła zielone ku ziemi; w końcu,  
zebrawszy całą swą moc i siłę, chwycił trupa  
Stona i rzucił go w tonie Oceanu. Jęknęły i za-  
kręciły się fale, a wodorosty, ciekawie pochyliw-  
szy głowy, zdziwione patrzyły jak Ston z lirą  
pograżał się wolno na dno morza...

Dziś już i wyspy tej niema, i morze kwiatów  
nie rzuca... Mówią tylko, że jedna lira z konchy  
różowej na dnie morskiem przetrwała, i resztki  
strun na niej splątanych... I w nocie ciche słychać  
podobno jak fale, płynąc przez struny, grają  
i dźwięczą, a melodia tych dźwięków jest jakaś  
dziwna i niewyraźna... Słychać jakiś pół-płacz  
pół-jęk i tęsknotę bezbrzeżną za czymś innym,  
jasnym i czystym, a jeszcze nieznanem, jakieś  
wołanie, skargę i żal.

Zbiór tych luźnych tonów ma być tak smutny,  
że nawet marynarze — stare wilki „morskie —  
o sercach wśród wichrów i burz oceanu hartowa-  
nych, słysząc ten śpiew, stają cię bardziej chmur-  
nymi i milczącymi i klną, nazywając to miejsce —  
«falą żałobną.»

NA SPACERZE.

— Chcesz koniecznie—rzekł do mnie mój przy-

jaciel Stach, z którym siedziałem na balkonie restauracyi — abym ci opowiedział coś z mojej burzliwej przeszłości? A ja ci mówię, że mylisz się bardzo; te trzy lata włości po górach Kaukazu, po stepach obu półkul świata i falach oceanu zaliczam do spokojnych, bo ciszę miałem w sercu, choć nieraz nad głową bujał wicher i orły, a pod nogami leżał wir, odmęty i tłum bałwanów. Przypuszczasz, że pewnie nieraz śmierć zaglądała mi w oczy: i tego nie było. Ja sam jej w ślepie parę razy spojrzałem — a to wielka różnica. W takiej sytuacji, choć z tobą krucho, nie zaznasz strachu i rozpacz, odczuwasz tylko niepojętą, dziwnie pociągającą rozkosz. Przejść tuż koło niej, otrzeć się prawie o tę wieczną zagadkę, a potem oddalić się spokojnie — to trochę przyjemniejsze wzruszenie, niż te wasze wyścigi, ba, nawet totalizator. Sądzisz, że korzystałem z podróży wiele? Tu masz rację. Rozpacz po stracie tej, którą mi w kilka miesięcy po ślubie tyfus porwał, zmieniła się na cichysmutek, bladą tęsknotę; wiele też wrażeń, wiele przedziwnych, majaczych niemal, obrazów utkwiło w moim mózgu. Choć, zdaje się, że nie to miałeś na myśli, — że chodzi ci o korzyści, jeśli nie ściśle naukowe, to — że tak powiem — umysłowe, o poznanie obyczajów, charakterów ludzi i miejscowości widzianych. Mój drogi, to wszystko daleko ściślej i dokładniej wyrażone znajdziesz w pierwszej lepszej geografii. Ażeby zbadać coś, a bodaj poznać jako - tako, trzeba na jednym miejscu grzybem przesiedzieć, a nie, jak ja, tłuc się po wszystkich kątach. Ja mam tylko tę korzyść i wyższość nad każdym z was, który może dokładniej ode mnie wystudował z książek i map obce kraje, że widziałem, że dotknąłem się, palcami niemal, tego, co wam się tylko przedstawiać może jako abstrakcja, bardzo na-

wet mglista, choć z mocną pewnością twierdzą o niej, że w rzeczywistości istnieje.

Tak, mój stary! (nazywał mnie zawsze starym, choć obaj nie przekroczyliśmy trzydziestki). Człowiek, nawet najbardziej wykształcony i rozumiejący wyższość myśli nad zmysłami, silniej odczuwa i wierzy w to, co mu zmysły podają, niż w to, co mu myśl głosi — choćby najlogiczniejsza i w niewątpliwe dowody zbrojna. Powiem ci nawet więcej: dla większości ludzi niema tego, co wy nazywacie niezbitą, nieprzepartą logiką dowodzeń lub faktów. Najprostsze i najściślejsze dowodzenie jest niczem wobec tego, co się da do-

tknąć, powąchać lub zobaczyć. Niezbitość może dla nich istnieć w tym znaczeniu, że zbić tych dowodów nie tylko nie potrafią, ale nawet próbować nie będą, bo szczerze się z nimi godzą, ale je zawsze przepiją. Powiedzą «tak,» «zapewne,» nawet «napewno tak» — a pójdą swoją drogą i będą robili swoje... Gdyby tylko swoje — pomniki bym im stawiał; ale cudze, to jest to, co im ich niewolnictwo nakazuje... Bo nie myśl, że niewolnictwo istnieje tylko na Madagaskarze i w innych miejscowościach czarnego lądu: istnieje ono wszędzie, na całym świecie, a najwięcej tu u nas, w Europie, tylko daleko wstrętniejsze, gdyż dobre i jawne.

Uśmiechasz się... a wiesz dlaczego? Bo nie widzisz pęt, nie słyszysz brzęku kajdan: nie możesz więc powiedzieć całą istotą swą/ «tak,» choć umysł twój może-by to pojął i nic mógł moim dowodzeniom aprzeczyć. I właśnie dlatego niczego ci dowodzić nie będę. Płać za kawę

i chodźmy, a ja ci za to pokażę niewolników.

Zapłaciłem. Wyszliśn.

Stach, nasadziwszy trochę na bakier swój filcowy kapelusz, mówił dalej:

— To, że my wszyscy chodzimy w jarzmach, własną dłonią ukutych, przychodziło mi nieraz do głowy oojawiło się jak konsekwentny wynik mego myślenia, ale myślenia tylko; reszta istoty milc a choć protestował mój mózg— jak zwykle w takich razach — bezowocnie. Dopiero w mojej włóczędze, gdym widział jarzma zupełnie odmienne od naszych, a równie silne i również uważane za naturalne i w tej swej naturalności niepodlegające najmniejszej krytyce,— jarzma bezwzględne, nietykalne; gdym musiał zmieniać je tak, jak zmieniałem ubranie stosownie do strefy geograficznej, w której się znajdowałem — odczułem w całej pełni fetyszyzm i bezsensowność tych więzów. Wyzwoliłem się, choć je noszę, bo noszę je tak właśnie, jak to moje angielskie ubranie lub tę laskę trzcinową. O ile mi nie zawadza i nie dolega — to niech tam!., o ile zaś staje na przeszkodzie, nie powiem: szczęściu, ale przyjemności, swobodzie ruchu, odrzucam je jak niedopałek cygara.

Patrz na ten tłoczący się tłum, nie tyle wesoły, ile-spocony! To szereg najrozmaitszego gatunku niewolników. Jakkolwiek bawię dopiero od kilku miesięcy w waszem mieście, znam jednak wielu ze słyszenia, niektórych z widzenia, niektórych osobiście, a zresztą mam oko wprawne: więc i wśród nieznanomych z łatwością określe ci rodzaj i ciężar jarzma, w którym każdy z nich chodzi. Zwróć uwagę choćby na te dwie bezkrwiste panienki w jasnych sukienkach, w złotych pelerynkach i wielkich kapeluszach, przypominających niegustowne żardinierki: to siostry; obok nich blady młodzieniec w ciasnych

butach, czerwonych rękawiczkach: to brat; a ten szpakowaty, z przygasłym wzrokiem, przed-

wcześniej zgarbiony mężczyzna — to ojciec, głowa lub, ściślej mówiąc, łysina całej tej niewolniczej drużyny. Oto pyszne okazy, jęczące w pętach mody i szyku. Znam ich trochę. Czy ty wiesz, ile niedospanych nad pracą nocy, ile niedojedzonych obiadów, ile dni o suchych bułkach i herbacie spędzonych — zakrzepło w tych pelearnkach, kapeluszach, ciasnych butach i krwawych rękawiczkach? Te panienki za cenę zdrowia kupują szyk i elegancję, wyrzekają się wielu zabaw i przyjemności, gotowe są nawet do wielkich poświęceń i ofiar w imię idei «mody.» Nieśłusznie więc narzekacie na brak ideałów. Każdy ma ideał, przed którym gniew swój kark, i, choć go kości boją, nie śmie nawet stęknąć. Rodzina ta i tysiące innych nie sprzeniewierzą się za nic swojej idei. Ten student naprzeciw nas idący mimo dzisiejszego upału nie odepnie jednego guzika swego munduru — wierny idei «etykiety.» Żaden z tych powozów, kręcących się jak owce kołowate w jednym miejscu, nie wyjedzie również za miasto, bo woli modny pył i kurz niż świeży wiatr, zieleń pól i widok błękitu. Powiesz mi może, że to są więzy nie zbyt ciężkie i nie kosztują zbyt wiele? Niech i tak będzie. Mogę się z tem zgodzić, gdyż właśnie spostrzegam przykład, którym twój zarzut obalę. Przypatrz się tej oto brunetce siedzącej w powozie. — Warto! Ładna, a nawet, jak na hrabiankę, wcale inteligentna. Ten opasły, drzemiący obok niej jego-- -mość — to mąż jej, baron Bil. Gdyby rysy twarzy miały być zawsze zwierciadłem duszy, nie powinienby on posiadać rysów żadnych, twarz

jego powinny być gładka i lśniąca, jak kafel...  
Jest to ruchomy tłusty trup. Jedyne zmartwienie  
jego — to podagra, jedyna pociecha — dobry  
kucharz i wino. Znałem rywala tego barona.  
Młody, zamożny, zdolny — chciałem powiedzieć,  
człowiek, powiem: kupiec, bo w tem tkwi cały  
sęk kwestyi — starał się o tę pannę. Wiem do-  
brze, że mu była wzajemna; wiem także, iż była  
chwila, w której chciała pójść wbrew kodekso-  
wi niewolnictwa swego... Ale dwie chude ciotki wy-  
rzekły magiczne zaklęcie, i wobec niego wróciła  
do jarzma. Jeżeli nie domyślasz się tego zaklęcia,  
powiem... albo lepiej, dam ci je odczuć, tembar-  
dziej, że mi się pić chce.

Zanim zdążyłem zorientować się co robi,  
Stach znalazł się przy studni, ze zrećznością naj-  
poprawniejszego ulicznika zwinął kapelusz w ro-  
dzaj rądelka, napompował weń wody i pił po-  
woli, smakując i mruczając: «Wcale dobra, bo  
zimna.»

Ludzie zaczęli się na nas oglądać ciekawie.  
Zrobiło mi się głupio.

—Co robisz, waryacie! — krzyknąłem.

— Wiem — odrzekł — to się nazywa: «nie  
wypada,» i oto jest magiczne zaklęcie, którem  
ciotki nie dały jej ugasić pragnienia szczęścia,  
a ty mnie nie dajesz pić - - wody. Zrobiłem to

umyślnie. Możesz iść śmiało dalej ze mną: wię-  
cej wybryków nie będzie, gdyż nie chcę być  
niewolnikiem oryginalności... A jednak pamię-  
tasz jak na przechadzkach pijaliśmy tak nieraz,  
i byliśmy zdrowi? Dobrze to były czasy!.. Dziś...  
cóż dziś? — uśmiechnął się drwiąco.—Zestarzałem  
się widać, zgłupiałem, bo zrozumieć nie mogę:  
dlaczego, -naprzykład, jest przyzwoiciej upić się

wobec setek osób na «patelni,» niż napić się wody ze studni, choćby nawet kapeluszem? Dlaczego to wypada, a tamto nie wypada? Również nie rozumiem, dlaczego ludzie tak łagodnymi słowami ochrzčili to, co skuło ich w pęta, co rządzi niemi, co zastępuje tysiącom obowiązek, moralność, przekonanie, co jest stokroć silniejsze od przekonań — bo te są tylko od tego, aby je wygłaszać, stanowią upiększające bandery, a tamto jest wiosłem i sterem. «Wypada» i «niewypada» — to «być» i «nie być» Hamleta. Ulegają temu, wszyscy: ulegasz i ty! Tak, boś także niewolnik — może nieco krnąbrniejszy, może-byś nie zawsze zakłęcia posłuchał; są jednak jarzma, dla których-byś wiele poświęcił. Naprzykład, nazwałś mnie wobec tłumów waryatem! Przypuść na chwilę, że rzeczywiście cierpię- umysłowo, że jestem do pewnego stopnia idiotą. Zdaje mi się, żeś mi ubliżył, żeś mi w ten sposób ukradł kawałek czci, którą muszę zastąpić kawałkiem ołowiu. Proponuję ci pojedynek. Zgadzasz się, oczywiście. Przyjaciele nasi naradzają się, i stąpają — po ulicach wyprostowani i dumni. Znajomy nasz restaurator zaciera ręce i mrozi szampana. Ty, trochę niespokojny, łudzisz się, że jesteś tylko niewolnikiem honoru i pocieszasz się tem, że to szlachetniejszy gatunek niewoli. Mylisz się, stary: wyobraź sobie, że jesteśmy na bezludnej wyspie, że ci tam, dla mniej błahych powodów, robię taką propozycję. Parsknąłbyś mi w oczy! A wiesz dlaczego? Bo tam nie byłoby tego, co legło u szczytu piramidy naszej niewoli: nie byłoby głosu opinii publicznej. O, to jest pan, który rządzi światem, przed którym bijecie czołem nawet wy, wolnomyślni, bo różnicie się od bezmyślnego tłumy tylko tem, że wolno myślicie. A jednak, robiąc tak, jesteście gorsi od Czarnych, Ci również ulegają swoim panom i żywią dla nich



służalczą cześć, ale ich władcy, a widziałem ich dość, imponują rzeczywiście: silni, odważni, od dziecka nawykli do rozkazywania, nieugięci — mogą widokiem swym i zachowaniem wzbudzić uczucie lęku i szacunku. Opinia publiczna nie ma nic z władcy, ma za to wiele z psa. Psim węchem się rządzi; psim również instynktem wiedziona wie kto się jej boi, i na tych nieśmiałych przeważnie się rzuca. Spróbuj uciekać: chwyci cię za piętę. Upadnij: skoczy ci do gardła. Odwróć się i śmiało spójrz jej w oczy, a lepiej, uderz kijem: podkuli ogon, schowa się w kąć, a później stopy ci lizać będzie. Są wprawdzie różnice. Pies, na przykład, poczuje w kieszeni

— -

kiełbasę, a ona — rubla. Jakkolwiek to instynkt niezwykły, trudno ją za ten talent tak niewolniczo czcić, jak wy robicie. Gdy widzę to wszystko, przychodzi mi nieraz na myśl, że ludzie chyba mają wszczepioną w duszę żądzę niewoli, a cała ta wolność, do której niby tęsknią, ogranicza się na pragnieniu, aby im wolno było pieścić ułudną marę, iż nominalnie mogliby odrzucić te pęta, które faktycznie nieprzeparacie ich wiążą. Nieliczne wyjątki to zabłąkane dusze z jakiejś innej ziemi: zjawiają się na chwilę, głoszą wolność, nie wiedząc o tem, że mnożą niewolę. Bo siła i żywotność ich poglądu, płynąca z tego, iż zawsze są sobą, odurzy i innych; każe ich własnym wyznawcom wyrzec się siebie, wtłoczyć swą duszę w formę przez nich i dla nich stworzoną, poddać się ich jarzmu, z dawnych łańcuchów wejść w nowe. Widywałem przecież ludzi dość niezwykłych, spotykałem artystów, którzy mieli coś z wolności wichrów stepowych: wyzwalali się oni z pod wielu jarzm, gardzili

nawet głosem opinii publicznej, jednak bez pęt żyć nie mogli. Zaciągali się więc pod sztandary mistrzów; tworzyli szkoły, nie wiedząc o tem, że im więcej zbliżają się w naśladownictwie do do swego mistrza, tem dalej odbiegają od treści ducha jego, bo wyrzekają się siebie. Widać to strasznie trudno być sobą. A może nawet dla większości to niemożliwe, bo nie mają nic własnego: istnienie więc samoistne byłoby dla nich niebytem.

. Słuchaj, ty przecież masz coś swego; samoistność nie grozi ci śmiercią: dlaczego więc do duszy swojej przykleiłeś tak bezmyślnie etykiety materjalizmu? Nie myśl, że mam jakąś szczególną niechęć przeciw tej teorii. Mam przeciw niej tyleż, ile przeciw każdej innej, albo raczej — nie mam nic. Wszystkie teorie i doktryny są dla mnie równie złe lub dobre, co wolisz, gdyż posiadają one dla mnie tylko znaczenie rusztowań. Dobry majster na najlichszym — ale dla niego wygodnym — wznosi gmach prawdy i piękna; fuszer z najlepszego spadnie, a co gorsza, nie dojrzy gmachu, tylko rusztowanie, zacznie do niego przylepiać gipsowe gzymsy, zeszpeci, zepsuje cały styl, zasłoni gmach: aż przyjdzie znowu genialny budowniczy, rozpędzi nieudolną hałastrę i całą budowę rozwali. Nie do teorii więc, ale do ciebie, mam urazę, żeś wlaźł nie na swoje rusztowanie i wisisz na niem jak pies na płocie, że idziesz błędną, bo nie swoją, drogą, że stroisz się w suknię, która do ciebie zupełnie nie pasuje...

— O czem ty mówisz? — spytałem.

— O tem, że mi duszno jest, że mi już do żywego dojadła ta moda i model we wszystkim, te kopyta, na których się szyje nietylko buty ale ideały, przekonania, naukę i piękno; te wzory, w które każdy wtłacza istotne swe życie,

---

aby uczynić zeń tylko naśladowanie życia, —  
włacza swe szczęście, a gdy mu w tej formie  
kostnieje, robi minę szczęśliwą; ten szablon, we-  
dług którego okrawa się serce, dusza większa,  
a do którego mniejsza się rozdyma. A zresztą,  
co mi tam do tego! Szkoda słów, szczególnie  
że ja nie noszę ich, jak inni, w gardle, ale  
muszę po nie cokolwiek głębiej i dalej iść. Zły  
jestem, boś mnie dotknął; smutno mi, że i ty  
kłamiesz.

—Ja? — spytałem szczerze zdumiony.

—Ty! — właśnie. Wczoraj wpadł mi w ręce  
jakiś twój artykuł: Miłość — artyści i coś tam...  
Potrącasz w nim kwestyę miłości i, oczywiście,  
jako wierny niewolnik swej teorii, główny, pod-  
stawowy, jedyny prawie pierwiastek tego uczu-  
cia znajdujesz w zmyśle. Drwisz nawet ostro  
z tych «nieśmiertelnych hymnów, które u jej oł-  
tarzy palą artyści.» Cytuję twoje słowa. A jeśli  
chcesz usłyszeć moje zdanie, to powiem ci, że,  
o ile jest trudno «hymn palić,» o tyle cała twa  
rozprawa jest głupia.

— Pozwól... — zacząłem.

Wkraczaliśmy w bramę Łazienek. Tłum wy-  
chodzący rozdzielił nas na chwilę. Pierwsze grze-  
chotki warczały wokół. Zeszliśmy się znowu.  
Stach ciągnął dalej, dziwnie rozdrażniony:

— Powiedziałem: głupi! — podwójnie nawet,  
bo nie masz słuszności obiektywnie, a subiek-tywnie tem bardziej,  
gdyż mówiąc tak, nic je-  
steś sobą. Obełgujesz innych i siebie.

— Pozwól... — zacząłem.

— Nie, mój drogi, nie lubię dysput — zwłasz-  
cza, że nie potrafię ci dowieść, iż masz zaraz  
inną duszę, jak tylko ci się zechce pozować,

i udawać. A będziesz tak robił z pewnością:  
primo — z przyzwyczajenia... secundo — dla przyjemności postawienia na swoim.

—Słuchaj, — przerwałem — w takim stosunku, jak nasz...

—Nawet w stokroć szerszym fałsz i obłuda to kardynalne wady każdego niewolnika.

— Dajże mi dojść do słowa! — odparłem żywo. — Zwróć uwagę, że pisałem to przed dwoma laty, że teraz wydaje mi się ta rzecz trochę inaczej. Nie wiem jak jest właściwie, ale wiem, że nie zupełnie tak, jak twierdziłem. Będę ci bardzo wdzięczny, jeżeli mi coś w tej kwestyi powiesz, rad, jeżeli mnie pobijesz... Szczerze pragnę na tym punkcie twego zwycięstwa, bo...

Urwałem.

Stach spojrział mi bystro w oczy; twarz jego, na której przed chwilą gościł zjadliwy wyraz sarkazmu, złagodniała dziwnie; w smutnym, jakby zamglonem, jego oku zamigotała rzewność.

- Możesz nie kończyć, stary — szepnął tklwym głosem... - To dobrze, to bardzo dobrze... wybac mi moje ostre słowa... ale tu leży moja rana... zagojona tak słabo i przy najlżejszem dra-

śnięciu piekąca... Z zapytaniem tern wiąże się dużo mej własnej przeszłości i dużo smutku mojego, bo z myślą o tern splata się o niej wspomnienie i zrywa się nieukojonny żal, że niepowrotnie odeszła...

Umilkł. Wokoło nas chwiały się senne drzewa, wieczór uciekał przed nocą, co, idąc zwolna, sypała ciszę na ziemię i bryzgała gwiazdami na niebo. Zdała dolatywał zmieszany turkot, gwar miasta i tramwajów dzwonki, a tuż obok słowik rzucał urywane tony, pełne łkań i tęsknoty.

Szliśmy chwilę w milczeniu. Przerwał je Stach.

— Widzisz, mój stary, może nie wszyscy jeszcze są zdolni kochać prawdziwie; jestem jednak pewny, że z czasem władzę tę wszyscy posiadają, bo pierwiastek idealny tkwi w każdej duszy i ciągle wzrasta. Wszak wierzysz w postęp? A dla mnie przynajmniej postęp przedstawia się w formie stopniowego zwycięstwa ducha nad ciałem. Tyś skrzywdził postęp i wszystkich, chcąc ująć ludziom tę część ich najlepszą, przez którą stają się ludźmi. Łatwiej - bym zrozumiał twe zaślepienie i zaciętość niewolnika teorii, gdybyś przemilczał artystów; ale ty na nich zwróciłeś główną uwagę. Dziwi mnie więc, żeś tam przynajmniej nie dojrzał tego wyższego pierwiastku, który w nich występuje dość silnie. A jest, mój stary, artystów więcej, niż myślisz. Mógłbym ci wskazać nawet bardzo wielkich, których nikt o to nie podejrzewa, nawet sami— - oni o tem nie wiedzą. Są to pewnego rodzaju niemowy, śpiewacy, którym dano wszystko, prócz głosu. Różnią się oni od głośnych artystów tem, że kłamią — ale kłamią tak, jak kłamię powierzchnia morska i cisza oddechu, co jest spokojna i gładka, choć w głębi rwą wiry i szarpia się fale; lub kłamią tak, jak chmura, co cicho nad głową naszą przeciąga i w milczeniu ginie, choć pełna jest nawałnicy i gromów. Trudno jest im wydobyć głos, ale gdy go dobędą, to słuchać warto. Jeżeli w takim człowieku z wyjątkową wrażliwością złączy się czarodziejska niemal władza zamykania w formę słowa, barwy lub tonu uczuć i myśli swoich, staje się taki człowiek prawdziwym artystą, co jest jak dźwięczna arfa, która odpowiada czystem i wielkim echem na każde zjawisko. Słowa takich ludzi są równie silnie jak ich uczucia... Treść i forma zlewa się w jedne doskonałą całość. U nich nie

może być przesady; częściej raczej bywa na odwrót. Dzieła ich bywają czasem tylko wiernym cieniem ich ducha. Miłość ich, ubrana w słowa, jest słabszą i bardziej ziemską, niż miłość ich serca. Tych trzeba było słuchać, stary, bo oni nigdy nie kłamią. Ty zapomniałeś o tem; ciebie, spętanego jarzmem teorii, łatwo wprowadzili w błąd ci liczni żeglarze słowa, którzy przez niepojętą dla mnie wprawę doszli do tego, że umiejają piękniej i silniej mówić niż czuć. Jakkolwiek są bardzo zręczni, mogą zwieść tylko tłum; bacz-

niejsze oko dostrzeże, że pod tą uludną formą nie wre krew, nie tętni myśl; że to jest sztuczna, nieszczerza afektacja, którą ty, rozpatrując w ich oświetleniu miłość, spostrzegłeś i rozciągnąłeś niebacznie na wszystkich. Nasłuchałeś się fałszywej piosenki miłosnej; oburzyłeś się może nawet jej fałszem, i zanuciłeś jeszcze fałszywiej. Dlaczego w swe własne serce, lub, jeśli ono wtenczas spało, dlaczegoś w inne serca nie spojrział? Dlaczego nie spytałeś którego z zakochanych: jak rodzi się miłość? On-by ci wskazał może te pierwsze chwile, w których wybrana przez nas istota wydaje się czemś nietykalnym, świętem niemal, bardzo ukochanym, a tak mało pożądanym. Uczucie to różni się charakterystycznie od wszelkich innych: i ono już jest miłością, choć niema w niem jeszcze żądz, którą ty mienisz jej głównym pierwiastkiem. Potem dopiero budzą się namiętności, a że dreszcz ciała brutalniej i jaskrawiej rzuca się w oczy niż dreszcz w duszy, to zwraca nasze główną uwagę: stąd błąd powszechny, stąd i twój. A jak trudno rozwikłać tę plątaninę instynktu z uczuciem — o tern ja wiem najlepiej. Na to trzeba być samemu u źródła

prawdziwej miłości i trzeba umieć dojrzeć jej olśniewające piękno i odczuć jej rzeźwiącą i oczyszczającą moc.

Mijaliśmy właśnie pałac, przed którym w promieniach księżyca chwiała się fontanna jak złoty snop. Stach zbliżył się ku ławce... Siedliśmy.

—Dawno tu nie byłem — szepnął; nic się prawie nie zmieniło. Zdaje się, że widzę te same łabędzie, że te same fale tak samo wzdychają jak wtenczas, gdym był tu z n i ą poraż ostatni.

Umilkł. Siedzieliśmy dość długo nic nie mówiąc.

— Czy już skończyłeś? — spytałem.

Stach drgnął.

—Dziwny fatalizm! — szepnął. Przed czterema laty ona zmusiła mnie na tej ławce myśleć otem, o czym ty mi dziś mówić każesz. Byłem tu

z nią na krótko przed ślubem. Nad nami wisiała jasna letnia noc i dużo gwiazd; a w sercach naszych tyle się ucuć zrywało, że brakło nam słów. Całowałem w milczeniu jej ręce białe... W jednych pocałunkach, wierz mi, drgało tylko serce i dusza, w innych zmysłów więcej. I kiedy w porywie namiętności zacząłem ją tulić do piersi, oczy, usta i złote włosy całować — nagle odsunęła mnie od siebie i zdławionym głosem spytała: — «Czy jestem pierwszą kobietą, którą wziąłeś w ramiona?» Nie uwierzysz, jak mi trudno było wydobyć to jedno słowo: Nie! Widać odczuła, ile mnie ta krótka odpowiedź kosztuje, bo, ująwszy mnie za rękę: —«To nic — mój chłopcze — szepnęła — żadna z nas nie marzy już o tem, aby być pierwszą, chciałyby być przynajmniej ostatnią.» A mnie jeszcze większy zjął smutek. Bo naprzód w tych jej słowach

brzmiała cicha skarga wszystkich kobiet na świecie i jaskrawo stanęła przede mną cała anormalność naszych stosunków, cała ich krzywda, a nasza niesprawiedliwość. A potem w mózgu moim utkwily męczące pytania: Czy o wiele te moje pocałunki różnią się od tamtych?.. Czy ja tam nie zgubiłem wszystkich moich praw do tego, co jaśniejsze i szlachetniejsze?.. Czy może to wszystko rzeczywiście sprowadza się do jednej namiętności, zwierzęcej, osłoniętej mgłami idealnych marzeń, która wkrótce opadnie?.. I długo nie mogłem odpowiedzieć ani — tak, ani — nie! Bo to, co było ze zmysłów, wciąż się plątało z tem, co z serca i duszy płynęło. Dwa te prądy mieszały się ustawicznie z sobą, splatały, zasłaniały się wzajemnie, póki nie przyszła chwila, kiedy ten większy i trwalszy trysnął czysty i samoistny.

Zauważyłem, że Stach zniżał stopniowo głos i mówił dziwnie monotennie, jakby do siebie.

Widzę tę noc i tę chwilę, kiedy między nami legła jakby ściana lodowa... czułem, żeśmy sobie wyrządzili jedne wielką—i jak myślałem—niepowrotną krzywdę. Nie mogło być już wtenczas i nie było między nami ani cienia zmysłów—tylko jakiś wstyd, wyrzut i żal... Wtem księżyc wcisnął się w okno i padł na jej twarz smutną i bladą, na oczy osłonięte powieką, z pod której wymykały się łzy... A w sercu mojem zadrgała silnie jakaś struna majaczącego niewyraź-- -nie niegdyś i prawie już zapomnianego uczucia...

Wziąłem ją lekko w dłonie i uczułem tak silnie, jak nigdy przedtem, że trzymam cząstkę istoty najdroższej dla mnie na świecie. Z bałwochwalczą czcią niemal osunąłem się do nóg jej — i zacząłem białe stopy całować... W piersi miałem tkliwość ogromną, szczerłość serdeczną



i rzewność taką, jakiej nie zaznałem przedtem w tem życiu... A kiedy ona zarzuciła mi swe ręce na szyję i, łkając, głowę na czole mojem oparła, to wstrzymało się myślenie mego mózgu i pulsów wszystkich tętno... I teraz rozumiem i widzę jasno, że tylko to jedno może okupić tanto: że bez tego miłość budzi w nas zwierzę drzemiące, a z tem — drzemiącego anioła. I ci to właśnie rozbudzeni anieli skrzydlaci wiążą na niebie węzeł złocisty i, póki nie usną, w alabastrowych swych palcach trzymają silnie srebrne jego końce. Bo choćby para przeszła przez progi wszystkich meczetów, nie uzyska tajemniczej mocy świętego sakramentu, jeśli tylko dąży do sypialni; tam ujrzy trumnę swojej nieprawej miłości i blade widmo trupa zabitej znajdzie w swych sercach nad ranem.

Kto tylko pragnął całować usta swojej wybranej, a nigdy nie czuł nieprzepartej chęci ukłęknać przed nią, ze czcią uściskać jej stopy, odgadnąć myśli jej czoła i serca drgnienia, ten nie ma prawa powiedzieć: «kocham.» Niech mówi «żądam.» Tak niech mówi i ta, co tylko

białe czoło widzieć umiała i oczu jego płomienie, a nie spytała nigdy: Czemu to czoło zmarszczka przecięła? dlaczego oczy twoje dziś smutne i do kąd patrzą?

O, myśmy mieli prawo powiedzieć: «kocham.» i ja mam to prawo dziś jeszcze.

Słuchaj, pół roku zaledwie żyliśmy razem, a przez ten krótki czas z głębi istoty jej zaczerpnąłem ogromnie dużo, i ona ze mnie także dość wiele. Byliśmy razem bogatsi o całe jedno serce, o całą jedną duszę... Czuliśmy za dwoje, myśleliśmy podwójnie... Teraz bez niej... jestem jak ten

suchotnik, co jednym tylko płucem ciężko pracuje, gdy dawniej całą piersią oddychał. Ja mam żal do niej prawie, że tak odeszła ode mnie bezlitośnie i nie powróci już nigdy.

Ostatnie słowo wymówił tak dziwnie, że mnie dreszcz przeszył; bom po raz pierwszy odczuł w całej pełni okropność tego wyrazu, wyższego nad pojęcie ludzkie...

Stach patrzył w przestrzeń. Twarz jego, raczej brzydka niż piękna, w blaskach księżyca miała taki wyraz smutku, sennej zadumy i marzycielstwa, żem bał się poruszyć, nie chcąc go budzić. Na około nas było cicho. Drobne postrzępione chmurki jak tabun rozkiełznanych cieni mknęły szybko przez tarczę księżyca. Słownik w pobliżu rwał serce i śpiewał jakąś splątaną pieśń, brzmiał coraz głośniejszy, coraz zapa-

miętalej... aż nagle urwał, jakby mu zabrakło tchu... Stach zbudził się...

—Jakie to dziwne — szepnął — mnie się często zdaje, że ja tęskniłem za nią i marzyłem o niej, chociaż jej jeszcze nie znałem.

— Czy to nie złudzenie tylko? — wtrąciłem. Czyż można taką dziwną zagadkę zrozumieć?

—Może — odparł. Chociaż opowiadano mi w pasie cisz morskich jedną legendę. Pamiętam ją trochę. Żeglarze objaśniają nią ciszę morską i różne inne zjawiska; a według mnie samo istnienie jej stwierdza ten dziwny fakt i na swój sposób dość go ciekawie tłumaczy.

Według tej legendy, podobno Bóg, stworzywszy ziemię, postanowił przygotować naprzód wszystko, co może być do jej dziejów potrzebne, bo miał wiele jeszcze zajęcia w innych światach; zresztą, chciał się przyjrzeć swym dziełom. Otóż, na ostatku kazał przygotować gliny cielesnej na pewną olbrzymią liczbę ludzi, która ma przeżyć

na ziemi. Rozkaz ten wykonano dokładnie. Później jął Bóg tworzyć także ilość dusz męzkich i kobiecych, a każdą kładł w wielką formę, aby tam ostygła, cokolwiek stężała i straciła część swej lotności, bo, gdyby tego nie uczynił, dusza łatwo-by z ciała umknęła. Kiedy Panu Bogu pozostawało jeszcze — nie pamiętam ile dusz, zamknąć w formy, kilku swawolnych aniołków w szalonej gonitwie połowę form pustych potłukło, a bojąc się gniewu Bożego, skorupy po-

wyrzucali w morze. Gdy to spostrzegł Bóg, a nie miał czasu już złemu zaradzić, każde dwie dusze stopił w jedno, swawolnym zaś aniołom za karę kazał te dusze odmienne od innych nosić do składu. Napracowali się swawolnicy bardzo, bo dusze te były niezwykle wielkie i miarą swą inne więcej niż w dwójnasób przewyższały, a przytem dziwnie mało ostygły, tak, że parzyły anielskie dłonie. Właśnie, gdy całą pracę skończono, nadchodził jeden z tych wieczorów, które Bóg z aniołami przepędza, słuchając ich rozmów i uwag, jakie podczas tych wyjątkowych wieczorów robić sobie pozwala. Rozmawiano właśnie o tych nowych duszach, kiedy wystąpił młody aniołek, Przemądrym zwany — widać dlatego, że za mądrym aniołem nosił brylantowy cyrkiel — i rzekł do Pana:

— Boże, wyjątkowość tych dusz zamąci równość ludzką na ziemi...

— O jakiej myślisz równości? — mój ty przemądry — odparł Pan, a w głosie Jego zadrgała jakaś tak dziwna nuta, że Przemądrym głos zastygł w piersi. Spojrzał więc z wyrzutem na twarz Mądrego anioła, od którego coś o równości zasłyszał, lecz, widząc ją surową i jasną,

zmieszał się jeszcze więcej, a chcąc to ukryć, udał zamyślnego, chociaż o niczem wtenczas nie myślał. Szczęściem dla niego odezwał się anioł Oszczędny, co się robotą gliny cielesnej zajmował:- -

— Boże, dusze te wyszły tak wielkie, że gliny może nam zabraknąć.

—Będziemy je w cieńsze płaty zawijali — odrzekł Bóg.

— Więc znowu będziemy musieli dźwigać do Ciebie te dusze, Panie, i ręce parzyć! — jęknęli chórem swawolnicy, a twarze ich zaczęły się krzywić do płaczu.

Bóg zmarszczył się i zamyślił. A chwili tej wszystkie gwiazdy wstrzymały swe obroty i nieruchomie zastygły w przestrzeni, wszystkie wiatry pokładły się na morze i urodziła się cisza morska.

końcu rzekł Bóg:

—Dobrze, więc dusze te dziś jeszcze rozdzielone będą, a mają być podzielone tak, aby z jednej części mogła stać się niewiasta, a z drugiej mąż. Pracę tę wykona jeden z tych, którym te dusze są blizkie.

Tu Bóg powiódł okiem wokoło... Wzrok Jego spoczął na twarzy jednego anioła, co stał pochylony naprzód, z napół rozpostartymi skrzydłami, jakby gotowy do lotu, a oczy wielkie, piękne i smutne w przestrzeń zatopił.

—Wykonasz ty — Marzący!

Anioł drgnął, jakgdyby ze snu zbudzony, i spojrzał na Pana.

— Idź —- ciągnął Bóg — bo w duszach tych dużo jest twego.

- —

Poszedł Marzący, lecz, ujrzawszy te dusze,

sposzrzegł w nich taką moc różnorodnych pierwiastków, z sobą powikłanych, że rozdział wydał mu się niemożliwym. Więc wrócił anioł i, stanąwszy przed Stwórcą, rzekł miękkiem głosem:

— Panie, ja tej pracy spełnić nie mogę!

Struchleli wszyscy. Ogromna cisza zawisła nad niebem i słychać było tylko szelest skrzydeł, drżących od trwogi, bo po raz pierwszy anioł odmówił Bogu posłuszeństwa. . Bóg podniósł dłoń i, położywszy ją na czole Marzącego, rzekł:

— Ty za to będziesz czuwał nad temi duszami na ziemi i swoją władzą je cieszył.

Taka tkliwość drgała w głosie Boga, że wszystka woda na ziemi stała się słodką.

Rozdział został powierzony aniołowi Potężnemu, temu, co Bogu niegdyś pomagał oddzielić światłość od ciemności. Wyszedł Potężny, ale gdy ujrzał te dusze — i on się zawahał na chwilę. Był to przecież jeden z tych śmiazków, co umieją dzień ująć w karby i rozpętana noc czasem skrepować: więc wnet się opamiętał, zaczął chwytać duszę po duszy i na dwie części je darł. Kiedy zaś stanął przed Panem, twarz jego była strasznie zmęczona, a głos mu tak osłabł, że ledwie zdołał wyszeptać:

— Skończyłem, Boże.

— Śpijcie — rzekł Pan. I wszystkie skrzydła anielskie zwisły, jak bia-

łe żagle okrętów wśród ciszy morskiej. Wszystkie oczy zwarły się i wygładziły twarze, prócz jednej, boskiej, która stała się dziwnie chmurną, niemal bolesną. I wtenczas—twierdzą żeglarze—urodził się orkan na morzu, co w czas ciszy wstaje i gna, szarpiąc się z sobą jak obłąkany boleścią, i niesie okrętom śmierć i zniszczenie, a trwa tak krótko, jak krótką była ta chmura na twarzy Boga.

Niebawem jedna taka dusza rozdarta zjawiała się na ziemi w postaci człowieka, co zwał się «Ten.» A gorzej mu było, niż innym na świecie. Kochały go gwiazdy — ale dalekie, nie rozumieli ludzie — ale bliscy. I wielce bolał Ten, bo miał duszę, któraby chciała wszystkich ogarnąć i przytulić do siebie; serce zaś posiadał dumne, niechzące zebrać miłości, przytem tkliwe i nadzwyczaj czułe, bo rozranione już w niebie. Prócz tego myśli różnobarwne, dziwaczne, pełne melodyi, z jakichś nieznanych głębin płynącej, plątały mu się w mózgu. Dziwne tajemne tęsknoty cisnęły mu się do piersi, a ptaki smutku krążyły nad nim stadem. Więc schodził ku niemu anioł Marzący i śpiewał nad nim niewysłowienie piękne sny i szeptał mu cudne marzenia; a od tych szeptów anielskich ptaki czarne, jeden za drugim, mknęły spłoszone. Zostawał tylko zawsze jeden, jakiś mglisty, dziwny i niewyraźny.

— Kto jesteś, ptaku? — spytał go w końcu Marzący.

—Nieukojona tęsknota!

—Za czym?

— Za drugą częścią tej duszy, co w niebie została.

Zasmucił się Marzący, zamyślił, szybko się nagle porwał i, bijąc skrzydłem, wzleciał do Boga, ukląkł przed Stwórcą i tak go prosił:

—Za moje sny, o, Panie, i za tę tęczę promieni, którą nad ziemską rzeczywistością rozwieszam, i za te rany, co drą mi serce, gdy tęcza pęka — ześlij na ziemię drugą część duszy tego człowieka!

Tu się rozplakał, a wielkie łzy chłoneły wy-

schłe muszle morskich wybrzeży i chowały skwapliwie w swem wnętrzu. Stąd perły.

—Wstań — rzekł mu Bóg. — Mniej marz, a pilniej patrz!

Zrozumiał go Marzący. Zleciał na ziemię i krążył nad nią długo; aż w końcu złożył swe skrzydła, krzyknął radośnie i spadł na piersi śpiącej dziewczyny, bo zgadł odrazu z jej twarzy, że w niej mieści się ta druga część duszy rozdartej, że to jest «Ta.» A ona, jak leżała marmurowo blada, niby posąg zapomniany wśród traw zielonych i zamyślonych paproci, tak się powlokła całą łuną różową i westchnęła głęboko. Rozbudziły się senne kwiaty naokoło, myśląc, że zorza błysnęła i dyszy wiatr poranny; lecz noc stała się jeszcze cichszą i wszystkich już dziwów swych pełną. Łzawe gwiazdy szeptały coś z sobą, migocąc w mgłach, smutny księżyc mieszał swą melancholię z fantazyą lotnych obłoków, a meteory błękitne przebiegały przestrzeń, jakby wylekłe i przez coś nagle spłoszone. Ale na ziemi wtenczas jeszcze większe dziwy się stały. Tam posąg ściągnął rozkosznym dreszczem z alabastru wykute ramiona, podniósł ciemiste powieki i rzewne dwie gwiazdy odsłonił, lecz wnet je napowrót przygasił, splótł drobnych rąk swoich białość na falującej piersi i zastygł znowu, pełen snów dziwnych i niewytłómaczonej tęsknoty.

Widząc to wszystko, Marzący anioł zachwiał się, żalością zjęty; przypomniał bowiem sobie, że między Tym a Tą i przestrzeń ogromna leży, i rosną różne przeszkody, i stoi silny los. — Przestrzeń przelecę, przeszkody minę; ale jak zwalczyć los? Nie umiem walczyć, — szeptał z goryczą, a jedna łza zwisła mu na rzęsie, stoczyła się po twarzy i wpadła w morze. I woda morska odtąd zgorzkniała. Gdy tak rozpaczał

samotny, usłyszał wark powietrza. Potężny mknął... Nawrócił ku niemu swój lot Marzący i jął żeglować przez błękit nieba szybko, lecz trwożnie, bo między tymi aniołami tkwiła, choć dawna, ale niezapomniana, uraza. Dogonił go w końcu i całą sprawę wyłożył, a widząc w twarzy jego upór i zaciętość, zaczął się tłumaczyć pieszczotliwie: że on wie dobrze, iż między nimi niechęć przebiegła i dotąd trwają jej ślady... więc, chociaż wina ich równa, przychodzi pierwszy i mówi: Rzućmy złą chwilę w niepamięć, bo niebo i ziemia są tą rozterką smutne ; Bóg nawet nierad i Przemądremu, co ich poróżnił, nie błogosławił. A wszak wiadom kim jest Przemądry: nieplodny ojciec głupiego syna. Może potężny zgody tej nie chce: więc i on łaski nie żąda i żebrać nigdy o nic nie będzie, bo przecież równy on jemu, — prawy syn Stwórcy i nieśmiertelny. Jeżeli jednak mają już wiecznie latać oddzielnie, to niechże złączą te dzieci swoje, niech one żyją całą potęgą dwu dusz i stopią w sobie na ziemi to, co się w niebie rozdarło. O to mu tylko chodzi, dlatego przyszedł jedynie: klnie się na smutek, tej cichej nocy i obłąkanie tych komet nad nimi krążących. Jego zniewala do tego kroku, nie tylko rozkaz Boży, własne pragnienie, lecz obowiązek; bo oto przed chwilą niebacznie w piersi dziewczyny rzucił czar marzeń zawrotnych, od których zwiędnie, jeśli się one nigdy nie ziszczą. Potężny anioł wciąż milczał jeszcze: więc oburzony Marzący zmienił się cały, jak tęcza, i rwącym się głosem wybuchnął:

— Zanadtoś dumny, mój bracie, raczej zacięty! Może ty myślisz, że ja bez ciebie odarty z mocy zupełnie? Czyż nie wiesz o tem, że jestem rosą ożywczą nieba i ziemi i kwiatów



- -

wszelkich? Ty masz władzę zmieniać w owoc, ale to tylko, czemu ja kwitnąć rozkażę. Kwiat bez owocu ma swe istnienie; jest tylko kwiatem, lecz zawsze kwiatem. Owoc bez kwiatu — czyż bywa kiedy? Nie chęć się zbytecznie i nie bądź nadto niewdzięczny. Czyż nie pamiętasz jak to wtenczas, gdyś walczył z nocą i, próżno goniąc jutrzenkę, upadł zemdlony, jam cię marzeniem ocucił? Dziś nie dbasz o mnie, bo kiedy jesteś zmęczony, to masz jutrzenkę; na jej różowych piersiach kładziesz swą głowę i z pocałunków jej złotych nową moc czerpiesz. Wolno ci o mnie zapomnieć, lecz lekceważyć się nie dam — i dziś ci jedno przypomnę: że każdej chwili cofnąć potrafię swe dary, w które ubrałem jutrzenkę; odejmę różowość jej twarzy, ciepło i blaski jej oczom — i stanie się napowrót taką, jaką ją z łona nocy wyjęto: jak marmur bladą i zimną.

Umilkł, a anioł Potężny, co bez pamięci kochał jutrzenkę, gdy to usłyszał, zacisnął dłonie, aż krew mu z palców trysnęła, w ocean wpadła i wnet się w koral rozrosła. Zdławionym głosem, blady jak płótno, wyszeptał cicho:

— Słuchaj Marzący, tylko mi nie groź! Wiesz dobrze przecie, że się zaciętość groźbami karmi a prośbą truje. Ja spełnię twoje życzenia. Dziś o południu związę ich los i na dno morza go rzucę, a nim się stamtąd wygrzebie, ty zrobisz swoje.- -

I o południu dnia tego w tych miejscach, gdzie się szamotał związany los, powstały wiry morskie.

Tegoż wieczora w cichej zatoce stary delfin olbrzymi wytrzeszczał oczy i patrzył chciwie. Pod krzakiem laurów stał Ten z twarzą promienną i silną; przy boku jego drżała Ta i gło-

wę pełną złotych warkoczy do jego piersi tuliła. Nad nimi chwiały się dwa piękne ptaki — Szczęście i Miłość — niezwykle wielkie i białe, a od łopotu ich skrzydeł zrywał się pomyślny wiatr i marszczył toń. U nóg ich leżała omdlała — Nieukocona Tęsknota. Wokoło brzeg się rumienił od jasnych kwiatów. Dalej na wzgórku w wieczornej mgle, nakryci czterech skrzydeł srebrnym namiotem, w bratnim uścisku złączeni — stali Potężny z Marzącym. A w miejscu tem, gdzie uściśnęli się ci dwaj anieli niebiescy, wyrosły kłosa.

I może-by wszystkie brzegi samym kwiatem i kłosem zarosły, i może-by dobre wiatry wiecznie bujały nad falą, gdyby nie to, że zegar śmierci niezwykle chodzi: raz się pośpieszy, to znów opóźni, i powoduje rozłąkę. I nie tyle śmierć jest złą, ile jest złą rozłąka, co wszystkim dużo smutków przynosi, a najostrzejszym harpunem godzi w serca ludzi o duszach rozdartych. Bo dusza taka, gdy rozłączona z tą drugą umiłowaną sw-ą częścią na ziemi zostawać

musi, ma takie chwile cierpienia i tęsknoty, że nawet anioł Marzący od niej ucieka. Leci on wtenczas po-przez przestrzeń za gwiazdy i, jedną dłonią na krańcu świata się wsparłszy, drugą oczy zakrywa i płacze. Wtenczas-to ocean jęczy i łka, a z łez tego anioła powstają mlecznej drogi szlaki złociste. I gdy tak anioł Marzący w łzach stoi, idzie ku niemu anioł Potężny i, chociaż stapa, jak zwykle, śmiało i pewnie, wygląda trochę zmęczony i trochę smutny. Kładzie on silne swe ręce na białych skrzydłach Marzącego i coś mu szeptać zaczyna. I cichnie wtenczas łkanie i schną łzy. I mówią z sobą

ci dwaj anieli niebiescy cicho i długo — a póki mówią, poty trwa cisza na morzach wszystkich i żagle statków drętwieją.

Stach umilkł nagle... wstał.

—Dość tego... — szepnął.

Odwrócił się:

— Chodź! — rzekł twardo.

Szliśmy — ja z tyłu.

Po obu stronach alei wielkie topole stały bez ruchu, jakby zamyślane głęboko. Senny wiatr zrywał się chwilami i niósł zapachy bzów i pędził wodę stawów do brzegu, a fala się przy nich łamała i szła wstecz, szeleszcząc smutnie. I nie wiem sam co było smutniejsze: czy ta fala, niezmordowanie o brzegi swą pierśią bijąca; czy te ciche łabędzie, co snuły się po stawie

- —

światłem księżycyca zalanym; czy ten wodotrysk, co wznosił się raz wysoko, a potem niżej opadał, jakgdyby długim łkaniem zmęczony; czyta noc letnia, pełna gwiazd, mroku, westchnień i snów? Czy on? Czy ja, com myślał o tej jedynej, takiej dalekiej, a tak umiłowanej?

POCIĄG.

Miasto Ryszwil rosło z przerażającą szybkością.

Młodzież z pewnym niedowierzaniem słuchała, gdy starzy twierdzili, iż pamiętają doskonale jak na tem samym miejscu świeciły słomą kryte chaty; wśród nich dymiło zaledwie parę fabrycznych kominów, a na palcach można było policzyć blaszane dachy domów, wyzierających z pomiędzy strzech, jak rzadki kwiat kanianki z żółtych łąnów Inu.

Dziś kanianka pochłoneła len doszczętu.

Olbrzymie budowle rozparły się na wysokim brzegu, a niskie domki i chaty znikły, lub przeniosły się na dół — hen, za rzekę. Na tern samym urwisku, gdzie rósł niegdyś las, wzniesiono, kosztem milionów, pyszny dworzec kolejowy, który był dumą Ryszwilu.

Zamiast drzew wyrosły alabastrowe kolumny, na których legło kryształowe sklepienie, pokryte obficie freskami i złotem.

Pod marmurowe arkady wpadał co parę godzin zdyszany pociąg. Tu zatrzymywał się, tuteż się kończył tor kolejowy — prawie na skraju

urwiska — tak, iż przyjezdnym dość było przejść parę kroków, by znaleźć się obok zawiadowcy, który właśnie stał oparty o balustradę i patrzył w przestrzeń. Widok był rzeczywiście piękny.

Marmurowe płyty terrasy, piętrzącej się nad wodą, różowiły się od słonecznych blasków. O dwieście stóp poniżej balustrady płynęła szeroką wstęgą rzeka, mieniając się całą kaskadą barw — od brudnego złota do krwawej purpury. Tuż obok sterczały wyniosłe gmachy Ryszwilu, na którym wiły się dymy i dymy — bez końca. Na przeciwległym, płaskim, brzegu czerniały skupione niskie domki, dalej majaczył las, a nad nim konało ogromne słońce. Zawiadowca częścią patrzył w dal, częścią myślał o rozmaitych rzeczach, a także i o tem, że most i przedłużenie toru nietylko psułoby widok, ale jest zgoła niepotrzebne, gdyż ludność dolnego wybrzeża i tak na czas do roboty zdąża. Po chwili spojrzął na zegarek, gdyż oczekiwał jeszcze jednego pociągu. Był to pociąg extra, którym dzieci pierwszorzędnego pensjonatu wyjechały przed świtem na majówkę o kilka stacyi za miasto.

— Słońce zachodzi: powinien wkrótce być — pomyślał; poczem zaczął iść po mozaikowym chod-

niku w kierunku swego biura. Wpół drogi spostrzegł telegrafistę, który bez czapki biegł prosto ku niemu, niosąc w ręku papier.

— Skąd to? — Z trzeciej stacyi przed Ryszwilem — wyjął zdyszany telegrafista, niezwykle pomieszany i blady.

Zawiadowca jął czytać, nie mogąc zrazu zrozumieć o co chodzi.

Telegram brzmiał w następujący sposób:

«Zawiadowcy — Ryszwil. Pociąg z dziećmi nie zatrzymał się na stacyi. Minał ją pomimo sygnałów z naszej strony. Powód dotychczas niewiadomy. Co się stało — damy znać ».

— Dawno otrzymany?

— Przed kwadransem.

— Jakieś bałamuctwo — szepnął zawiadowca; poczem, silnie zaniepokojony, szedł szybko ku stacyi.

— No, cóż tam dalej? — spytał, wchodząc do biura.

— Właśnie odbieram — odparł jeden z urzędników, — i, schylając się nad ważkim paskiem papieru, sylabizował powoli:

«Zawiadowcy — Ryszwil. Na piątej wiorście przed trzecią stacyą znaleziono maszynistę i palacza — obaj bez życia. Spleceni w jeden kłębek. Wszelkie pozory bójk. Konduktor wyskoczył. Żadnych zgoła wyjaśnień dać nie może. Zdruzgotane ma nogi, mdleje co chwila. Pociąg pędzi sam. Druga stacya zawiadomiona» — skończył zdławionym głosem.

Nastała chwila długiego milczenia.

— Co to będzie?! — szepnął ktoś w końcu. — Co to będzie?! — powtórzyli jak echo wszyscy.

— Nic! — wybuchnął oprzytomniały zawiadowca. — Linia wolna, kocioł w lokomotywie tęgi — nie pęknie. Panowie ruszajcie do swoich

zająć. Ani słowa nikomu! Nie niepokoić publiczności. Ja idę po naczelnika. Telegrafuj pan tymczasem na drugą i pierwszą stacją o dalsze wieści — zwrócił się do jednego z telegrafistów.

— Zaraz — odrzekł, tenżei pochylił się nad aparatem.

Tymczasem przed stacją wszczął się hałas i ruch. Cały kwiat Ryszwilu dążył na spotkanie swych dzieci,

Na olbrzymi asfaltowy podwórzec wtłaczały się co chwila lśniąca zaprzęgi najrozmaitszego rodzaju i gatunku: jechały obszerne landa, ciągnięte przez poważne perszerony. Mknęły wysokie amerykany, zaprzężone w rosłe folbluty. Zajeżdżały breki, biedki jednokonne. Dalej dreptały krótko ostrzyżone muce, wesoło pobrzękując w dzwonki i ciągnąc za sobą niskie, dziwaczного kształtu, koszyki.

Klaskanie biczy, krzyki furmanów mieszały się z turkotem kół i parskaniem koni.

Elegancko ubrani panowie wyskakiwali pierwsi przed gankiem i wyjmowali z pojazdów strojne kobiety.

Na pustym przed chwilą peronie zrobiło się wkrótce ciasno. Mozaikowa jego posadzka, zda-

- -

wało się, naraz zmieniła się w majaczną, rucho-  
mą łąkę — pełną pstrych kwiatów. Z obłoków  
śnieżnej białości muślinów wykwitły obficie róż-  
no-kolorowe róże, habry niebieskie, żółte nie-  
śmiertelniki, kwiaty ciemne—w paski i kropki,  
kwiaty o barwach mieszanych, jak bratki. Nie  
brakło też drogich klejnotów — od łzawych pe-  
reł, migotliwych dyamentów do purpurowych  
koralu i krwawych rubinów.

Z jaskrawych tych kielichów wychylały się

pyszne biusty, nagie ramiona, ślicznie zarysowane szyje, kształty głowy, otoczone falami najrozmaitszych odcieni włosów, z pod których błyszcząły dumne czoła i niesłabiej od brylantów iskrzące się oczy. Nad wszystkim unosiły się zmieszane zapachy pachnideł, a z góry lał się potok elektrycznego światła, które podnosiło świetność tualet, potęgując zarazem białą matowość tych różnorodnych twarzy, o rysach delikatnych, przeważnie pięknych, z rzadka bezmyślnych, albo też, szczególnie u mężczyzn, zawiędłych i dziwnie zmęczonych.

Podczas gdy różnobarwny tłum rozmawiał, śmiał się, wymieniał ukłony i uściski, w biurze telegraficznym stukały niezmordowanie aparaty, a z nich wysuwały się wązkie paski papieru, pełne złych wieści, które siały wśród urzędników niepokój i trwogę. Niecierpliwe spojrzenia zwracały się raz wraz na wielkie drzwi zamknięte, oczekując wyższej władzy, a z nią jakiegoś rozkazu. —  
—Nakoniec! — rozległ się kilka szeptów.

Drzwi się rozwarły, ukazał się w nich upragniony naczelnik ruchu, a za nim zawiadowca.

—No, cóż tam?! — rzekł sucho pierwszy,  
—Źle, panie — odparł jeden z urzędników, wręczając mu papier.

—Nie pytam: jak? — oburknął naczelnik i czytał półgłosem: «Pociąg minął i naszą drugą stacją w całym pędzie. Z pasażerów nie dostrzegliśmy nikogo; prawdopodobnie nie wiedzą o niczem. Lokomotywa, zdaje się, w porządku. Cała linia zawiadomiona. Czekamy wieści od was.»

— Czego oni się śmieją! — syknął przez zęby naczelnik, zwracając się niecierpliwie w stronę peronu, skąd dolatywało przytłumione echo jakiegoś śmiechu.

Poczem, usiadłszy, oparł głowę na dłoniach

i siedział chwilę w milczeniu. Cały personel wpatrywał się w chmurną twarz jego, jak w tęczę, czekając co powie.

— Papieru! — zabrzmiała krótka komenda. Cały stos kartek znalazł się w tej chwili przed nim.

Wziął z nich jedno — zamyślił się, a później pisał szybko.

— «Zawiadowcy pierwszej stacyi. Zwróćcie pilną uwagę na lokomotywę pociągu i dajcie znać, sądząc z dymu i pary, jak daleko zajść

może? Z jaką mniej więcej pędzi szybkością i czy nie zwalnia biegu?»

—Telegrafuj pan natychmiast! — zwrócił się do jednego z urzędników. Urzędnik pochwycił skwapliwie kartkę, a reszta jęła się przysłuchiwać pilnie taktowi naciskanego klawisza, by w ten sposób treść depeszy pochwycić.

—Czy pan masz jaki plan działania?—zwrócił się do naczelnika zawiadowca.

—A pan? — odparł rozdrażnionym tonem.

—Ja? Nie! — brzmiała odpowiedź.

—A więc czekajmy cierpliwie — szepnął i jednocześnie jął szarpać nerwowo zwichrzoną brodę.

Nastąpiła długa chwila męczącej ciszy — tak, iż można było słyszeć dokładnie turkot wciąż jeszcze nadjeżdżających powozów i porwane zdania i wykrzykniki snującego się po peronie tłumu.

Nagle warknął dzwonek.

Wszyscy porwali się ze swych miejsc.

Naczelnik podbiegł do aparatu, pochylił się nad wysuwającym się skrawkiem papieru, a za nim cały personel.



- «Minał nasze stacyą—sylabizował naczelnik. — W oknach wagonów nie dostrześliśmy nikogo. Śpią, widać, wszyscy, nie podejrzewają niebezpieczeństwa. Pary i paliwa w lokomotywie, niestety, jest dużo. Ostatnią wiorstę przebiegła— w przeciagu niespełna minuty i pęd pociągu się nie zmniejsza.»

—Co myślicie robić?! — skończył złamanym głosem.

Wszyscy spojrzeli po sobie i zastygli, jak stali, a blade ich twarze w błękitnem oświetleniu lamp elektrycznych wyglądały jak gipsowe maski.

— Co robić? Radźcież! — odezwał się w końcu zmienionym głosem naczelnik.

— Puścić naprzeciw drugi pociąg — szepnął ktoś nieśmiało.

— Któż go poprowadzi? — odparł głos z kąta.

— Usypać nasyp — wtrącił ktoś z boku.

— Może most przerzucić przez rzekę!? — odparł drwiąco zawiadowca — to również praktyczna rada!

Zrobiło się znowu cicho. Twarze przybrały wyraz bezradnego przygnębienia, a oczy błagalnie zwróciły się w stronę naczelnika.

Ten milczał; miał twarz popielatą i wykrzywione usta. W końcu przeciągnął parę razy dłonią po czole i jęknął tonem pełnym rezygnacji:

— Żadnej tu rady niema! Chodźcie, panowie: trzeba powiedzieć im wszystko.

Co rzekłszy, zabrał drżącemi palcami depeszę i szedł zgarbiony, ciężkim krokiem, a za nim wlokło się całe biuro długim szeregiem.

- —

To nagłe zjawienie się tych smutnych po-

staci wywołało na peronie ogólne wzruszenie.

— Co się stało? — Cóż to za kondukt żałobny? — posypały się liczne uwagi.

A oni przeciskali się przez tłum w milczeniu, ze spuszczonei głowami — powoli, jakby od-  
wlekając stanowczą chwilę ujawnienia swej tajemnicy.

W końcu balustrada wstrzymała ten pochód Naczelnik, poczuwszy, że dalej iść nie można, odwrócił się, spojrział w rozciekawione twarze strojnego tłumu, poblądł jeszcze bardziej i zaczął mówić wzruszonym głosem:

—Szanowni Ryszwilanie!—Otrzymaliśmy telegraficzne wieści, które czuję się w obowiązku zakomunikować wszystkim,..

—Coś złego! — wtrącił ktoś z boku.

—Jakiś krach pewno! — odezwały się liczne głosy.

—Cicho! — komenderował ktoś inny.

—Tak, cicho! — posypały się rozkazy.

Umilkli wszyscy, a on jął czytać te krótkie, jak strzały, urywane zdania, które ołowiem padały na serca słuchaczy, coraz cięższe, coraz wy-  
raźniejsze i pełniejsze grozy.

«I pęd pociągu się nie zmniejsza...»—skończył wreszcie. Podniósł wzrok i mógł myśleć, że stoi przed gromadą trupów, przebranych w jaskrawe całuny: tak sino-blade były wszystkie twarze, białe wargi, a oczy zmętniały jak szkło matowe. - -  
Ostatnie szeregi nie wiedziały jeszcze o co chodzi; czuły jednak, że zaszło coś niezwykłego i strasznego przytem.

— Co się stało? Mówcież! — zerwała się zawierucha nerwowych pytań, i w miarę odpowiedzi cichła, aż zmieniła się w śmiertelną ciszę i osłupienie.

W końcu odrętwiały tłum oprzytomniał na chwilę. Wszystkie oczy wpały się w bladą twarz

naczelnika, żądając od niego jakichś wyjaśnień, pociechy, ratunku.

On zaś, poczuwszy na sobie źrenice tłumu, odwrócił się i spojrział machinalnie w rzekę.

Tysiące oczu poleciało w ślad za jego spojrzeniem — i blady strach rzucił się wszystkim na piersi. Ta wijąca się u stóp urwiska wstęga była aż nadto wyraźną odpowiedzią. Patrzyli więc w milczeniu w rzekę z szeroko rozwartymi oczyma, okryci zimnym potem, nie mogąc wzroku oderwać od lśniącej fali, która, mrucząc złowrogo, biła spienioną pierś o płyty marmurowej terasy.

Po chwili zastygłe serca jeły się tłuc szalonym rytmem, jak ptaki w klatce, a później zerwało się kilka łkań krótkich, które zamieniły się w ogólny cichy jęk.

Ten pierwszy głos boleści niemego dotychczas tłumu zbudził z głębokiego zamyślenia stojącego na uboczu człowieka.

Człowiek ten nietylko swą prostą, szarą odzieżą wyróżnił się wśród wykwintnego tłumu: twarz jego była również ciemniejsza — prawie bronzowa, jakby ogorzała od słońca, lub ściemniała od dymu; rysy miał także grubsze, mniej delikatne, ale za to pełne energii i woli. Wszystko to, wraz z wyniosłą, atletyczną jego postacją, nadawało mu wśród tych przerafinowanych twarzy odrębny, pociągający urok silnego, naturalnego piękna. — Człowiek ten oddzielił się naraż od tłumu i pewnym krokiem zaczął oddalać się szybko od Ryszwilu, idąc wzdłuż szyn.

O dwa prawie kilometry od stacyi w poprzek plantu wisiał przeznaczony dla pieszych most, pod którym przechodziły pociągi.

W tem miejscu człowiek zszedł z szyn, wdrapał się szybko na nasyp i stanął na moście. — Słońca już widać nie było, tylko białe obłoki różowiły się jeszcze po brzegach; na liliowym tle nieba odcinały się twardo ciemne sylwetki słupów telegraficznych i odległe drzewa. Przed Biim żółciało płótno kolejowego toru i błyszcząły dwie srebrne linie szyn.

Wkrótce ostatnie blaski zorzy wieczornej zagasły. Drzewa, słupy i szyny roztopiały się kolejno w pomroce. Nastąpiła ta krótka, martwa chwila, kiedy dzień już kona, a noc jeszcze nie wstaje.

Naokół było szaro i cicho bardzo.- -

Po chwili porwał się senny wiatr, rozniósł zapachy pól i łąk i zemdlał w dolinie. — Lazurowe niebo przybrało kolor ciemnego błękitu i cicho wyszła letnia noc ze światłami rzewnych gwiazd.

Człowiek zrzucił czapkę, rozpiął kurtkę na piersi i pił chciwie świeże, chłodne powietrze. Chwilami oglądał się i widział wtenczas bladą smugę elektrycznego światła za sobą; to znowu wpatrywał się badawczo w ciemną dal i nasłuchiwał pilnie.

— Zdaje się już? — szepnął w końcu i nozdrza mu grać zaczęły.

Rzeczywiście — w oddali zamigotały jakby dwie jakieś centki ogniste, które wzrastały powoli. Wkrótce można już było poznać, iż są to dwa wielkie reflektory zbliżającego się pociągu. Wreszcie zamajaczył komin; zawisł obłok zmieszanego z iskrami dymu; z cieniów wynurzyła się ogromna lokomotywa i, sapiąc, głucho toczyła się po szynach, jak potwór olbrzymi. W miarowym jej warku czuć było ślełą potęgę nieskrępowanego żywiołu i bezlitosną obojętność bezdusznej maszyny. Za nią toczyły się niewolniczo po-

słuszne wagony. W pierwszym mieścił się personel uczący. — Panowała w nim martwa cisza, przerywana szelestem oddechów nauczycielek i nauczycieli, którzy pokładli się byli na ławkach w śnie ciężkim, bez marzeń i sennych widziadeł.

- —  
Na zwiędłych ich twarzach malowała się obojętność umarłych i wyczerpanie znużonych.

W bładem świetle tlejącej latarni czynili wrażenie zapyłonych posągów, które wiatr jakiś porzucał z piedestałów i pokładł pokotem.

Pomimo zaduchu niektórzy pookrywali oblicza, jakby się czegoś wstydzili, lub lękali światła. Ci nie wiedzieli napewno: dokąd jada i co ich czeka u kresu podróży?

A zresztą, śmierć dla nich była tylko — niezbudzeniem się.

W dalszych wagonach porozmieszczane według starszeństwa jechały dzieci—chłopcy i dziewczęta — rozmaitego wieku i wzrostu.

Starsze przeważnie spały, zmęczone długą majówką i świętem, ale nie tak spokojnie, jak ich przewodnicy. Oddechy były szybsze i mniej regularne.

Niektóre chwyciły się rękoma za poręcze ławek, jakby się chciały gwałtem ze snu podźwignąć; lecz po chwili opadały ich wątłe dłonie, a z piersi wydierało się westchnienie skargi, że tak są słabe.

Na twarzach innych leżało piętno niewypowiedzianej jakiejś tęsknoty. Oczy niektórych były wpółotwarte, a tkwił w nich wyraz niezwykłego przerażenia i niemego smutku, Z pod niejednych powiek sączyły się wielkie łzy. Na piersiach wielu leżała snadź męcząca zmora, bo się rzuca— -

ły niespokojnie, chwytając zbielełymi wargami powietrze.

Inne znów miały, widać, sny cudowne i rozkoszne widzenia, bo wyciągały marzącym ruchem swe szczupłe ręce, a na spragnionych ustach zjawiał się uśmiech, w którym było więcej melancholii niżeli radości. Wszystkich łączyły jakieś smutne przeczucia i nieświadomy niepokój, który, zdawało się, krążył w pomroce nad tą drzemiącą gromadą.

Młodsze z tego powodu usnąć nie mogły, lecz, zbijając się w pary lub małe grupki, gwarzyły cicho. Jakiś chłopczyk, siedzący na ziemi, z głową opartą na kolanach dziewczyny, prosił ją bezustanku — daj mi spokoju! — a usta mu drżały od tłumionego płaczu...

Ona mu wreszcie położyła swe małe dłonie na czole, pytając: — Tak dobrze?!

. — Dobrze mi — odparł z twarzą pełną zachwyty.

—Dlaczego? — spytała, schylając się nad nim.

— Bo nic nie myślę! — wyszeptał, objął ją za szyję i zamknął oczy.

W drugim znów kącie pod oknem, chłopiec blady, o niezwykle delikatnym i smutnym profilu, pokazując innym lecące tłumnie iskry, mówił:

—Skrzą się, by zgasnąć...

- A co z nich zostanie? — szepnął ktoś z boku.

- Dym — odparł, i chwycił go zimny dreszcz.

I znów siedział w milczeniu, a tak był szczupły i w twarzy miał tyle cierpienia, że jedna z dziewcząt, myśląc, iż głodny, dała mu ciastko.

—Jeść nie chcę, ale mam straszny głód

i pustkę tu — wskazał na piersi.

W końcu wagonu jakaś nieliczna gromadka starała się otworzyć szczelnie zamknięte drzwi.

Perlisty pot wystąpił im na skronie, a w oczach malował się olbrzymi wysiłek. — Kiedy zaś jeden z nich, pośliznąwszy się, upadł, reszta obsiadła go wokoło i z narzekaniem: — Jacyśmy słabi! — zaczęła płakać cichutko.

Tymczasem świece w latarniach dogasały, a w miarę . ciemności wzrastał się płacz i tajemny niepokój.

Strwożone dzieci, tuląc się do siebie, szlochały coraz żałośniej.

Niezmordowane dudnienie kół głużyło łkania, a nieubłagana lokomotywa, nakrywszy pióropuszem dymu cały pociąg, leciała wciąż naprzód, wlokąc te senne i płaczące wagony na zgubę, śmierć i zatracenie.

W miarę zbliżania się pociągu coraz większa burza zmienionych uczuć zrywała się w piersi oczekującego nań człowieka.

Myśli, szybkie jak piorun, zapalały mu się w mózgu.

— To wszystko pędzi — szeptał — bez steru na zagładę Ryszwilu. Rozumiał, iż żadna martwa tama nie zdoła wstrzymać szalonego biegu rozpędzonej maszyny; że dość jednak świadomej sile wtargnąć do środka, by ślepych bogów pokonać.

Zapalał się do tej walki, a w miarę zapału rosły w nim siły; zdawało mu się, że głową sięga chmur, a gwiazdy mu wiszą nad czołem.

Właśnie czerwony księżyc wytoczył się z za lasu, rozwidniając mrok nocy. W fantastycznym jego świetle stojący na moście samotny człowiek czynił wrażenie upióra-ducha — tak bladą miał twarz, a w oczach błyskawicę. W całej jego, pochylonej naprzód, postawie, w szybkim falowaniu piersi, we wzroku, zacięcie wlepionym w re-

flektory zbliżającego się pociągu — znać było, iż są to dwie wrogie potęgi, które za chwilę zmagać się będą na śmierć i życie.

W parę sekund lokomotywa była zaledwie o parę sążni od mostu.

Olbrzymie jej latarnie zalały czerwoną łuną drewniane jego wiązadła; po twarzy zaś stojącego na nim człowieka przeleciał płomień jeszcze jaskrawszy.

Szybko zbliżył się ku przeciwległej krawędzi i skurczył się w sobie, jakby gotując się do szalonego skoku.

W tej chwili komin buchnął nowym kłębem dymu i spowił nim wszystko...

Tymczasem Ryszwil przeżywał ciężkie chwile, męczące, jak noc bezsenna. Złowróżbne wieści z błyskawiczną szybkością

rozlatywały się po mieście, roznosząc jęk, płacz, trwogę i rozpacz.

W całym Ryszwilu nie było tego wieczoru duszy spokojnej, bo każdy miał w pociągu część krwi, kości i serca własnego w postaci swego potomstwa. To też, pomimo tego, iż noc zapadła już głęboka, nikt jeszcze w mieście nie spał.

Ci, co się nie pomieścili na dworcu i w podwórzu, wylegli na balkony, które stały się podobnymi do kęp pełnych kwiatów—tylko że twarze tych kwiatów były dziś niemniej znużone i bolesne od dźwigających balkony karyatyd.

To męczące oczekiwanie groźnej katastrofy, ta niepewność — co będzie właściwie, a jednocześnie poczucie, że zajdzie coś strasznego, doprowadzały chwilami tłum do szału.

— Niech się raz to stanie — byle prędzej. Myśl taka drżała wtenczas we wszystkich mózgach, choć nikt jej nie śmiał głośno powtórzyć, bo mimo to, iż z matematyczną niemal pewnością można było przewidzieć, że alaba-



strowa balustrada nie wytrzyma pociągu, że musi runąć on w przepaść i zatonać w rzece — przez rozpacz, przez niepokój i trwogę przeciskała się chwilami otucha i na niczem nieoparta nadzieja. Ryszwilanom nie mogło pomieścić się w głowie, by ta sama siła, która dostawiała im zboże z pól odległych, kryształ z gór, korale i perły z mórz, miała się naraz przeciw nimzwrócić i jednym zamachem zniweczyć w proch całe ich pokolenie. A kiedy odebrane wieści, widok kończącego się tuż na skraju urwiska toru, ryk fal, plujących pianą na białe marmury — rozproszyły już wszelką wątpliwość, oni jeszcze chwyтали się najdziwaczniejszych środków, by widmo klęski odegnać.

Sprowadzono więc na peron wszystkich dygnitarzy miasta, — straż ogniową; rozstawiono wzdłuż toru żołnierzy.

Kobiety, z rozwiązanym włosom i obłąkanemi oczyma, zdzierały z rąk i szyi klejnoty i rzucały w rzekę, jakby ją chciały przebłagać, zasypać, lub wstydziły się, że są tak strojnie ubrane na dzień śmierci swych dzieci.

Chwilami zrywał się zmieszany gwar pytań: dlaczego pogłębiono rzekę?! Dlaczego niema mostu na przeciwległy brzeg nizki?

Po takim paroksyzmie szału wyczerpany tłum uspakajał się na chwilę, a były to momenty wprost tragiczne.

Na peronie panowała martwa cisza. Na policzkach jednych gorzały ceglaste rumieńce, a dolne szczęki latały im jak w febrze; inne znów twarze były blade jak płótno, a z nieruchomych źrenic toczyły się łzy wielkie i ciche.

Elektryczne lampy zlewały na te pomęczone głowy błękitnawe potoki światła; kryształowe sklepienie skrzyło się świetnością złocień i fres-

ków, a wśród urywanych łkań rozlegały się rozkołysane jęki dzwonów, bijących na trwogę.

Właśnie w jednej z tych chwil, ciężkich jak konanie, jakiś starzec, co miał prawnuki w pociągu, ukląkł i na trzęsącej się głowie jał kłaść znaki krzyża.

W tej samej chwili ktoś krzyknął rozdzierającym głosem: «Idzie!» — i runął na kolana.

«Idzie!» Okropny krzyk wydarł się z tysiąca piersi i płacz olbrzymi przeleciał nad tłumem i podciął wszystkim nogi.

— Ojczy nasz, któryś jest w Niebiesiech — jęczał trzęsący się starzec. †

— Ojczy nasz, któryś jest w Niebiesiech — powtórzyły wśród łkań wszystkie usta i załzawione oczy wzniosły się w górę... Ale ujrzeli, miast nieba, malowidła i złoto na sklepionym kryształ. Stropił się starzec; ręce mu się zaczęły trząść jeszcze silniej i, szlochając, jak dziecko, ponowił słowa modlitwy.

— Świece się Imię Twoje — powtórzył tłum za nim.

— Przyjdź Królestwo Twoje — rzekł ciszej.

— Bądź Wola Twoja, jako w Niebie — wyszeptał i umilkł nagle, bo uczuł, że nigdy dotąd nie pragnął ani Imienia, ani Królestwa, ani Woli Bożej na ziemi, a bluźnić nie śmiał, gdyż w oddali migotały coraz wyraźniej złowrogie oczy zbliżającego się pociągu. — I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy... — zaczął starzec i... chwycił się nagle za skronie: — Przebacz to kłamstwo! — jęknął i zwałił się na kamienną posadzkę.

Tłum ryczał, obłąkany rozpaczą, że się nawet modlić nie może.

Pociąg tymczasem wtaczał się pod arkady.

Nowa, okropna burza wydarłego gdzieś z głę-

bin wnętrzości jęku powaliła tłum na twarz, tak, iż z pozoru wyglądał jak łan skoszony jednym zamachem. Stało się wprost straszno; tylko dzwony w Ryszwilu szalały i głucho warczała wściekła lokomotywa, ścieląc dym na ciała powalonych.

Naraz gwizd przeraźliwy rozdarł powietrze. Wszystkie dzwony Ryszwilu zamarły nagle. Zahamowany silną dłonią pociąg stanął jak wryty.

A gdy opadły dymy, przed lokomotywą w krwawej łunie reflektorów ukazał się człowiek.

Szarą kurtkę miał rozpiętą na piersiach, nabrzmiałe żyły na skroniach, a w twarzy płomień; w ręku trzymał jeszcze pokruszone szczątki alabastrowej balustrady, która gruzami swemi stworzyła przejście przez rzekę...

## WIGILIA

Pani Andrzejowa — chociaż wczoraj do późna wykończyła suknię dla hrabianki i za ledwie o pierwszej dowlokła się do domu, a w nocy długo zasnąć nie mogła, — czuje się dzisiaj wybornie. Jest tak rześka jak nigdy.

Gdyby nie siwiejące włosy, siatka zmarszczek

na

twarzy i wygasłe, jakby spłowiałe, te, niegdyś tak czarne i ogniste, oczy, sądząc z jej żywych ruchów, możnaby mniemać, iż ta wysoka postać, uwijająca się w fartuchu po ciasnej kuchence, należy do innej jakiejś młodej osoby, a nie do czterdziestoletniej wdowy po Andrzeju, techniku budowniczym, który spadł z rusztowania i głowę o bruk roztrzaskał.

Było to dawno, a chociaż dawno, dziś jeszcze bez wzruszenia szwaczka (tak tytułuje się na

liście lokatorów «Halina Tokarska wdowa,») opowiadać tego nie może. Dawniej lękała się poprostu samego wspomnienia: za każdym razem przesuwały się przed nią okrwawione nosze, powalana wapnem i gliną blada twarz i sino-żółte ręce - - nieboszczyka,—wywołując bolesny dreszcz i brak tchu.

Obecnie obraz ten stracił na sile i barwności; towarzyszy mu zaledwie westchnienie i mgła łez w oczach. Nic dziwnego! Złamana kość zra-  
sta się, stając się trwalszą niż wprzód; rozbite serce również się z czasem zabliznia, zyskując z każdą nową rysą na wytrzymałości i harcie: tem właśnie tłómaczy się to, czemu tak rzadko pęka. A pani Tokarska nagromadziła w swem sercu owych rys niemało. Po tragicznym zgonie męża nie miała prawie czasu na dłuższą boleść, bo się wnet posypały liczne nowe troski, które, wprawdzie powoli, lecz stale, przejmowały jej duszę do głębi, podobne do deszczu drobnego, co odzież najgrubszą przenika. Jej Michaś, który cudem niemal dostał się do szkoły realnej, wkrótce po pogrzebie ojca ciężko zachorował; doktorzy, lekarstwa, wpis: wszystkie te wydatki były przecież tak nieodzowne, a na zaspokojenie ich pani Halina miała—naparstek, trochę nici i igłę.

Nic też dziwnego, że w lat kilka młoda wdowa zmieniła się do niepoznania: zmizerniała, po-  
żółkła, schudła; czarne jej oczy wypełzły od ślepienia po nocach i od płaczu; łzy zmyły rumieńce, a włos jął się prószyc siwizną.

Bóg był miłosierny, a zwłaszcza Matka Boska, do której pani Andrzejowa szczególne miała zaufanie, i lampkę co sobota przez Jej obrazem paliła. Michaś wyzdrowiał i rósł tak szybko

wzdłuż i wszerz, że stąd się nowe wywiązały kłopoty: ani rusz było ubrania nastarczyć; stan bluzy był wiecznie -na plecach, a najdłuższe, na wyrost zrobione, z wielkimi zakładkami spodnie po wszelkich możliwych kombinacjach matki, znającej się przecież na krawiecczyźnie, niespełna w pół roku sięgały Michasiowi do kostek.

Wtedy trzeba było znowu wydostać kilka rubli, co przy szczupłych dochodach, zdobywanych szyciem po domach prywatnych, było dotkliwym wydatkiem.

Wprawdzie wdowa po długim, prowadzonym przez pokątnego doradcę, procesie, dostała kilset rubli odszkodowania za męża, ale nie chciała ich ruszać: miała jakiś nieprzewyciężony wstręt do tych pieniędzy; zdawało jej się, że pachną krwią.

— Niech leżą — mawiała — w kasie. Jak Michaś dorośnie, zrobi z nimi co zechce; ja tego... tego... —tu usta jej drżały i ścisnęło się gardło— nie dotknę!

Fraszka jednak były dla pani Andrzejewej nadmiar pracy i kłopoty, których jej szybki rozwój Michasia dostarczał, w porównaniu z tem uczuciem radości i dumy, z jakim rozpromieniona chodziła w niedzielę na spacer, prowadzona przez syna, co w trzeciej klasie był wzrostem jej równy, a w czwartej już przerastał matkę o pół głowy.- -

— Chłopak jak bawół, udał nam się! - mawiał o swym chrześniaku ślusarz Maciej, na co gruby mydlarz Piotr, któremu syna wypędzono z drugiej klasy, krzywił się niechętnie, mruczając: uczoney — farmazon!

Kiedy zaś farmazon wyciął raz drwiącego zeń czeladnika rzeźnickiego tak silnie w. pysk, że się ten nogami nakrył, odrazu przyciągnął na swoją stronę wszystkich najbardziej nieprzejed-

nanych wrogów jego nauki, nie wyłączając i samego pokrzywdzonego.

— Mocny we łbie i w pięści! — tak odzywano się powszechnie o staromiejskim bohaterze, a w piersiach słyszającej to matki radość zalewała porysowane serce i rany dawne goiła. Jasną ta jednak epoka w życiu pani Haliny nie trwała zbyt długo. W piątej klasie Michaś już zarabiał na siebie lekcyami, przez co znaczną ulgę matce przynosił; lecz jednocześnie zaczęło się stawać coś, czego pani Andrzejowa pojąć z początku nie mogła, a co ją bolało niezmiernie.

Jakiś, zrazu nieznaczny, a potem coraz widoczniejszy, przedział tworzył się, niewiadomo skąd, pomiędzy nią a synem, rosnąc z dniem każdym. Michaś nietylko coraz rzadziej i obojętniej rozmawiał z matką, ale czasem wyraźniej unikał. Chodził niewiadomo dokąd, późno wracał, znosił jakieś książeczki, które w dzień chował w piecyku przyległej kuchni, a czytał po nocach; stał się poważnym, milczącym, gdy się zaś odezwał,

to drwił nieraz z takich rzeczy, które w ich kamienicy uważano za nietykalne — bluźnił, po prostu, wyrażając się dość lekko o Bogu: kościół, na przykład, nazywał Olimpem, papieża — pontifexem. Tymczasem pani Andrzejowa — jakkolwiek pochodziła z rodziny dość inteligentnej, choć mocno podupadłej materyalnie, i otrzymała jakie - takie wykształcenie, (dzięki czemu nawet rodzina jej męża przyjęła ją z początku niechętnie, jako niepożądanego intruza, który im swoją wyższością myśli imponować, — wzamian za co znowu jej rodzina własna wytykała jej mezalians) — w walce o chleb zapomniała o wszystkim, tembardziej o tem, co to jest Olimp, co pontifex, a czuła tylko, że jej

smutno, smutno ogromnie, i straszno przytem, bo jest coś, co ją z serca syna wydziera, staje pomiędzy nią a nim i obojgu grozi, a czego ona zrozumieć, poznać nie może i nie wie z czym walczyć. Od czegoż jednak pani Andrzejowa była kobietą, która gdy kocha, ma więcej rozumu w sercu niż mędrzec w głowie?

Póty więc męczyła się w nocie bezsenne, chodziła do wzgardzonego przez syna Olimpu i łkała u stóp ołtarzy, aż poprostu odgadła, że między nim a nią tworzy się przepaść pojęć, wierzeń i myśli, którą musi przeskoczyć, lub zginie.

To odkrycie powodu oziębłości Michała przyniosło jej chwilową ulgę, bo przestała się gubić w męczącym chaosie domysłów i przypuszczeń, a nadto jeszcze przekonała się o tem, o czem już wątpiła chwilami i co ją napawało ogromną go-

ryczą: że Michaś ma serce, że jest tylko przyczyna, dla której się od niej odwraca, przyczyna teraz jej znana, którą trzeba usunąć — jak? tego jeszcze nie wie, ale musi, musi koniecznie, a skoro musi, to spełni, tak samo, jak dokonała z jedną igłą w rękę tego wszystkiego, dzięki czemu Michaś nosi mundur i ma przyszłość otwartą. Rzuciła się więc z całą energią niezmordowanej swej duszy na ratunek ostatniego, najdroższego uczucia, którem żyło jej serce.

W długie wieczory, spędzane najczęściej samotnie, wydobywała książki syna z pieca i wertowała zawzięcie, chcąc naprzód poznać to źródło jej ciężkiej krzywdy. Okazało się jednak, że jest to proces nietylko nużący, ale chwilami okropny. Z początku kręciła się jej zboląta głowa, siłaca się zrozumieć to, co przewyższało jej zaniedbany umysł, a gdy, koniec końców, zaczęła treść książek pojmować, jeszcze boleśniej kurczyła się jej dusza i ścisnęło serce: tak pełno było w tych kartkach jaskrawych zdań, godzą-

cych właśnie w to, w co przywykła wierzyć, co ją nauczono czcić i szanować. Doświadczała chwilami uczucia, że w tych czarnych liniach siedzi jakiś szatan, który ją chce opętać, wydrzeć jej najświętsze dogmaty i tradycje, i w ten sposób rozluźnioną duszę zdruzgotać. A najsilniej przerażało ją przeświadczenie, że jej syn pije z tego mętnego źródła. - -

— To musi być jakoś inaczej, inaczej — ja nie rozumiem nic, nic, nic — szeptała wtenczas znękana, odrzucając książkę, a pokrzepiały ją w tem mniemaniu pojedyncze, tchnące jakąś lepszą siłą, dla niej także idealne i szlachetne, ewangelicznej miłości pełne ustępy. Tylko ten ton, tak krzykliwy i drwiący tak nieraz boleśnie, a tak podobny do ostrych odezwań się jej syna — to ją doprowadzało co chwila do obłędu. Nie mogąc zrozumieć, zgodzić wszystkiego ze wszystkim; to też wdowa zapisała się do bezpłatnej biblioteki i co niedziela wyczekiwała tam swojej kolei. Zdobyte w ten sposób książki wywarły na nią dodatnie wrażenie; wogóle jej się podobały, niektóre ją zachwycały; nie posiadała się zaś z radości, gdy w jakiejś historii wyczytała, że Olimp — jest to mieszkanie bogów, a pontifex — kapłan najwyższy. Wobec tego wyjaśnienia słowa Michasia nabierały zgoła innego znaczenia: nie było w nich nic tak dalece drożnego, prócz miny, z jaką to mówił. Ale cóż znaczy mina? — pocieszała się pani Andrzejowa — wszak sklepikarz z przeciwka ma minę ostatniego wisielca, a trudno o uczciwszą wagę i lepszy produkt... Prawdopodobnie więc mina Michasia, a także ton jego książeczek, są tylko odstrasającym pozorem, pod którym tkwi coś zupełnie innego — co mianowicie? tego jeszcze dotychczas zrozumieć nie może; ale kiedyś... kiedyś... byle tylko prędzej, bo oto słabnie, śmierć jej się często majaczy, a chce ko-- -



niecznie przed pójściem do trumny choć raz serdecznie i otwarcie, jak dawniej, z nim pogadać! Trzeba się śpieszyć bardzo, bardzo — myślała wdowa, i z coraz większą gorączką rozpoczynała ten tragiczny wyścig, w którym syn miał fory olbrzymie: dobre przygotowanie, młody umysł, stosowne towarzystwo; matka zaś brak uprzedniego wykształcenia, odosobnienie, samotność i dwadzieścia lat ciężkich nadwagi. Opuszczały ją też chwilami siły, gasły nadzieje, aż w końcu raz, kiedy, już nie modliła się, ale wprost mówiła, z rozpaczą, w głos, do obrazu Maryi Panny: — Matko Najświętsza, wróć mi serce syna! — wszedł niespodziewanie Michaś. Usłyszawszy te słowa, zmieszał się mocno i wyszedł z pokoju. Powrócił, jak zwykle, późnym wieczorem i, choć zachowywał się napozór obojętnie, pani Andrzejowa przeczuwała, że nadchodzi chwila stanowcza, skutkiem czego to zamierało w niej serce, to znów tłukło się szalonym rytmem, zwłaszcza wtenczas, gdy spotykała zagadkowy, jakby badawczy, wzrok syna, który wnet się jednak odwracał, udając, że jest czemś mocno zajęty. Niestety, wieczór minął w tem drażniącym oczekiwaniu bez żadnych następstw. Pani Andrzejowa widziała tylko, że syn jej nie mógł zasnąć, bo słyszała z za parawanu jak się długo kręcił na łóżku, zapalał papierosy, czasem wzdychał, a nazajutrz wstał wcześniej niż zwykle, milczący i chmurny, jak sfinks. Gdy zaś wrócił ze szkoły

- -

(był już w siódmej klasie), krążył dzień cały jak jastrząb koło matki, w której piersi zrywał się dziwny jakiś strach i niepokój za każdym razem, gdy się syn ku niej przybliżał, zmieniając się w gorzki żal, gdy odchodził w przeciwległy

kąt pokoju, gdzie przypatrywał się z niezmierną uwagą obrazom, które znał oddawna, lub kręcił guzik munduru, jakby mu wiele zależało na tem, by go oderwać—a wszystkie te dziwaczne czynności spełniał z niezwykłym przejęciem i milczał przytem jak zakłęty. Raz tylko, gdy spostrzegł nową książkę u matki, spytał: skąd to? a gdy się dowiedział, że z czytelnicy, wystąpił mu na twarz wyraz zdziwienia, a potem jakby chmura smutku, wstydu lub winy.

Tymczasem, w miarę zapadania zmroku, wraz z ciemnością ogarniało panią Halinę jakieś nieokreślone uczucie ucisku i ciężaru w piersi; do tego dołączył się tępy ból w okolicy serca, który się rozchodził po plecach i lewym ramieniu... Czegoś podobnego doświadczyła po raz pierwszy, gdy jej przyniesiono trupa męża; później to przeszło. Czasem tylko, w chwilach rozdrażnienia lub fizycznego zmęczenia, uczucie to, jakkolwiek przelotne, słabsze w swych objawach i mniej bolesne, dokuczało jej nieraz; duszności zaś i bicia serca doświadczała dość często. Teraz jednak brak tchu był tak wielki, że, choć siedziała koło otwartego okna, miała wrażenie, iż ją w worku zamknięto: przechyliła więc za ramię głowę— i chwyciła zbielałymi ustami chłodne powietrze, a jednocześnie wydało się jej, że tam w ciemności kołysze się nad nią śmierć. Duszność jednak przeszła: poczuła znaczną ulgę, ale zarazem takie wyczerpanie, osłabienie i bezwładność, że, choć na jotę przytomności nie straciła, w całej jej istocie nie było żadnej innej myśli, żadnego uczucia, prócz bólu istnienia. I w takiej właśnie chwili uczuła na ramieniu dłoń syna, w uchu słowo: -mamo! a na włosach pocałunek. I znowu ją chwycił ogromny jakiś lęk; pierś się ścisnęła tak mocno, iż nadludzkim wysiłkiem zdołała wy dobyć ledwie szept, cichszy niż zapomniany

grób: — Michasiu! Drugi pocałunek syna wrócił jej przytomność i siły; spazmatycznie ścisnęła chłopca za szyję i rozplakała się serdecznie, a później, opanowawszy wzruszenie, jęła mu opowiadać wszystko: całą swą mękę, starania i zabiegi, czynione w celu odzyskania jego serca; wciąż mówiła, a głosem cichymi smutnym, lecz bez śladów boleści, jakby to wszystko było już tylko wspomnieniem dawno minionego nieszczęścia.

Michaś był niezawodnie chłopcem szlachetnych instynktów, miał duszę dość głęboką, trochę marzycielską, łatwo zapalną i skłoną do entuzjazmu. Wszystkie te cechy były przyczyną tej gorączki, z jaką przedwcześnie rozwinięty chłopak oddawał się zebraniom koleżeńskim, i książce, i chwycił nowe pojęcia i teorie, ulegając żywiołowej potrzebie zapelnienia tej próżni, jaką po stracie wierzeń domowych chwilowo odczuwał. Jakkolwiek były to chwile rzadkie, były jednak bardzo ciężkie, i energiczna jego, pełna sił żywotnych i woli, istota unikała ich starannie, czyniąc to raczej instynktowo niż świadomie. Michaś bał się, poprostu, rozkładowych pierwiastków zwątpienia, zupełnie tak sa-

mo jak lis trutki się boi, chociaż jeszcze jej skutków nie doświadczał,—i nieraz jedynie ze strachu przed niemi rzucał się w wir małych czynów i wielkich dysput, bez względu na to, czem jest ten, wir: nieprodukcyjną stratą czasu, czy też kręceniem się ciągiem w kółko? Nic więc dziwnego, że skoro odwlekał sztucznymi środkami coraz natarczywiej narzucającą się potrzebę wniknięcia we własną swą duszę, tembardziej nie zastanawiał się nad stanem matki, nad swym do niej stosunkiem, zwłaszcza, że przywiązanie jego synowskie, jeżeli nie wygasło zupełnie,

to znacznie stępiało, przygłuchło—popadł w stan nieczułego zdrętwienia. Było to naturalnym wynikiem dwóch naraz czynników.

Po pierwsze, uczuciowość jego wogóle osłabła; bo Michaś w tym okresie, zaniedbując uczucia, głównie pracował głową w kierunku urabiania świeżych przekonań, które właśnie, przez wzgląd na swą świeżość, nie zdążyły jeszcze wejść w krew i w zetknięciu się z sercem na dawnych popiołach płomienie nowych uczuć roz-żarzyć. Były to tylko mniej lub więcej chłodne refleksy, martwe jak wszelki chłód. Po drugie, był pewny, iż między nim a panią Haliną nie może być mowy o żadnej wspólności ideowej, i z tego względu z samego początku unikał starannie wszelkiej wymiany myśli, zgoła nie podejrzewając, że to oszczędzanie przykrości staje się dla matki źródłem bóleści, unikanie zaś drobnych starć prowadzi prosto do katastrofy raptownego zerwania, bo z góry wyklucza wszelką możliwość porozumienia się; w dodatku, stokroć prędzej mógł przypuścić, że w materialistycznym pojmowaniu dziejów są pewne luki, niż to, że jego matka do tego porozumienia rozpaczliwie dąży.

Dopiero scena przed obrazem otworzyła mu oczy na wiele rzeczy; w ciągu dwóch dni nie tylko zrozumiał stan matki, krzywdę, którą jej wyrządził, ale odczuł w całej pełni chaos mnóstwa sprzeczności nagromadzonych w duszy.

To też obecnie w słowach pani Andrzejewej Michaś znajdował właściwie tylko potwierdzenie tego wszystkiego, co o niej przez dziś i wczoraj przemyślał: nie tyle więc wzruszała go treść opowiadania, ile sam sposób. Wzruszał go spokój jej cichego głosu, w którym drgała niezwykła tkliwość — jedyny ślad świeżego szlochania; jasność jej rozszerzonych źrenic, gdzie, zdawało

się, jedynie po to zjawiły się przed chwilą łzy, by im dawne blaski przywrócić. Dziwił go brak

skarg i wyrzutów, które spodziewał się usłyszeć i przyjąć w milczeniu, jako zasłużoną karę. Tymczasem oczekiwanej kary nie mógł w jej słowach odszukać; natomiast brzmiała w nich miłość olbrzymia, ciepło serdeczne, nieomal wdzięczność za wyrządzoną krzywdę. Uderzyło go to z początku, później zaczęło drażnić, bo go upokarzało coraz silniejsze poczucie winy; potem go wstyd ogarnął i dziwna jakaś nieśmiałość, która się wkrótce zmieniła w tak wielkie rozrzewnienie, że Michaś, będąc, nie tyle z natury, ile z zasady, wrogiem czułościowości, bał się, poprostu, poruszyć, odezwać, bo czuł, że lada chwila może się rozsłochać jak dzieciak. Siedział więc jak zastygły, skupiony, marszcząc srogo brwi, co stanowiło rażący kontrast ze smutnym, łagodnym wyrazem jego oczu, zapatrzonych gdzieś w dal.

Kiedy zaś pani Halina skończyła, nastąpiła dość długa chwila drażniącego milczenia. Później Michaś, jakby w roztargnieniu, wziął rękę matki; zaledwie jednak dotknął jej szczupłych, szorstkich, pokłótych igłą palców, nie wytrzymał: osunął się nagle z krzesła i znalazł się u jej kolan. Ona zaś, wprost przerażona tem, co się dzieje, usiłowała w pierwszej chwili wstać, a gdy uczuła na swych dłoniach drżące usta syna i wilgoć łez, pozostała na miejscu bez ruchu, tając oddech w swych piersiach, jakby nie chciała stracić ani jednego wzruszenia, wypełniającego szczęściem jej serce, lub bała się spłoszyć nieprawdopodobne, rozkoszne widzenie. Tego wieczora, choć to nie była sobota, przed obrazem Matki Boskiej zapłonęła lampka i pa-

liła się odąd co noc.

Pani Andrzejowa była przez pół roku zupełnie szczęśliwa. Stosunek jej do syna zmienił się do niepoznania, chociaż ułożył się w sposób trochę oryginalny, niejako odwrotny: Michał stał się przewodnikiem, opiekunem, a nawet nauczycielem, swej matki, a pani Halina — niejako młodszą siostrą i wychowanką własnego syna; ale właśnie w ten sposób ziściły się najlepiej nieokreślone jej marzenia, bo takimi są w istocie bezwiedne tęsknoty i naturalne pragnienia każdej samotnej, znużonej duszy, zwłaszcza kobiecej.

Michał również znalazł w pojednaniu z matką wiele przyjemnych niespodzianek, bo nietylko pełne ciepła i subtelnej tkliwości kochające serce, ale i umysł obdarzony niezwykłą intuicyjną inteligencją, bogaty w znajomość życia i doświadczenie. Okazało się, że dużo z tak zwanych w kółku Michasia «kwestyi,» które były słabym tematem, jakkolwiek ożywionych, czysto jednak teoretycznych, rozpraw, są tylko pozornie czemś obcym dla pani Haliny, bo gdy syn był ledwie lichym teoretykiem, matka była świetnym praktykiem, który wiele przeszedł i widział i umiał przytem patrzeć. Jeżeli więc nie odrazumogli się porozumieć, to głównie dlatego, że teoretyk miał na zawołanie moc gotowych terminów i formuł, w których praktyk nie mógł się zorientować i połapać; skoro się jednak dowiedział, że to ta stara, dobrze mu znana rzecz tak się dziwacznie nazywa, czuł się u siebie w domu, gdy teoretyk tymczasem musiał miną nadrabiać.

To też, naprzykład, kiedy Michał dowodził że na świecie obecnie toczy się ciężka walka o byt, — matka, wiedząc już, że tak się mieni spędzanie nocy nad suknią, odnoszenie roboty

w słotę lub mróz na bardzo odległą ulicę, wy-  
czekiwanie po kilka godzin na parę rubli za-  
płaty — mogła powiedzieć, że od tej walki oczy  
pełzną i chudną ręce, włosy płowieją—i tak żyć  
ciężko, doprawdy! A gdy się Michaś oburzał, że  
do roboty przy większych gmachach zjechali  
obcy mularze, a ci miejscowi za marny pieniądz  
muszą się tułać gdzieindziej, to w duszy matki  
wstawało straszne wspomnienie, że to już było  
przed laty, i skutkiem tego mąż jej, straciwszy  
stałe swe miejsce, musiał jak majster zwyczajny  
czepiać się drabin, aż sięz nich jedna złamała.

Naogół więc, jeżeli nie w szczegółach, to  
w istocie swych dążeń, Michaś znajdował w ser-  
cu swej matki sympatyczne echo, a nieraz i ser-  
deczne żywe poparcie. Był przecież jeden temat,  
którego pani Andrzejowa nie chciała wcale poru-  
szać: kwestya religii. Stała się ona nawet obec-

nie jedynym niepokojem, bo chociaż Michaś, na  
prośby matki, przestał z nią kwestyą tę wszczy-  
nać, nieraz w dysputach kolegów, którzy się te-  
raz w mieszkaniu wdowy schodzili, rozprawiano  
o tem dosyć żywo. Właściwie sam Michaś naj-  
trafniej streścił rezultat tych długich rozpraw,  
gdy kiedyś na zapytanie kolegi: cóż ty? — od-  
parł: nic nie wiem! i niecierpliwie zwichrzył swą  
bujną czuprynę. Mimo to jednak pani Andrzej-  
owej było ogromnie przykro słuchać, że można  
pytać o takie rzeczy, a jeszcze przykrzej było wie-  
dzieć, że syn jej wątpi. Była zaś, poprostu, prze-  
rażona, gdy siebie parę razy na podobnych py-  
taniach schwytała. Opędzała się tym myślom  
zawzięcie: gdy zaś to nie pomogło, uciekała do  
kościółki i tam się modliła niezwykle długo i żar-  
liwie, a w tych modlitwach było coś podobnego

do konwulsyjnego skurczu ręki, ściskającej drogi przedmiot, który się z palców chce wymknąć i potłuc na miazgę. Podobne modlitwy, oraz świadomość tego, że Michaś jednak «nic nie wie,» były jedynym cieniem w całej powodzi światła i ciepła, która od pamiętnego wieczora rozpromieniła jej smutną istotę i tyle wlała ożywczej rosy w splekaną grzędę jej serca, że aż świeżym kwiatem porosła. Wraz z duszą odmłodziło i ciało: czarne oczy nabrały blasku, i choć nie były to już dawne węgle płomienne, płonął w nich przecież stale cichy promień, łagodny jak zorza gasnącego słońca. Pani Halina nabrała ciała,

- —

twarz jej wypełniała, cera odzyskała swą świeżość, ruchy się stały żywszemi, bardziej elastycznymi — i, gdy tak szła wysoka, krokiem poważnym, lecz pewnym, zdawało się, że idzie piękny jesienny dzień. Szron w ciemnych włosach był jedyną zapowiedzią zimy.

Ta nagła zmiana w usposobieniu i zewnętrznym wyglądzie wdowy była częstym przedmiotem rozpraw wśród stałych gości pobliskiej piwiarni.

—Niech piorun trzaśnie! — zaczynał zwykle ślusarz Maciej, — kuma mi tak wygląda, że aż lubo patrzeć; człowiek sam przy niej młodnieje. Jędre! cztery piwa, gamuniu! za zdrowie kumy!

— Toż to nie stara kobieta — wtrącił sklepikarz — ileż ona ma? — najwięcej trzydziestkę!

—W wasze ręce, w moje gardło, — popijając z kufla, odpowiadał Maciej. — Co sąsiad pleciesz! Michaś ma osiemnaście, matka trzydzieści osiem, jak obszył.

— Ba, ba, ba! — krzywił się mydlarz — moja kobieta ma ledwie trzydzieści pięć, a przy



niej jak stoczek przy świecy wygląda.

— A pamiętacie? toż to niedawno zdawało się, że ledwo zipie!

— Ha, ha! a teraz to-byś sąsiad dobrze zipał, jakby tak przyszło co do czego — uderzając mydlarza w kolano, śmiał się sklepikarz — bo trza państwu wiedzieć, że brunetka jak musztarda: młoda — rzadka, stara — sucha, a średnia—

sam smak i kolor i moc! Mam akurat świeży transport dla sąsiadów; -, ze zwrotem słoika.

— Dasz pan na krede, to wezmę.—Tak mówię, a przepowiadam, że będziemy mieli jeszcze w kamienicy weselisko, — kończył zwykle rozprawy tapicer, przyczem przymrużał lewe oko, co miało oznaczać, że ma pewne dane ku temu. A chociaż nie wiedział nic a nic, przypuszczenia miały pewne podstawy.

Na tej samej ulicy, co Halina, mieszkał niemłody introligator i zarazem flecista orkiestry teatralnej, trochę odludek i oryginał, zresztą człowiek dość intelligentny, który, zarówno jak wdowa, pochodził z lepszej sfery. Z powodu oprawy jakiejś książki Michasia zetknęli się z sobą raz i drugi, a ta znajomość przelotna, poparta wspólnością pochodzenia, tradycyi i wychowania, a także podobieństwem, jeżeli nie kolei losów, to ostatecznego rezultatu, który ich oboje do niższego środowiska doprowadził, posłużyła za grunt do zażylszych stosunków. Jeżeli jednak pan Michał Stawski od dość dawna żywił dla pani Haliny coś więcej niż sympatyą, to w sercu wdowy uczucie to drgać zaczęło właśnie w epoce jej odrodzenia i prawdopodobnie stało się z kolei pierwiastkiem, potęgującym wzrost nagły pulsów jej życia. Wdowa już przed-

tem raz kategorycznie odmówiła fleciście, co nie zamąciło jednak ich dobrych stosunków, a obecnie lękała się, poprostu, by- starań swych nie po-

nowił, bo czuła, że trudno jej będzie powiedzieć: tak! przez wzgląd na syna, a może trudniej jeszcze nie! przez wzgląd na własne swe serce, gdzie wraz ze spokojem i szczęściem odezwała się struna, którą przedtem uważała za starganą i zniszczoną już na zawsze. Te same jednak okoliczności, które zdawały się sprzyjać zamiarom muzyka, stały się w rezultacie pośrednią przyczyną nowego niepowodzenia. Jeżeli przedtem pan Michał przyjął z rezygnacją słowa wyroku, to obecnie czuł, że ponowna odmowa będzie dlań nietylko przykrością, lecz ciężkim ciosem. To też im wyraźniej domyślał się, że w sercu wdowy zaszła pomyślna dlań zmiana, tern większy go strach ogarniał przed chwilą stanowczą. Im silniej pragnął, tem silniej się wahał, aż w końcu spóźnił się fatalnie.

Rok szkolny minął tak szybko, jak każde szczęście. Ogólna radość z patentu dojrzałości Michasia miała się wkrótce zamienić dla pani Haliny w ciemne źródło smutku i tęsknoty. Michaś musiał wyjechać do wyższego zakładu technicznego w dalekie strony. Matka wiedziała, że dla przyszłości syna jest to konieczne; nigdy jednak nie zastanawiała się dłużej nad tem, a do

ostatniej chwili, zajęta przygotowaniami do wyjazdu, nie podejrzewała jak bardzo bolesną będzie dla niej rozłąka.

Dopiero gdy uderzył ostatni dzwonek, wdowa uczuła w swej piersi, poprostu, fizyczny ból, jakby, nic dzwonka serce, ale jej własne ktoś targnął. Pociąg gwizdnął i ruszył... Pani Halina

zadygotała, jakby ten ostry dźwięk przebił ją na wylot, a później z uczuciem chłodu w członkach zastygła na miejscu, niema i zimna, jak bryła lodowa. Ciężkie wagony mijały ją coraz szybciej i szybciej; Michaś ze swego machał chustką; w końcu mignęła latarnia, jeszcze raz buchnął kłęb dymu, gdzieś w oddali zamigotały różnokolorowe światelka podniesionego sygnału—i znikło wszystko, a ona ciągle jeszcze patrzyła przed siebie jakimś wylękłym, osłupiałym wzrokiem, i, choć jej oczy były niezwykle szeroko rozwar- te, nie rozróżniała ani szyn, ani słupów telegra- ficznych, widziała tylko jakąś ciemną mgłę, w której migwały jaśniejsze płatki białe, jak chustka Michasia. Dopiero kilkakrotne gwizda- nie manewrującej lokomotywy wyrwało ją z odręt- wienia; drgnęła jakby ze snu zbudzona i sen- nym wzrokiem obejrzała się wokoło: za nią był pusty peron, przed nią pusta płaszczyzna zżęte- go pola, ale największa pustka była w niej sa- mej w tej chwili. Powróciła tramwajem do do- mu, gdzie w nocy po raz pierwszy od kilku mie- sięcy powtórzyły się dawne objawy: wrażenie niezwyklego ucisku w lewej piersi, brak tchu, niepokój i olbrzymie osłabienie; do tego dołą- czyły się nieznane przedtem, kilkakrotne, szybko następujące po sobie, szarpania w sercu. Jednym słowem, była tak chora, że kilka dni podnieść się— z łóżka nie mogła. A wstała tak zmieniona, że zda- wało się, iż te dni — to lata. Potem zrobiło się jej znacznie lepiej, ale dawnych sił już w so- bie nie czuła. W najbliższą niedzielę zjawił się pan Stawski, który czekał tylko wyjazdu Micha- sia, — i doczekał się mniej więcej takiej samej jak przedtem odpowiedzi.

— Nie! panie Michale, to już nie dla mnie; pono mi bliższa trumna niż wesele! — przyczem

powiedziała to tak znekanym głosem i taki wyraz zmęczenia i smutku legł na jej twarzy, że flecista nie śmiał protestować, wstał, wziął cylinder i, westchnąwszy, wyszedł w milczeniu. Ledwie jednak zdążył drzwi zamknąć, pani Halina rozplakała się, może właśnie dlatego, że ani iskry dawnego uczucia nie mogła odnaleźć w swem sercu. I nie tylko ta iskra, ale cała jej istota po wyjeździe syna naraz przygasła: cera zmierzchła, przymgliły się oczy, stępsiał umysł, wola i wszystkie uczucia. Stało się z nią coś podobnego, co ze skrzypcami, gdy im nałożą surdynkę: te same skrzypce, smyczek i struny te same— a jednak jakże odmiennie brzmi cała melodia! Dźwięki głuche, słabe, przyciszone i smutne, jak śpiew śmiertelnie chorego człowieka. Takim tłumikiem dla duszy ludzkiej bywa tęsknota: a ona-to właśnie po wyjeździe syna w duszy osamotnionej matki się rozsiadła. Z początku bolesna, jakby skoncentrowana w jednej komórecce jej chorego serca, niezwykle ostra i paląca, rozpląnęła się powoli po całej jej istocie, pograżając duszę w stały stan łagodnego smutku i apatyi, stan graniczący niemal z melancholią. Pani Halina, która przez pierwsze kilka tygodni po rozstaniu się z Michasiem, chwilami, szczególnie wieczorem, nie mogła, poprostu, wysiedzieć w pokoju samotnie, po pewnym czasie uspokoiła się ogromnie. Przestała szlochać po nocach, przestała rzucać się na kolana przed obraz Maryi Panny i, klęcząc z twarzą ukrytą w dłoniach, powtarzać niezmordowanie jedne i te same słowa: Matko Najświętsza, Matko Częstochowska, Matko Bolesna!.. Sercowe jej ataki również osłabły; a jeżeli wszystkie podobne wybuchy zdarzały się czasami, szczególnie po otrzymaniu listu od syna, były jednak coraz rzadsze, mniej silne, aż w końcu ustąpiły zupełnie. Wdo-

wa stopniowo odzyskała apetyt, sen, a nawet zdawało się, iż snu potrzebuje więcej, niż dawniej, bo, choć zwykle kładła się dość wcześnie, wstała przecież niechętnie i cały dzień wyglądała, chodziła i pracowała jak zaspana: myliła ściegi, chwilami znów opuszczała ręce z robotą wzdłuż ciała i patrzyła łzawemi, zamglonemi oczyma gdzieś w dal, jakby zamyślona głęboko, choć nie myślała o niczem; nieraz szukała długo nożyczek, które leżały tuż przy niej, a czasami musiała sobie przypominać: czego właściwie szuka? i co ma robić? To też krzywiono się na nią i możeby wymówiono jej robotę, gdyby nie to, iż pani Halina po wyjeździe Michasia, zamiast rubla

dziennie, brała tylko pół i jedzenie (bez kolacyi), co w gruncie rzeczy, przy jej słabym apetycie, było bardzo tanio, szczególnie dla domów rodzinnych, gdzie jeden stołownik mniej, jeden więcej nic prawie nie znaczy; przytem zupełnie już gratis pozostawała przyjemność odszepnięcia na zapytanie zaproszonego na obiad gościa: qu'est - ce que c'est?

— Ah, c'est une - pauvre femme, — ściubie

tam coś dla moich dziewczątek... Może pan dobierze sałaty — Izia przyrządzała!..

W rezultacie więc, pomimo swej opieszałości, miała pani Halina dnię wszystkie zajęte i od dziewiątej zrana do ósmej w wieczór była zawsze za domem. Wieczory w domu różniły się od dnia głównie tem, że nie szyła; spędzała je zwykle w jeden i ten sam sposób. Zdejmowała zwierzchnie odzienie, zapalała lampkę przed obrazem, nastawiała mały samowarek i siadała na fotelu, gdzie często pogrążała się w taki niemal kataleptyczny stan osłupienia, że nieraz i samowar zgasł i cała kamienica już dawno spała: a pani Halina siedziała ciągle nieruchoma, wpa-

trzona w jeden punkt przestrzeni. Dopiero jakiś dźwięk, zwykle przeciągłe wycie syreny w pobliskiej fabryce budziło ją z odrętwienia. Wówczas z głębokim westchnieniem wstawała, zbliżała się do samowara, dotykała go oburącz, a czując, że chłodny, uśmiechała się jakimś

- - -

wprost rozdzierająco smutnym uśmiechem, zaczynała się rozbierać z automatyczną powolnością i kładła się spać, zapominając czasem o wieczornym pacierzu. Nazajutrz wstawała późno, jeszcze mizerniejsza, bardziej apatyczna i przybita niż zwykle.

W ten sposób minęły z górą dwa lata.

Przez ten czas Michaś ani razu nie mógł odwiedzić matki, bo dostał jakąś świetną kondycję, z warunkiem jednak, że na wakacje i święta nie będzie opuszczał swoich pupilów. Zgodził się bez wahania, bo musiał. Z pieniędzy złożonych w kasie wybrał prawie wszystko, i wkrótce mógł się zostać na bruku bez grosza. Donosił o tej lekcyi matce, jak o wielkiem szczęściu, którego doniosłość pani Halina oceniła rozsądkiem, a gorycz w niem zawartą wchłonęła w swe serce. Od tego czasu wszystkie święta, w które ucząca się młodzież ma dłuższe ferye, wdowa obchodziła tak smutno jak pogrzebowe rocznice. Uroczystość tych dni, gwar i powszechnie wesele zdawały się istnieć jedynie na to, by silniej uzmysłwić jej samotność i dać odczuć, że dawniej święta spędzali razem; mogliby i teraz, ale nie będą. Swoją drogą pani Andrzejowa, ulegając nałogowi tradycyi, dwa razy, myśląc ciągle: po co to wszystko? — przyrzadziła sobie rybę na wigilią, dwa razy kupiła babkę, kółko kielbasy i kraszanek, i oba razy oddała to

jedzenie zagląającym do niej żebrakom, a ma-

lowane jajko jakiemuś ulicznikowi, co miał oczy tak wielkie i ciemne, jak jej syn. W tym roku również z przykrem uczuciem słuchała wyrzekań pani mecenasowej, że mąka droga, a ryby na wagę złota, bo jej to przypomniało, że zbliża się Boże Narodzenie. Aż naraz w ostatnią niedzielę adwentu, akurat wtenczas, gdy był flecista, który, choć rzadziej, jednak stale ją odwiedzał, przyniósł jej pocztulion kartkę otwartą. Zaledwie jednak pani Halina przebiegła ją oczyma, przybladła silnie i zaczęła oddychać niezwykle szybko, jakby jej zbrakło tchu.

—Co pani jest? — zerwał się wystraszony flecista. Ona zaś, chwytając otwartymi ustami powietrze, oddała mu list.

—Mamusiu! vivat! Rodziciele moich hebesów, uważają, iż ich pociechy są już dość duże, by mogły samodzielnie zbijać baki na święta. Stąd wniosek prosty jak obręcz, że przyjadę. Cieszę się jak oberwany wisielec. Dyabło mi już tęskno do Ciebie, wszystkich i wszystkiego. Wyjeżdżam w przyszły czwartek, o ósmej na wigilią będę w domu. Proszę nie zapomnieć o rybie na zimno i o łamańcach; a maku nie żałować: wszak muszę odjeść moje dwie...

Tu muzyk przestał czytać, słysząc szmer cichego płaczu. Podniósł zdziwione oczy i zobaczył bladą już, ale uśmiechnioną, twarz pani Haliny i wielkie, staczające się po jej policzkach, łzy.- —

— Och! panie Michale! panie Michale!—odezwała się w końcu przerywanym głosem wdowa i, zanim zdumiony flecista zdobył się na odpowiedź, wyrwała mu z ręki list i przycisnęła na-

miętnie do swych ust tę złotą kartkę. Muzykowi, niewiadomo dlaczego, zrobiło się dziwnie smutno; wstał, spojrzął, jakby z wyrzutem, w rozpromienione oczy uszczęśliwionej kobiety i wyszedł tak szybko, że pani Halina, która go miała zamiar zaprosić dziś na obiad, nie zdążyła tego uskutecznić. Potrzebowała jednak widocznie przed kimś się wygadać, i to zaraz, bo chwyciła szal i, narzuciwszy go na głowę, przebiegła przez podwórze i wpadła jak wicher do mydlarzowej, tak jeszcze wzruszona i blada, że sąsiadka była pewna, iż co najmniej złodzieje z góry bieliznę pokradli. Gdy zaś dowiedziała się o wszystkim, ucieszyła się serdecznie, prawdopodobnie przez wzgląd na swą siedemnastoletnią Manię, która była nie tylko wysoka jak świeca, ale równie szczupła i blada, po za tem dobra i gospodarna dziewczyna, niegdyś towarzyszka zabaw dziecinnych Michasia, a w rojeniach patrzących na to matek — przyszła jego żona. Po mydlarzowej wkrótce cała kamienica wiedziała, że syn pani Tokarskiej przyjeżdża, bo wdowa każdemu, kogokolwiek spotkała, czuła się w obowiązku zakomunikować tę wielką nowinę, tak przytem w jej mniemaniu pełną szczęścia, że chwilami była, poprostu, niemile zdziwiona,

— -  
widząc jak niektórzy zachowują się wobec tej wiadomości chłodno i obojętnie. Jeżeli jednak niejedna kwaśna mina, słysząc po raz pierwszy — Michaś przyjeżdża! — pozostała równie kwaśną, twarz pani Haliny, za każdym razem, gdy komuś lub sobie powtarzała te słowa, promieniała jak zorza.

—Ale na panią mróz działa jak wiosna, — zauważyła w poniedziałek mecenasowa, widząc



jak pani Halina, tak jeszcze w sobotę apatyczna, dziś z niezwykłą energią stębnuje spódnicę.

—Syn mój przyjeżdża, — odpowiada tryumfującym głosem wdowa, a twarz i oczy jaśnieją błogim uśmiechem.

—Pani to coraz młodsza, jak Boga kocham! Wygląda pani jak, nieprzymierzając, te malinowe pomarańcze, pyszne... po dziesiątce, dla pani grosz opuszczę po znajomości, — trzepie sklepikarz, wydając jej resztę. — Michaś przyjeżdża! Uśmiecha się pani Halina i, nie wie dlaczego, radaby uściskać tego pocziwca. Jednym słowem, jest to jedyne wyczerpujące objaśnienie, którego wdowa chętnie udziela wszystkim, co się zdziwili tą nagłą zmianą w całej jej istocie.

A dziwić się jest czemu! — bo gdy, oto teraz obiera rybę, z wypiekami na twarzy od gorąca blachy, pod którą się pieką strucle i łamańce, wygląda jak młoda kobieta, która w celu mistyfikacyi przypudrowała sobie włosy, pokładła trochę zmarszczów na, rumianej twarzy i cień- - rzuciła pod błyszczące swe oczy. Wprawdzie zmrok już zapada, trudno więc określić, co w tym wyglądzie jest prawdą, a co fałszem; niewątpliwie jednak pani Halina w ciągu kilku dni odmłodziła, co najmniej, o lat parę. Czuje to sama, że jest dziś tak zdrowa, wesoła i żwawa jak rzadko. Od rana krząta się w kuchni, nie czując zmęczenia, przytem wszystko udaje się jej wyśmienicie. Sandacz w galarecie trzęsie się tak apetycznie, żeby z przyjemnością zjadła kawałek, zwłaszcza, że czuje głód; nie chce go jednak sama napocząć. Natomiast wyjmując strucle z pieca, wycina ze spodu spory trójkąć, chucha nań i próbuje... wyśmienite, bez cienia zakalca.

— No, jak idzie, to idzie — szepce uradowana wdowa, odpinając fartuch. — Wszystko już prawie gotowe. Zupa migdałowa stygnie w wa-

zie: farsz, sosy — palce lizać!

Karasia dosmaży na patelni w trakcie wieszery. A teraz, marsz! po resztę sprawunków. Wigilię pani Halina urządza królewską: wszak może sobie pozwolić. Suknię hrabianki skończyła na termin, pieniądze ma: o, tu! w woreczku — pięć, trzy i trzy — jedenaście rubli; na wino, bakalie, pierniki—aż nadto. Trzeba się tylko przebrać — myśli. Wchodzi do pokoju, siada na chwilę odpocząć, wyjmuje z za gorsu pomietą kartkę, czyta ją poraż setny, uśmiecha się i całuje. Wkrótce potem w czarnej, dość długiej szubie, w bronzowej w grochy woalce, dobranej

do koloru kapelusza, i nicianych rękawiczkach wybiega na ulicę.

Słońce już dobrze zaszło, a w mieście niemal tak jasno jak w dzień. Ze wszystkich wystaw sklepowych przez ogromne witryny wylewają się potoki światła na ulice pokryte śniegiem, co jest tak zjeżdżony i stratowany, że wygląda jak popiół. Ruch przytem wszędzie niezwykły: na chodniku tłumy ludzi najrozmaitszego rodzaju, płci, wieku i gatunku, pędzą w różne strony z niezwykłym pośpiechem, jakby w gorączce; prześcigają się nawzajem, potracają się, witają, śmieją, rozmawiają, gdzieniegdzie znów się kłóca, a robią to tak pośpiesznie, na gwałt, iż łatwo się domyślić, że blizki już termin, do którego trzeba to wszystko skończyć. Pośpiech znać wszędzie: w szybkich ruchach, w podnieceniu twarzy, w wyrazie przeważnie śmiejących się oczu, w sposobie trzymania paczek, którymi każdy prawie jest mniej lub więcej obładowany, w całym tym gwarze urywanych rozmów, zdań i wykrzykników, a zwłaszcza w szybkich tem-

pach grzmiących furioso grzechotek, co szarpia się gwałtownie, jakby się chciały oderwać od chudych szyi różnomaścistych koni, które w parę lub pojedynkę rozwożą sanki po całym mieście.

W chłodnym powietrzu unoszą się powoli białe puchy rzadkiego śniegu, co stanowi jedyny kontrast z całą tą pulsującą przyśpieszonym tętnem pstrą mieszaniną ludzi, gwaru, migających się sanek i świateł, co, zdaje się, dziś płoną także weselej i szybciej niż zwykle. Ruchliwy wir ten zaraz od bramy porywa nową cząstkę w postaci pani Haliny, która się czuje w nim wybornie. Jej stan duchowy harmonizuje zupełnie z tym podnieconym i wesoło śpieszącym się tłumem. Idzie szybko, uśmiechniona, zręcznie wymijając przechodniów; czyni to instynktowo, bo nie na tłum patrzy: oczy jej suwają się ciekawie po witrynach sklepowych, gdzie się mienia kieteryjnie najrozmaitsze przedmioty: krawaty, lampy, materiały bławatne, placki, dziady czekoladowe o białych kapturach i lukrowanych brodach, serdelki, salcesony, gwiazdy, świeczki parafinowe i inne przybory do ubrania choinki — aż w końcu w jednej — piramida z butelek. Tu pani Halina oddziela się od tłumy i wpada do składu win.

W sklepie tłok. Trudno docisnąć się do konuaru. Co chwila ktoś kogoś potrąca; wokoło słychać: — Przepraszam! To moje nogi! Co się pani pchasz! Kiedyż to będzie? — od godziny czekam na ten tokaj. — W tej sekundzie — uspokajają nietylko wypomadowani, ale spoceni subiekci, kręcąc się jak frygi. Pną się po drabinkach, zawijają butelki, piszą kartki do kasy, szturchają podręcznych chłopaków, nie mogąc wydołać żądaniom niecierpliwiącej się publiczności. Pani Halina wciska się jak klin pomiędzy jakiegoś łysego pana i grubą panią w pysznej

rotundzie. Otyła dama, snadź mocno zirytowana tem zuchwalstwem, mierzy panią Halinę oburzonem spojrzeniem, w którym się maluje cała różnica istniejąca pomiędzy drogim aksamitem jej futra a tanim kortem zwyczajnej salopy.

Wdowa jednak nie zwraca na to najmniejszej uwagi; ciśnie się dalej i jest wkrótce u celu.

—Butelkę węgierskiego — zwraca się do subiekta.

—Słodkie czy wytrawne?

—Wytrawne — odpowiada wdowa, ulegając, nie swemu gustowi, lecz przypuszczalnym upodobaniom dorosłego syna.

—Co więcej?

—Wódki.

—Kimel, Jeziorko, wioślarka, żubrówka, cyklista — bardzo dobra.

—Niech będzie żubrówka.

—Proszę . do kasy — komenderuje Subjekt, wręczając jej kartkę.

Wkrótce pani Halina, wyciśnięta jak cytryna, bynajmniej jednak nie kwaśna, z dwiema butelkami pod pachą wydostaje się na ulicę. Wdowa nie lubi takich pysznych sklepów, gdzie nie może się ani potargować, ani odpocząć, ani pogadać, gdzie subjekt patrzy na nią z góry i do młodych dam się uśmiecha.

—Niema jak żydzi — myśli — przebiega przez ulicę tuż pod nosem dorożkarskiego konia i wpada do sklepu galanteryjnego.

O ile magazyny spożywcze pracują dziś niezwykle, sklepy jak ten są prawie puste.

To też odrazu dwaj, trochę brudni, ale eleganccy, kędzierzawi, o wielkich nosach subjekci, zrywają się z swych miejsc, jak dwa naraz uderzone klawisze, gotowi do usług pani dobrodziejki.

-Krawaty — komenderuje pani Tokarska, rzucając się bez ceremonii na wolne krzesło.

W tej chwili cały stos kartonowych pudełek zjawia się na kontuarze.

—Muszki, długie, wiązane, plastrony, — recytują subjekci, rozkładając z niezwykłą precyzją «wyborowy» towar.

—Ten bardzo gustowny i tani, pani dobrodziejko, — zachwala jeden, przymierzając do kłapy czarnego żakieta jaskrawy plastron.

—Żydowszczyzna — wzrusza ramionami pani Halina — proszę o lepsze; wezmę dwa, ale porządne, potrzebuję dla syna, który dziś przyjeżdża, — dodaje wdowa takim tonem, jakby oczekiwała, że na tę wieść obie kędzierzawe głowy schylą się pokornie do jej kolan.

Głowy jednak, zamiast na dół, jadą szybko w górę, są już pod sufitem, ciągnąc z najwyższych półek nowe pudła.

—Po czemu te? — wybiera pani Halina jeden z najgustowniejszych krawatów.

— Rubel pięćdziesiąt, pani dobrodziejko; czysty jedwab. Dla pani odstąpimy złotówkę, —

dodaje szybko drugi, spostrzegając na twarzy wdowy drwiący wyraz.

— Gadaj pan zdrów, — oburza się wdowa — jest akurat tak czysty jedwab jak pańskie sumienie. Biorę ten i ten mniejszy, razem dziesięć

złotych; ani grosza więcej.

Zaczynają się targi, podczas których obie kędzierzawe głowy wysilają całą swą wymowę, by przekonać panią Halinę, iż jedynie dla niej i jej syna są gotowi stracić parę złotych i oddać jej ten zagraniczny towar za dwa ruble. Pani Halina jednak okazuje się tak twardą, że koniec końców zwycięża; w dodatku każe sobie butelki związać sznureczkiem i z nową paczką, nie zważając na natarczywe propozycje kupienia spinek dla syna i, wprost za psie pieniądze — wiedeńskiej portmonetki, rzuciwszy krótkie adieu, wychodzi.

—Padam do nóg, — brzmia jednocześnie dwa głosy, a potem jeden, zwracając się do towarzysza, mówi z westchnieniem: — Panie Henryk, co byś pan robił, gdyby wszystkie kundmany były takie? — Niech jej wątroba spuchnie z rękami i nogami! — warczy pan Henryk, porządkując rozrzucone krawaty.

Tymczasem wdowa, schodząc ze schodków, spostrzega w sznurze wijących się sanek znajoma, wyczerpaną twarz jadącego gdzieś z tłumoczkiem doktora.—Gdzie ten Wilski wyjeżdża? dziwi się pani Halina, która u doktorstwa szyje— 1 — dość częste i chętnie, bo, jakkolwiek sama Wilska jest to grymaśna dama, ma przecież jedne zaletę, mianowicie, syna Antosia, który koleguje z Michasiem. Jest to więc dom, w którym wdowa może się prawie zawsze czegoś nowego dowiedzieć, jeżeli nie o samym Michasiu, to o środowisku, w którym on przebywa. Raz nawet widziała Antosia, który jej długo opowiadał o mieście, o synu, o niezwykłej popularności, jaką się ten «Tokarz» cieszy wśród kolegów, i z niekłamaną życzliwością zapewniał panią Halinę, że jej Michaś to setny i zacny chłop, dzielna dusza ich kółka, przyczem uszczęśliwiona

matka miała sposobność oglądać ładny mundur ich zakładu. Wszystko to przypomina sobie pani Halina, patrząc na niepoczesną, jakby dziś jeszcze więcej zgarbioną i zmęczoną, postać jadącego doktora. W taki dzień wyjeżdża chyba do chorego... Biedny człowiek! nie ma nigdy spokoju, myśli pani Halina, — zapracowany, a ona... tu tok jej myśli przerywa natrętny, świdrujący głos małego obdartusa:

—Niech pani kupi kalendarzyk za pięć kopiejek.

—Nie potrzebuję — brzmi ostra odpowiedź.

—Moja złota paniusu! — naprzykrza się dalej, goniąc ją, chłopak, a w głosie jego brzmi tak namiętna prośba, że pani Halina, jakkolwiek jest wogóle oszczędna i nie lubi wydrwigroszów, zatrzymuje się na chwilę. Przygląda się ma-

łej, stojącej przed nią, drżącej od zimna figurce, a w miarę tego jak patrzy na tę nieletnią nędzę, ogarnia ją litość i rozrzewnienie.

Z zasady jednak obdarza ona żebraków tylko w naturze.

—Poczekaj tu, — mówi, wpada do sklepu, kupuje parę paczek pierników, każe zawinąć wszystkie prócz jednej, którą obdarza oniemiałego od szczęścia malca, poczem, szybko zwróciwszy się w boczną ulicę w kierunku domu, wstępuje jeszcze do sklepikarza po bakalie. Jest już około szóstej, sklep więc pusty: z tem większą radością gospodarz wita spóźnioną klientkę.

— O, pani Andrzejowa, rozhulała się pani widzę, — śmieje się sklepikarz, odbierając z jej ręki pakunki, — proszę dać; skurczybyk odniesie. A co mam dodać?

—Dwa funty bakalii, tylko karmelków jak

najmniej, a więcej marmoladek i daktyli.

—Pani to-by pewno chciała samej malagi.

Ładnie-był wyszedł! — żartuje sklepikarz, odważając towar. O, i pan Michał, — dodaje, witając życzliwym uśmiechem wchodzącego muzyka.

Pan Michał jednak jest dziś niezwykle chmurny, wita oziębło obecnych i siada w końcu, ponury jak grabarz, otaczając się kłębamii papierosowego dymu, jakby się chciał w nich pograć i schować. Nikt też nie zwraca nań uwagi, bo pani Halina wraz z kupcem jest zajęta wybieraniem malinowych pomarańcz, a tak zwany skurczybyk, mały chłopiec do posługi, korzystając ze stosownej chwili, łasuje rodzynki.

Muzyk tymczasem, z jakimś gorzkim wyrazem, przygląda się nieznacznie rozpromienionej wdowie i nagle, gdy ta już ma wychodzić, ofiarowuje się zastąpić skurczybyka w odniesieniu paczek.

—Wszystko jedno; — mówi na pozór obojętnie, — idziemy w jedne stronę: po co malec ma darmo drzeć buty?

Uwaga ta jest tak racjonalna, że niepodobna oponować: pani Halina więc się zgadza, choć, niewiedomo skąd, jest jej dziś tak dziwnie w towarzystwie muzyka, że nie wie od czego zacząć rozmowę. Szczęściem, wyręczają pan Michał.

—Dziś — wigilia! — mówi, równając się z wdową.

—Aha! — odpowiada pani Halina, jakby zdziwiona tą nowiną.

— Smutny dzień!

—Dlaczego?

—To jest przynajmniej dla mnie; dadzą mi w restauracyi, zamiast kotleta na łożu; zepsutą rybę i przytem w sali będzie pusto i nudno... A w domu fałszywe kolędy będą mi szewcy wyśpiewywali w sąsiedztwie. Oczywiście, popiją



się przy okazji.

Melancholijny ton głosu muzyka i treść jego słów budzą w sercu pani Haliny serdeczne współczucie. Czuje, że może-by wypadało za-

- -

prosić go na wieczór, ale z drugiej strony chce ten wieczór spędzić sam nam z synem: nic odpowiada nic. Przykre milczenie trwa chwilę, poczem muzyk, wskazując oczyma paczki, mówi trochę zgryźliwie: — To wszystko dla Michasia!

—Tak, — brzmi jakby nieśmiała odpowiedź.

—Naturalnie — z odcieniem gorzkiej ironii, ciągnie dalej muzyk. — Wszędzie Michaś, zawsze Michaś! On jeden tak się tłoczy w pani istocie, że nikt więcej już się zmieścić nie może!.. A pan Michał — wybucha nagle — ma przecież swój flet: niech więc dmucha w to drewno... ta dziurawa fujarka to jego powiernik, przyjaciel, jedyny towarzysz! Czego chcieć więcej! aż jedenaście klawiszy! Jest na czem wypiszczyć swoje tęsknotę, samotność i żal...

—Panie Michale! niech mi pan wierzy — przerywa mocno wzruszona wdowa.

—W co ja mam wierzyć? — szepcze prawie groźnie, zatrzymując się, muzyk i spogląda jej w twarz takim jakimś dziwnym wzrokiem, że pani Halina spuszcza oczy i zapomina co mu chciała powiedzieć.

Po chwili jednak wzrok muzyka łagodnieje dziwnie; milczy sekundę, a potem miękko, z lekkim drzeniem i wielką prośbą, —mówi cicho:—  
Przepraszam!

Znów następuje długa pauza, którą teraz przerywa pani Halina. -Widzi pan, jak Michasia kocham, jeżeli mógłby być kto, to jeden pan; ale to na nic, na nic! — już nie czas! — kończy szybko,

kategorycznie i nieswoim głosem.

—Dlaczego nie czas? — szepcze błagalnie muzyk, wchodząc w bramę.

— Bo nie czas — odpowiada pani Halina, a jednocześnie czuje, że w niej zapalają się jakieś iskierki, które kłam słowom zadają.

—Muzyk westchnął i dopiero na schodach, wręczając jej przy drzwiach pakunki, rzekł smutnie:

—Więc to ostatnie słowo, które mi pani daje na gwiazdkę?

Pani Halina długo milczała, wpatrując się usilnie w wyszarżale futro swej mufki, jakby je po raz pierwszy dostrzegała, a potem, nagle nękając w drzwiach, rzuciła mu niskim, stłumionym głosem: nie wiem!

Radosne «dziękuję» zabrzmiało za drzwiami; potem dało się słyszeć coś jakby poruszenie klamki, a następnie wdowa usłyszała wesołe gwizdanie tryumfującego marsza.

Wyrzała przez okno - i spotkał ją pełen galanterii istnie młodzieńczy ukłon szpakowatego muzyka. Pani Halina cofnęła się szybko w głąb pokoju, jakby nierada z tego, co zaszło; usiadła na chwilę, czując się niezwykle podnieconą. Głupstwo! głupstwo! nic z tego! — szepnęła, potrząsając głową, jakby chciała wyrzucić

- -

jakąś natrętną myśl. Później oparła się o poręcz fotelu i długo patrzyła w ciemny szafir nieba, gdzie drżały tłumy gwiazd, jasne i ciche.

Dopiero księżyc, co się wychylił bladą twarzą z za dachów, zbudził ją swym smutnym blaskiem z zadumy.

—Co robić? — szepnęła pani Halina, oglądając się naokoło, i teraz dopiero spostrzegła, że

lampka przed obrazem nie płonie: chwyciła więc spiesznie butelkę z oliwą, dołała lampkę, wrzuciła pływający knotek na korku i zapaliła, patrząc przytem w brązową twarz Matki Bożej z takim jakimś życzliwym wyrazem, jakby chciała powiedzieć:

—Nie bój się; Ty!., to tylko chwilowe zapomnienie.—Następnie wyjęła obrus, nakryła stół, położyła opłatki, wysypała we frażetowski koszyk bakalie, ustawiła butelki, dwa nakrycia i z widocznym zadowoleniem przyglądała się chwilę swojemu dziełu. — Która to godzina? — spojrzała na zegarek. — Siódma! — O wpół do dziewiątej przyjedzie. Usiadła na fotelu; zerwała się jednak wkrótce i zaczęła chodzić po pokoju. Ogarnęła ją jakaś gorączka — wir uczuć i myśli. Michaś, pan Michał — wszystko latało po jej głowie, nie dając jej ustać na miejscu. Nie mogła wytrzymać dłużej w mieszkaniu, w ciszy, która spływała na miasto w uroczystą godzinę wigilijnego wieczoru. — Wiem co zrobię — szepnęła w końcu, ubierając się ponownie do wyjścia. Zdmuchnęła świecę zbiegła szybko ze schodów i wpadła do kuchni sąsiadki.

— Moja Maryanno! — zwróciła się do służącej, która smażyła rybę — co to? już jedzą?

— O, już!

—Proszę, oto klucz: niech Maryanna przyśle za jaki kwadransik swoje Anusię, by ogień pod blachą rozpałała; ja pobiegnę tymczasem do mostu. Spotkam Michasia, przyjedziemy razem. Moja Maryanno...

— Dobrze, dobrze, niech Bóg prowadzi, — odparła dobrodusznie służąca, która lubiła panią Halinę, jak zresztą prawie wszyscy w kamienicy.

—Dziękuję ślicznie — rzuciła wdowa, wybiegając na ulicę.

—A pani gdzie?— zaczął ją wesoło stróż.

—Na spotkanie — odparła — niknąc w cieniu bramy. — Na spotkanie! — powtórzyła raz jeszcze, czując, że jakaś ciepła fala rozlewa się w jej sercu, i szybko dążyła przez ulice miasta, bardzo już puste. Trudno było uwierzyć, że jeszcze przed godziną panował tu tłok, gwałt i gwar nie do opisania.

Wszystkie sklepy pozamykane. Rzadkie latarnie napróżno usiłują rozproszyc ciemności, paląc się przytem niechętnie, jakby rozżalone, że je zostawiono na pastwę samotności, mroku i zimna w ten wieczór świąteczny.

Ta panująca naokół cisza, ten wielki spokój łagodzi podniecony stan pani Haliny tak, iż około mostu zatrzymuje się prawie bez śladów poprzedniego wzruszenia.

Czuje się nawet trochę zmęczoną, opiera się więc o balustradę i rozgląda naokoło. Nigdzie nikogo; gdzieś na moście tylko słychać łoskot kroków spóźnionego przechodnia; jakiś dzwonek odległy rzuca się, łka i jęczy coraz słabiej i dalej, i w końcu umiera. Znowu cisza, aż w uszach szumi.

I nagle na jej tle, jak osiem stosów ognistych, rozpalają się kolejno i gasną pełne i poważne tony bijącego na wieży zegaru.

— Michaś wysiada! — szepcze pani Halina, i druga fala szczęścia rozlewa się w jej duszy.— Jeszcze pół godziny — myśli, przypatrując się jasno oświetlonym oknom stojącej w dole kamienicy. Widok jest rzeczywiście pociągający i ciepły: pośrodku pokoju błyszczą się duży stół, zastawiony obficie; wigilia snadź się dopiero rozpoczyna, bo w końcu stołu stoi skupiona gro-

madka mężczyzn, kobiet i dzieci; wszyscy podchodzą po kolei do siwej, pokurczonej staruszki, skubiąc z jej ręki biały opłatek. Ona całuje w głowę każdego — zupełnie jednakowo, bez żadnej różnicy, czy to dorosłego, czy dziecko, i trzęsącą się dłonią robi nad każdym znak krzyża.

W oknach wyższego piętra obraz trochę odmienny: tam naokoło wysokiej, jarzącej się choinki skaczą rozradowane pędraki, a jakiś, jeszcze na czworakach chodzący, obywatel, zapewne przyszły marzyciel, wytrzeszcza swe wielkie oczy i jedne tłustą rączkę wyciąga w kierunku złocistej gwiazdy, lśniącej się na szczycie.

— Może i Michasiowi trzeba było ubrać choinkę? — myśli wzruszona pani Halina i śmieje się z własnej swej myśli, przypominając sobie końcowy ustęp listu: «Nie wiem, czy mama mnie pozna, bo zarost mi wyrósł bajeczny.» Tu wdowa spogląda wzdłuż mostu, widząc jednak pustkę w długiej perspektywie, opiera się znowu o poręcz i patrzy w dół na rzekę. — Zamarzła; pokryta śniegiem wygląda jak biała, puszysta wstęga, wprawiona w ciężkie ramy kamiennego brzegu. Po obu krawędziach ram powbijane latarnie, jak złotogłowe gwoździe, ciągną się długim szeregiem, coraz gęstsze i mniejsze. Gdzieś niedługo z pod śniegu wyzierają połyskujące tafle lodu, a daleko widać coś jakby ciemny pień, z centką ognistą — to ściśnięta krą berlinka — ze światełkami w okienku. Rzeka jest w tej chwili trochę podobna do zapatrzonych na nią kobiety: stoi, jak ona, napozór spokojna; w głębi jednak, pod lodu powłoką, kręcą się nurty i wiry — tak samo jak na dnie duszy pani Haliny zaczynają się kłębić wspomnienia i płyną, szmerząc cicho, w sposób jedynie dla niej uchwytne.

Pani Halina tak jest wsłuchana w echową melodyą przebrzmiałej przeszłości, że nie uważa, iż tuż za nią przesuwiają się jedne sanki, potem drugie i trzecie, aż dopiero głośniejsze dzwonki jakiegoś prywatnego pojazdu budzą ją z marzeń.

Wdowa się szybko ogląda; gwałtownie goni oczyma niknące już po placu saneczki, a nie mogąc rozróżnić w zmroku siedzących osób, zbliża się do kraty i z wypiekami na twarzy czeka.

—Jadą! Sanki jednokonne; na przedzie kuferek; to nie Michaś: on ma kosz, a może... — myśli szybko wdowa.

— Rzeczywiście nie on, jakieś dwie panie. Odrazu kilkoro! Pani Halina przebiega po nich szybko oczyma... jego niema! Znowu sanki — koszyk na koźle — podobny...

Pani Halinie serce wali jak młotem... Nie! jakichś dwóch panów.

Dłuższa przerwa.

Znowu sanki; w nich rozparty jegomość w futrze z wesołą miną. Dalej barania czapka, pod nią znudzona twarz.

Znowu jeszcze dłuższa przerwa.

— Matko Najświętsza! — modli się gorączkowo pani Halina — czyżby?.. — Nie! Jadą jeszcze.

—Biały, duży koń, koszyk obok dorożkarza, za nim coś jakby mundurowa czapka. — On, on... — szepcze, cała w ogniach, pani

Halina, podbiegając parę kroków.

—Nie! oficer.

W następnych sankach czuła para; jadą w uścisku. Dalej już nic!

Pani Halina jest blizką płaczu, wyteżę ucho...

cicho! Co to jest? okropnie cicho, nie, jakiś dzwonek... O, Boże!—mówi wdowa, odzyskując utrudniony oddech.

-Dzwonek się zbliża bardzo powoli...jadą prawie stępa... dlaczego? Pierwsze puste... co to jest? drugie puste... to niepodobna! trzecich niema...

— Zkąd wy, zkąd wy? — dopytuje się wdowa jakimś zająkliwym głosem, gorączkowo i prawie z rozpaczą.

— A juści z dworca — odpowiadają chmurnie dorożkarze — pasażerów, psia kość, niema; po próżnicy człowiek się włóczył.

— Z dworca! — powtórzyła Halina, łapiąc się za kratę.—Nie, to nie może być! on przejechał wtenczas, tak, tak!..—szepcze, czując, że się pod nią trzęsą nogi.

—No, jedzie pani, czy nie? — pyta dorożkarz.

— A jakże!.. jadę... jadę... tylko prędko, mój panie — mówi wdowa przepojonym łzami głosem, pakując się do sanek.

— On jest w domu, napewno—szepcze drżącymi ustami, wydobywając zapłatę z portmonetki.

Dorożkarz zacina konia i, choć jedzie wyciągniętym kłusem, dla niej wlecze się jak żółw.

—Jakby na złość! — Prędziej! — jęczy nerwowo kobieta przez zaciśnięte zęby.

—Pr! — zatrzymuje dorożkarz konia przed bramą.

Pani Halina rzuca mu pieniądze i wpada na podwórze, a w ślad za nią leci ochryply głos:— Za kawalerską jazdę tylko tyle! Psia krew, bo-daj-byś, cholero, nogi połamała!..

Życzenie to omal się nie spełnia, bo wdowa,

spostrzegłszy w swych oknach światło, z rado-  
snym piskiem: — Jest! — szybko, jak iskra po  
luncie, przelatuje schody i otwiera gwałtownie  
niezatrzaśnięte drzwi.

Nikogo; pod blachą syczy ogień, a w drugim  
pokoju na oknie dopala się wielkim płomieniem  
topniejący ogarek, snadź zapomniany przez roz-  
targnioną Anusię.

Pani Halina wodzi przez chwilę wprost zdu-  
mionym i mętным wzrokiem po białych ścianach  
mieszkania, a potem, z jakimś cichym jękiem  
skaleczonego dziecka, osuwa się na fotel.

Siedzi chwilę, oddychając z trudnością, zgar-  
biona, jakaś niższa, jakby przygięta do ziemi ca-  
łym ciężarem zabitej nadziei i tak gwałtownie  
przeistoczona w ból radości.

Wkrótce staje się jej tak duszno, że, nie roz-  
pina, ale, wprost, rozrywa, szubę na sobie, zrzu-  
ca kapelusz, zrzuca to wszystko na podłogę,

G. Daniłowski. — Nowele. - -

a sama opiera się obydwoma łokciami na stole, kry-  
ąc twarz w dłonie. W pełgającym płomyku do-  
gasającej świecy widać tylko jej srebrne włosy,  
chude, drżące palce, przez które zaczynają się  
sączyć łzy tak obfite, że się staczają po dło-  
niach, kapią na obrus, bryzgając na opłatki, na  
daktyle, marmoladki i figi; zdają się nawet prze-  
nikać przez delikatne łupinki słodkich migdałów,  
zmieniając je w gorzkie.

Pani Halina dygocze cała od płaczu, a jest  
tak pogrążona w swojej boleści, że nie słyszy  
jak ktoś dopytuje się stróża: gdzie mieszka To-  
karska? nie słyszy również kroków po schodach,  
i dopiero na dźwięk klamki i skrzyp drzwi pod-  
nosi nieśmiało załzawione swe oczy.

Z ciemnej futryny wynurza się przekrzywio-  
ny kapelusz, wydatna pierś i pokryta potem,  
czerwona, jakby pomieszana, twarz doktorowej



Wilskiej.

—Syn pani jest? — sapie doktorowa, rzucając się na krzesło.

—Nie! — wstając nagle, odpowiada, ze ściśniętem gardłem, pani Halina, a jednocześnie jakieś okropne przeczucie zrywa się w jej duszy. Czuje, że jakiś chłód chwyta ją za nogi: opiera się więc o ścianę, bielsza niż ściana, i z błagalnym wyrazem wylękłego dziecka, które mają uderzyć, wpatruje się w twarz niespodziewanego gościa.

- - -

—Ma się rozumieć, — zaczyna trzepać tymczasem, zwracając oczy, doktorowa. — wiem, nie ma i nie może być... i mój Antoś także! Boże, co to będzie?.. co to będzie?.. Powiadam Tokarskiej: sądny dzień!.. Dziś zrana jakiś nieznajomy jegomość wręcza mi od kuzyna list... Gdzież on?.. szuka niecierpliwie po kieszeniach — właśnie! przeczytałam, myślałam, że umrę. Bo to już od tygodnia, a my nic nie wiemy. Michaś, mój, i jeszcze kilku... nic nie rozumiem... nic nie wiem... dlaczego?..

— Co pani jest? — urywa nagle.

Pani Halina rzeczywiście wygląda wprost okropnie. Oparta o ścianę, ma usta sine i w pół otwarte... Głowa odrzucona w tył pozwala widzieć rozdętą szyję i gwałtownie pulsujące tętnice. W suchych jej rozszerzonych źrenicach migają jakieś złe ognie. Zato na czole, policzkach i rękach lśnią się obficie krople chłodnego potu, niby zmarzłe łzy, jakby, nie mogąc oczyma, całym swym ciałem płakała. Wargi jej poruszają się bezdźwięcznie, a zakrzywione kurczowo palce wpijają się w fałdy czarnej spódnicy.

—Co pani jest? — szepcze po raz drugi wy-

lękła doktorowa, wstając z krzesła.

Pani Halina znowu porusza kilkakrotnie ustami; jakiś spazm wstrząsa jej piersi; wypręża się jak przeciągnięta struna, i w końcu gdzieś z dna duszy wydobywa ni to szept, ni to jęk: — Nic— -

Pani Halina zostaje przylepiona do ściany w poprzedniej pozycji, w takim jakimś bolesnym napięciu wszystkich swych zmysłów, że nie tylko czuje każde tętno szarpiącego się w niej serca, każde cierpiące włókno swych nerwów, ale najłżejszy szmer odbija się zdwojonem echem w jej istocie. Słyszy jak ogarek, syknąwszy, zgasł. — Kroki spuszczonej się po schodach doktorowej wydają jej się niezwykłym łoskotem, a głosy, które właśnie na dole zaczynają śpiewać kolendę, biją w nią jak grom.

— «Bóg się rodzi, moc truchleje!

Ogromny dźwięk wstrząsa nią całą. I jednocześnie zrywają się w niej dwie myśli: że jest jakaś moc, która nie truchleje, choć Bóg się rodzi, a potem zapytanie: «Gdzie ten Bóg? Gdzie On?»—A pani Halina pyta w sposób tak okropny, tak niecierpiący zwłoki w odpowiedzi, że, nie słysząc jej znikąd, poprostu, obłąkana z boleści, w śmiertelnym dreszczu zbliża się nagle w stronę obrazu i dmucha na lampkę, usiłując zgasić to samo światło, które dziś z taką wiarą sama wznieciła. Płomyk się silnie zachwiał, choć nie zgasł; a jeszcze się silniej zachwiała pani Halina. Kredowo blada, z oczyma wysadzonemi z orbit, zaczęła bić rękami powietrze, wśród gwałtownych oddechów zakręciła się na jednym miejscu, chwyciła się oburącz za lewą pierś i runęła na wznak. «Pan niebiosów obnażony! «Ogień krzepnie, blask ciemnieje...»

Wyleciała nowa strofa — wpadła do jej pokoju i cofnęła się nagle, jakby wylękała.

Pani Halina krzepła.

Tymczasem płomyk w różowej lampce palił się już silniej choć drżał jeszcze; a w migotliwym jego świetle ciemna twarz Matki Boskiej wyglądała niezwykle: zdawało się, że dwa cięcia miecza na policzkach nabrzmiały krwią, słodkie zaś, smutne jej oczy obróciły się w dół na podłogę, gdzie w srebrnej aureoli włosów bieląca twarz kobieca, cicha jak zdeptany kwiat i prawie niestraszna, gdyby nie szkliste oczy, w których leżała pustka ogromna i wielkie przeżalenie.

«Ma granice Nieskończony!»

Grzmiał dalej chór i urwał nagle, jakby poczuł, że gdzieś w pobliżu krąży śmierć. Stało się cicho bardzo, a była to chwila uroczysta i niezwykła; bo właśnie trzy dość dziwne rzeczy leciały nad ziemią: silna pieśń, smutna dusza i wielka boleść, która tę duszę z serca wydarła; i może być, że w jakimś punkcie globu miał się urodzić poeta i odbywało się nowe wcielenie: duszy—w ciało, pieśni—w duszę, boleści — w pieśń!

WESOŁY PASAŻER.

Przezywano go «wesoły pasażer.» — Umiał jakoś niezłe wyslizgiwać się badaczom egzaminacyjnym. Jego wielkie, zamglone i smutne oczy patrzyły tak naiwnie, cały wyraz twarzy był tak niewinny, że dotychczas wykręcał się sianem. Ale teraz troszkę «wsypał się», bo zwolniono go na lat parę od obowiązków studenta i poradzono odpocząć po studiach w zacisznym bardzo ką-

ku Europy.

—Mogło być gorzej—mruknął, dowiedziawszy się o swych losach, pasażer, którego życie dość często zmuszało szukać pociechy w tej pięknej maksymie; wsiadł w asystencyi dwóch odprowadzających go jegomościów i jechał z jakimś dziwnym uczuciem smutku i rozrzewnienia.

— Poczciwi — myślał — przyszli wszyscy na pożegnanie, a ona — szeptał, dotykając drżącymi palcami złotego krzyżyka na piersiach — to dała... Czyżby?.. — nie dokończył zdania, a natomiast zaczął żałować, że jej zatajonego w głębi serca uczucia otwarcie na wyjezdnie nie wyznał.

Ot, spisał się tak, jak może tylko postąpić zmęczony sceptyk a zarazem i niepoprawny marzyciel, gdy mu ukochana dłoń symbol straconej wiary przynosi. Chwycił ją silnie za rękę, zaczął coś bełkotać, odwrócił się nagle i z isticie pasażerską zręcznością skoczył jak żbik do oczekującej go karetki. Dzwiczki trzasnęły, zadudniły koła, a nazajutrz był już tak daleko i w tak odmiennych warunkach, że gdyby nie krzyżyk, który mu piersi uciskał, mógłby mniemać, iż mu się śnił wczoraj sen dziwny, nieprawdopodobnie rozkoszny. Od tego snu minęło akurat dwa razy więcej czasu, niż potrzeba na to, by dalecy krewni i bliscy znajomi zapomnieli zupełnie o istnieniu jakiegoś pasażera, którego los na chwilę ich zelektryzował i do wybuchu nadmiernej życzliwości pobudził...

Nic więc dziwnego, że już od trzech miesięcy «wesoly» nie potrzebuje się fatygować, odpowiadać na listy, dziękować za pamięć, a tylko leży sobie na łóżku i patrzy niezmordowanie

w sufit z tern, równie przykrem jak i nieokreślonym, uczuciem człowieka, który nie umie powiedzieć: co mu jest właściwie? Bo przecież ten tępy ból, co, jak ziarnko piasku, zawadza mu w sercu, nie może pochodzić z braku listów i wiadomości. Miał dość czasu z tem się oswoić, a że tak będzie, mógł łatwo przewidzieć, jako osobliwy wyjątek, który, gdy burza gniazdo rozniosła, sam jeden ocalał, widocznie po to, by

serca ludzkie mogły swą litość przejawiać, a jego własne mogło czuć całą gorycz tej krzywdy, jaką mu niesyta nigdy wdzięczności litość wyrządza i żywić żal, że jest pozbawiony własnej serdecznej przystani, i że się tuła po świecie, jak istny, według dosadnego wyrażenia miejscowej ludności, «krągły sierota», jeżeli tylko można nazwać krągłą — tę leżącą na łóżku tyczkę, a sierotą dwudziestoczteroletniego draba, któryby mógł być mężem stanu w parlamencie, a niezawodnie ma ochotę być mężem jej.

Dzień dzisiejszy, niczem się również nie różni od tylu w tem mieście spędzonych, prócz tego chyba, że zrana wypłacił służącej niezwykle honorarium: rubla za sześć słów «z nowym rokiem z nowym szczęściem;» ponieważ jednak pasażer nie ma w sobie ani cienia redaktorskiej oszczędności, trudno przypuścić, by ten wydatek był przyczyną bezmyślnego wpatrywania się w sufit.

— Ot, musiał wstać lewą nogą — tak sobie prawdopodobnie tłumaczy nieokreślony stan swego pana, stojący tuż obok łóżka budzik, który, jakkolwiek nosi na plecach niemiecki napis, swą niepunktualnością zdradza słowiańskie pochodzenie, choć z drugiej strony skłonność do filozofo-

fania i krytyki, której ostrze najczęściej zwraca przeciw leżącemu na łóżku przedstawicielowi «mniej wartościowej» nacyi, świadczą o silnej domieszce krwi germańskiej. W głosie budzika- — daje się słyszeć obecnie pewne rozdrażnienie połączone z szyderstwem. Nic dziwnego! Od wczoraj jest zmuszony do wpatrywania się całym swym cyferblatem w opartą na nim kartkę, pokrytą czemś tak śmiesznem w trzeźwym stuleciu «siły przed prawem,» jak następujące rymy:

...Rok minie: ja, patrząc w ulice Olgowa,  
Jak sroży się wicher stepowy,  
Pomyślę: tam dzisiaj gwar, śmiechy, rozmowa.  
Tam święta, tam dzisiaj Rok Nowy!..  
I wstanę i szybę, co zmarzła od chłodu,  
Przycisnę ciężarem swej głowy,  
I będę się patrzył ku stronie zachodu,  
Tak myśląc: tam dzisiaj Rok Nowy!  
Tam zesзли się wszyscy, a twarze tak jasne!

Tam ona jak pączek różowy...  
W dniu jutra, śnie ciężki, zejdź do mnie, niech zasnę  
I prześpię kamieniem Rok Nowy!..

Prócz tego zegar, któremu, rzecz prosta — kością, jeżeli nie w gardle, to w werku, mogły stanąć te od doby czerniące się przed nim monotonne wiersze, ma najzupełniejszą racją czynić wyrzuty swemu panu, że ani jednej z obietnic, które na papierze rymami utrwalił, nie spełnia, bo ani śpi, ani myśli, ani głowy na szybach nie opiera, choć te, jakby na obstalunek, zamarzły — jednym słowem, nieprodukcyjnie czas traci, zamiast swojemu słudze krzywą nóżkę naprostować lub zardzewiałe serce na święto oczyścić. — -

Eh! krótko mówiąc— Idyota - ta - ta! Idyota-ta-ta — powtarza zegar tak energicznie i zaciecie, że wesoły pasażer budzi się na chwilę z odrętwienia i szepcze zły:

— Czemu ten cykacz tak głośno wali?

Ocknięta myśl zaczyna dalej pracować w sposób dość oryginalny. Nie pasażer myśli, lecz, wprost, po jego głowie snują się myśli same. Pierwsza, którą dziś zewnętrzny bodziec wywołał, ciągnie za sobą pokrewną, drugą, ta zaczepia o trzecią, trzecia wywlekła gdzieś z głębi mózgu następną: i w ten sposób powstaje nieskończony łańcuch zdań, uwag, głównie wspomnień i obrazów, dość luźnych, poplątanych i chaotycznych, bo jedynym ich motorem jest prawo kojarzenia, a sternikiem w danym wypadku nie jest porządna i stateczna pani Uwaga, lecz coś tak kapryśnego, obszarpanego i dzikiego jak serce.

W ślad więc za pierwszą myślą w głowie pasażera zjawia się wspomnienie, iż tu zapłacił za ten klekot pięć rubli, a tam za trzy lepszy-by kupił: skąd taka różnica? — Pytanie to jednak nie budzi bezpośredniej odpowiedzi, lecz naprzód wywołuje ogólną refleksję, iż wartość określa się ilością społecznie niezbędnej pracy, zakrzepłej w danym towarze, a potem żywe wyobrażenie tytułowej karty, książki, z której to zdanie jest wzięte. Kartka ma jeden róg pożółkły, u góry wielkimi czarnymi literami słowa nagłówek,

a pod tem kilka wierszy dość długiej dedykacji: «Poświęcam mojemu niezapomnianemu druhowi... zmarłemu na obczyźnie, dnia...» I nagle obraz znika, natomiast po sercu pasażera zaczyna pełzać jakiś nieokreślony niepokój, a z ust

zrywa się szept: — «Czyżbym i ja miał tak umrzeć!?» Tu następuje chwilowa cisza uczuć i myśli, podczas której budzik, znać obrażony przewiskiem «cykacz» i «klekot.» grzmi ciągle «idyo-ta-ta-ta,» a jednocześnie obmyśla plan zemsty, czując, iż sprężyna będzie niedługo już spadała, co mu pozwoli wydać odpowiedni dźwięk...

«Wesoły» jednak nie słyszy wymyślań budzika i myśli o śmierci, a właściwie o tem: jak to będzie, gdy umrze? Wyobraża więc sobie, że oto szczerze opięty w ten sam mundur galowy, którego niegdyś na wieczorki od kolegi pożyczął, leży, w czarnej trumnie. — Dość mu tam wygodnie, ale bardzo obco, smutno jakoś i głupio. Żenują go źle uprane białe rękawiczki, a zwłaszcza to, że wieko otwarte. Gdy zaś spostrzeżga zbliżających się krewnych i znajomych, ogarnia go szalona chęć zerwać się i uciec...

Zapóźno! Otoczono go kołem, i wszyscy ze łzami w oczach zaglądają mu ciekawie w twarz, czyniąc sobie w duchu wyrzuty, że byli dlań tak obojętni. On widzi to, i nagle wszystkie poprzednie wrażenia znikają bez śladu; natomiast w piersi się kłębi jakieś wpół-bolesne, wpół-radosne uczucie, że przecież go żałują.

Pragnie napić się do syta ich żalem i jeszcze się zemścić;—leży więc obojętny, zimny i niedostępny na wyniosłym katafalku, jak król na wysokościach tronu. Lecz oto wchodzi Ona. W twarzy jej maluje się niezmierne przerażenie i rozpacz, płynąca zapewne z poczucia, iż wyrządzonej mu krzywdy niczem i nigdy wynagrodzić nie zdoła — w jego zaś sercu zrywa się radość olbrzymia, a później rzewny żal nad nią. Gotów jest już wszystkim wszystko przebaczyć, przez



wzgląd na Nią ułaskawić ich, ożyć. Czując, że go bierze za martwą rękę, czeka tylko jej pierwszych, z pewnością czułych, słów. Jakoż Ona pochyla się nad nim i szepcze:

«Pas-sazer!»—szczeka radośnie budzik, luzując sprężynę.

Zegar dobrze się zemścił. Wszystkie myśli pierzchają nagle jak ptak, strzałem spłoszony, a «wesołego» ogarnia gniew i taki wstyd, że pragnąłby się w tej chwili schować gdziekolwiek, choćby naprawdę w mogile.

—Jestem idyota — szepcze, ściskając zęby.

— O, to, to, — wtóruje mu bezlitośnie budzik.

— Co się ze mną dzieje, u licha! — myśli, ochłonawszy nieco, pasażer i, jak złapany w żelazo lis. który dla wydostania się z sideł sam kité sobie odgryza, przystępuje do równie ciężkiej operacji samopocieszania się. Bierze się do rzeczy dość ostro.— -

— Zresztą, co oni mnie tam wszyscy obchodzić mogą?! — mówi prawie głośno, — albo mi tu źle? Mieszkanie jest, obiady są, życie ciche i tanie, a jak wrócę, psia krew, i spotkam którego... .

— O, jak się mamy! cóż tam nowego? — zapytam.

— Kopę lat! kopę lat! — odpowie zdziwiony filister... Bój się pan Boga! cóż pan żyje? zdrów?! Jakże mi miło!..

A ja na to:

—No, kopę nie! zaledwie parę — kilka! Sekunda to w porównaniu ze światłem wiekuistem... Że żyję, łatwo się domyśleć, bo nieboszczykom po ulicach chodzić nie wolno, że miło — uwierzyć trudniej... Co do zdrowia, to i owszem, na swoje potrzeby wystarczy.

—Jakże tam panu było? co za kraj? coś pan tam robił?

—Niczego, kraj jak wszędzie: po dniu noc, po nocy — dzień; bułki tylko większe i tańsze... ja tam sobie śpiewałem przeważnie:

«Precz, precz smutek wszelki,  
Zapal fajki! staw butelki...»

Zrywa się z ust pasażera kilka różnych tak-  
tów wesołej piosenki; w głosie jednak czuć pew-  
ną sztuczność, przykrą jak taniec kaleki, jak  
wszelki wysiłek, o tyle przytem bezowocną, że  
pieśń urywa się nagle, a z mózgu wyłania się

gorzka myśl: «mogliby chociaż bilety dziś przy-  
słać... > Pasażer jednak nie daje za wygraną;  
zmienia tylko taktykę i występuje do dalszej  
walki, zbrojny całym szeregiem przypuszczeń:  
— A może są w drodze? kto jak kto, ale  
ona z pewnością się zdobyła na ten dowód pa-  
mięci. Zresztą, może być, że listów jedynie dlatego  
niema, iż poginęły: wszak jego korespondencya  
także ginie —ma na to dowody... Ostatnia myśl  
wydaje mu się tak prawdopodobną, że już ją ma  
zamienić w niewzruszony pewnik, gdy naraz bu-  
dzik wyrzuca zagadkowy dźwięk, coś jakby «je-  
łop!» a wślad za tern dodaje «piramidalny, pirra...»  
i wybucha całą kaskadą warczeń, złożonych z sa-  
mych rr... — Tego już zanadto! Wściekły pasa-  
żer zrywa się z łóżka; chwytą zegar, nie mogąc  
jednak po ciemku namącać guzika, wrzuca ze-  
gar w czapkę, a sam zaczyna chodzić po pokoju  
niezwykłe zdenerwowany i podniecony. Zegar  
warczy głucho, jeszcze chwilę, a później, jakby  
odsapnąwszy, rozpoczyna swoje monotonne «tik-

tak» stłumionym i znękanym głosem człowieka, którego spotkała niczem nie zasłużona obelga. Dolna część budzika niknie w cieniu obszernego ronda, górna zaś mocno świeci w promieniach księżyca. Ta gra cieniów i światła nadaje cyferblatowi jakiś niezwykle wyraz ironicznego smutku. Wkrótce mina jego staje się tak wymowną, iż łatwo się domyśleć, że treść długiej tyrady, pełnej skarg, uwag i nauk moralnych,— O — w tłumaczeniu na język ludzki winna brzmieć mniej więcej w następujący sposób:

-Czego ty chcesz właściwie i czemu się znęcasz nade mną? Jeżeli ci się zdaje, że cię uprawnia do tego jakaś olbrzymia, istniejąca pomiędzy nami, różnica na szczeblach wszechświata, to błądzisz tak strasznie, jakbym ja błądził, gdybym ci o szóstej dwunastą pokazał. Takiej różnicy niema; mówię to tak szczerze, jak pragnę mieć dwanaście kamieni i złote koperty. No, pomyśli — ja chodzę, i ty chodzisz—ja na stole, ty z kąta w kąt. Gdy mnie się wykręci sprężyna, zawieszam chwilowo proces życia, gdy pęknie nawet, non omnis moriar! bo z mego mosiądzu może być trąba, lub działo, którego kula rozsądzi głowę geniusza... A ty? będziesz mniej wart niż moje ucho stalowe, bo ciebie nikt nie kupi, nawet na szmelc. A wykręca się, wykręca, i to jak jeszcze! Machnę raz sekundnikiem, i już o chwilę bliżej twój grób; przejdę się wielką wskazówką naokoło, i o godzinę bliżej twa śmierć...A wszak macham niezmordowanie, bez przerwy, bez ustanku! Zły jesteś, żem zadzwonił nie w porę, i miotasz się po pokoju jak krótki perpendykuł: zrozum - że więc, iż musiałem dzwonić, bom na tę godzinę był nastawiony od doby. To zaś, że chodzisz teraz w tej klatce, jak wilk, któremu las nagle zapachniał, było ci przeznaczone od dawna. Wyznaj więc, głupi kom-

pasie, że cały twój stan obecny, przeszły

- —

i przyszły, twoje tęsknoty, miłości, i myśli twe, boleści i radości—są również dobre jak moje takty, szczęki i wark, bo każde tętno twego krwawego serca, jak i mojego z mosiądzu, zostało zdecydowane przed laty w głównym korpusie wielkiego warsztatu. Kto wie nawet, czy nie jesteś wobec kogoś takim samym jak ja czasomierzem, z kurantem, a nawet kukułką, i kukasz teraz samotnie? Jeżeli tak, toś lichy zegar, toś niesystematyczny. To też przypuszczam, że prędzej grasz rolę uciesznego mechanizmu lub instrumentu, który dla czyjejś rozrywki wykonywa mnóstwo poruszeń, wyrzuca tysiące dźwięków, zaczynając od śmiechu, a kończąc na łkaniach; ponieważ zaś główną zasadą każdego zajmującego widowiska jest różnorodność, tobie, co jesteś ledwie krótkim akordem olbrzymiej uwerturny, są przeznaczone minorowe tony, trochę odmienne niż innym. Być może, iż w samej operze role się zmienią... A chociaż zarówno melodia jejjak i libretto są tajemnicą, przewidzieć łatwo, że unisono nie przebrzmi nigdy. Nietrudno również jest pojąć, że, gdyby wahadło tej mojej maszyny której cyferblat jest ci tak miły, zaczęło się poruszać w takt twego, byłoby to zwiększeniem monotonii, pierwiastkiem nudy w widowisku, karygodną stratą efektu. W dobrej sztuce komiczne sceny są przeplatane smutnemi. Czyż możesz przypuszczać, by genialny mistrz, tworząc swe dzieło, zapomniał o tej regule? Ty jesteś smutnym frazesem, ktoś inny — wesołym, a całość tylko na tem zyskuje, i dzieło w summie jest arcydziełem! Trzeba być dzikim wandalą, by chcieć zniweczyć tę pełną dźwięku harmonią,

coby się stało niechybnie, gdyby byle cymbał dostał swobodę działania. Słuchaj więc ślepo batusy, smętne fujaro, zwłaszcza, że słuchać jej musisz, lub precz z orkiestry! poproś o urlop! za skutek ręczę!.. O ile w biurze zażaleń trudno coś wskórać, wydział śmierci dla wszystkich stoi otworem. Szef jest o tyle dostępny, że byle-byś miał szczerą, ochoczą zamiar, przyjmie cię zawsze uprzejmie. Dłoń ci kościstą swą poda i bez łapówki rzecz całą szybko załatwi... Pamiętaj tylko, że taki urlop jest bezpowrotny, równa się zwykłej dymisyi. Z formalnej strony o tyle lepszy jest od niej, iż ci zostawi ostatnie złudzenie, żeś się z honorem, bo z własnej woli, wycofał i choć w ten sposób melodyą mistrza zamącił...

Tymczasem pasażerowi robi się coraz duszniej w pokoju.

— Trzeba wyjść — myśli, wciągając na jeden rękaw smutną imitacją paltota.

A dokąd ja pójdę? — szepcze, zapinając resztki guzików. — I po co właściwie? — dodaje, siadając.

Po chwili wstaje, kręci się bez wyraźnego celu po pokoju, zatrzymuje się przy stole i, myśląc ciągle: dokąd pójdzie? — wyjmuje budzik

z czapki. Napróżno wierny towarzysz skrzyżowaniem wskazówek na dziesiątej ostrzega, że jest już późno; pasażer zostawia budzik, wkłada czapkę i znika za drzwiami.

Noc jest dość mroźna. Olgów śpi cały. W ulicach pustka. Długie szeregi niskich domków, pokrytych śniegiem, czynią wrażenie trumien, które ktoś prawidłowo poukładał wzdłuż cichej alei cmentarza i przykrył białym całunem. Na ciem-

nym horyzoncie nieba rysują się na kilku punktach grube wieżycy, przywalone ciężkimi baniami. Nad niemi lśnią rzadkie gwiazdy, jak złote nitki do mrocznego szafiru przymarzłe, a wysoko leży cichy księżyc w matowej swej aureoli, jak krąg bladego mosiądzu, na tle żółtego muślinu złożony. Suchy wiatr zrywa się chwilami i, świszcząc, leci po przez ulice, łomocze w bramy, rzuca okiennicami i nagle znika.

Wtenczas nastaje ta przeraźliwa cisza, równie bolesna jak przenikliwy krzyk, co wrzyna się w ucho i nerw każdy, dopóki ostrzem swem w głąb serca się nie wwierni.

Pasażer mija szybko ulicę za ulicą, jakby uciekał od skrzypu własnych kroków. W ruchach jego daje się dostrzedz pewna machinalna bezmyślność. Jako też rzeczywiście w tej chwili niema w nim żadnej myśli, żadnego nawet uczucia, prócz rozpaczliwej potrzeby szybkiego ruchu. Ogarnia go coś podobnego do szału psa, spuszczonego pod wieczór z łańcucha, który, skowycząc, wyrywa się na podwórze, przeskakuje płot, pędzi na pola, tam biega w kółko, coraz szybciej, szybciej, do zupełnego zapamiętania się, do utraty sił i tchu, aż w końcu, z pianą w pysku, pada zmęczony. To też pasażer przyśpiesza wciąż kroku. Mija ulice, okrąża place, iskrzące się jak wielkie półmiski pełne miłkiego cukru; nie czuje zimna, śniegu, co mu włazi przez dziury w podeszwie, ale niezmordowanie idzie wciąż dalej i dalej, znajdując w tem zmęczeniu fizycznym dziką rozkosz i ulgę zarazem. W końcu brak tchu każe mu się zatrzymać. Świadomość zaczyna się budzić, bardzo jednak powoli. Pasażer stoi chwilę z miną człowieka, który nie wie co ma zrobić z sobą; wpatruje się błędnym wzrokiem w białość śniegu, jakby chciał stamtąd odpowiedź wyczytać; w końcu zawraca

w kierunku domu. Stapa teraz zupełnie inaczej— leniwym, chwiejnym krokiem, niosąc w twarzy niezwykle, senny wyraz wielkiego znużenia.

Jeszcze nic nie myśli, ale już słyszy każdy takt kipiącej w nim krwi, a jednocześnie w serce mu się wciska znowu tęsknota, wprawdzie nie tak dzika i gorzka jak przedtem, niemniej jednak ogromna i smutna.

Pasażer czuje, że oddałby wszystko, by choć na chwilę znaleźć się tam wśród swoich. Nie miałby ochoty mówić, pytać, być nawet widzianym; chciałby tylko jak niemy cień zająć wśród nich miejsce, chwycić ich ruchy, pieścić się

dźwiękiem ich mowy, wykraść im potajemnie trochę ciepła z serc, ogrzać swą duszę i patrzeć, patrzeć i słuchać... A wraz z tem, wprost — żywiołowym, pragnieniem zjawiają się wspomnienia tak silne i wyraźne, że bierze je prawie za rzeczywistość. Zdaje mu się, że idzie dobrze znaną ulicą, wchodzi w bramę, wspina się na schody (tu podnosi nogi niezwykle wysoko, jakby istotnie szedł w górę); znajduje się na pierwszym piętrze, spostrzega tabliczkę doktora, pod nią» przyklepioną kartkę z napisem: «Wyjechał za granicę» — a u spodu dopisek ołówkiem: «Szczęśliwej podróży!...» (w tem miejscu coś nakształt uśmiechu przesuwa się po bladej twarzy). Jest już na drugim piętrze i z bijącym sercem chce dotknąć dzwonka.

Nagle realny wybój na ulicy zmusza pasażera rozwiązać praktycznie zadanie z dziedziny mechaniki: wykonywa więc, jak na «wesołego» przystało, wcale zgrabny skok -i znajduje się wprost oświeconego okna. Skok i nagłe światło budzą go z marzeń.

Pasażer mimowolnie zagląda do środka i przez zamarżnięte szyby jak przez mgłę widzi wnętrze małego pokoju: lampę z czerwonym abażurem, owalny stół, a przy stole trzy ludzkie sylwetki. Jedna, obrócona tyłem, należy do mężczyzny; naprzeciw niej różowieje świeża dziewczęca twarz ze spuszczonej nad robotą oczyma i uśmiechem na ustach; a trochę w głębi widać — suchy profil kobiety, która, zdaje się, opowiada coś ciekawego stłumionym, starym swym głosem, a może tylko chce przerwać młodym miłosnych szeptów pieśń wiekuiącą.

Pasażer oczu od okna oderwać nie może; ni-by wryty słup stoi bez ruchu, jakgdyby stopą przymarzył do śniegu. Przez zamglone szkła płynie ku niemu ogromna ciepła fala słyszanych niegdyś i nazawsze pamiętnych szmerów i dźwięków; duszę mu porywa i wprost do góry dnem wywraca jakiś potężny, odurzający wir, a z jej warstw najgłębszych i z najtajniejszych zakątków serca rwą się wspomnienia i najdawniejsze pogrzebowe widziadła zmartwychpowstają jak-żywe. W miarę zaś tego stężała poprzednio twarz przybiera łagodny wyraz cichego, zamyślnego smutku, a jednocześnie to małe ziarnko, które od rana kłóło mu serce, pęcznieje, za-okrągla się i rozrasta z niezmierną szybkością, wypełnia mu całe piersi, dusi go łkaniem w gardle i wylewa się przez oczy w postaci łez.

Szczęściem, ulica pusta, nikt więc tego płaczu pod cudzym oknem nie widzi.

Jeden księżyc tylko, stojący prawie w zenicie, księżyc, który lubi wpatrywać się w ziemię, spostrzega tę scenę.

— Cicho! cicho — szepcze poblizkim gwiazdom, — chodźcie-no tu, a prędzej!

— Co się stało? — odpowiadają mu również szeptem wylękłe gwiazdy i, jak święto-



— -  
jańskie robaczki, płyną ku niemu po ciemnym błękicie.

— Patrzcie tam! na tym wirującym ziemskim okruchu, jak mała kreska stoi «wesoły pasażer». Widzicie w nim te drobne, jaśniejsze cętki niby owalne mgławice — to oczy! a przezroczysty deszcz białych aerolitów, co po nich krążą, aż się oderwą i po policzkach stoczą — to łzy! Cały ten proces w języku ziemian" zowie się płaczem. A sprawcą płaczu jest rzecz dziwniejsza aniżeli pierścień Saturna i równie niepojęta jak plamy słońca... wiadomo tylko, że gdy człowieka swoją obręczą opasze, to jest on smutny!..

Tu nagle stary melancholik umilkł, jakby sobie dawną boleść przypomniał, chwycił za chustkę z obłoków i twarz w nią ukrył.

Wesoły pasażer smutny!.. Gwiazdom to się wydaje trochę zabawnem: zaczynają więc drgać od tłumionego chychotu, a wiatr, który, na znak ciszy, dany przez księżyc, przysiadł był na chwilę w kotlinie, poprostu, pęka ze śmiechu.

— Ha! ha! ha! wesoły pasażer płacze!—huczy wiatr i zrywa się, i gna ulicą, jak rozbawiony łobuz na widowisko. Po drodze strąca szyld jakiś, bębni w okiennice, w braku żyda wali w kark wpół-zeschłą akacją i pędzi dalej... Ha! ha! ha! płacze, jako żywo, płacze! — wybucha nową kaskadą, mijając w pędzie pasażera; chwytą garściami pył śnieżny, ciska nim wokoło i leci dalej, zanosząc się od śmiechu. Wydostaje się na — 1 — plac; tam się tarza, jak w paroksyzmie szału. Zrywa się znowu, gna już po polach, a w tym wybuchu nie ma już zwykłej swawoli; jest w nim natomiast coś ze śmiertelnych kurczów i drgawek. Wkrótce śmiech wichru przechodzi w syk,

w jęk prawie. Aż w końcu wyczerpany, blizki  
obłądu i furji, rzuca się całym swem ciałem na  
białą pierś samotnego pagórka — i tam w kon-  
wulsjach umiera.

KONIEC.